

DUNAJEC

TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 10-11

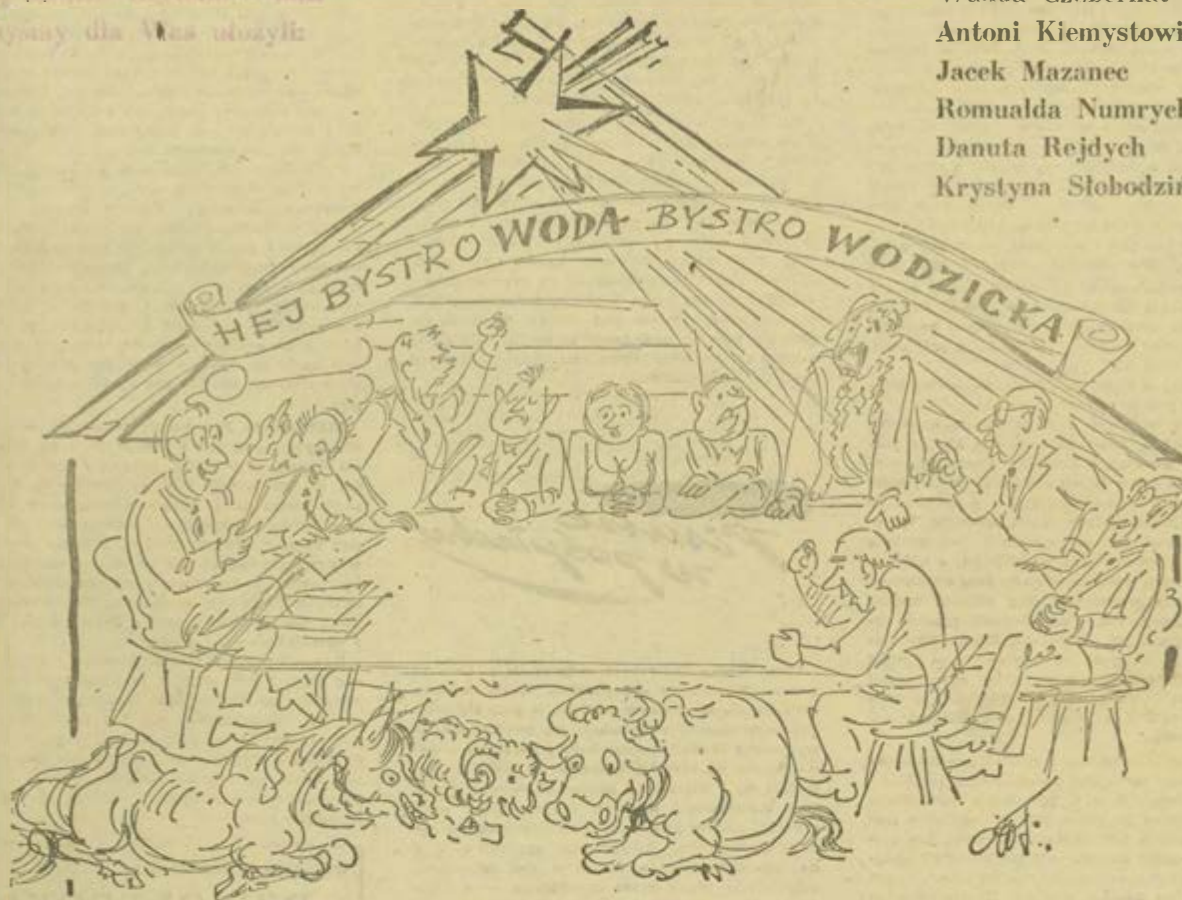
ROK I

Nowy Sącz, 21.XII.1980-4.I.1981

Cena 8 zł

Pracownicy Górnictwa mieli
misy dla Was ugotować

Wanda Czubernat
Antoni Kiemystowicz
Jacek Mazanec
Romualda Numrych
Danuta Rejdych
Krystyna Słobodzińska



Ireneusz Wrzesień szonce patronował
a Władysław Trebunia wszystko wyrysował

Na szczepie, na uderwie,
na to Boże Narodzenie
niechajemy Wam i sobie
najlepszą karmelkę

Żeby Wam światło
nie gasło,
Żeby krowa miała masło,
Żebyś miał dziewczynę,
ile jest w lesie choinek,
Żebyś miał chłopaków,
ile jest w lesie dęczaków,
Żebyś miał pieniędzy,
ile jest nitczek w przędzy;

by się nam wszystkim udało
w Nowym Roku wyjść
na cało,
aby sędziom leniom spadło,
by bogaty brał na raty,
a myśmy nas dojrżeli
i na pomoc przylecieli.
Gloria, gloria, bum, bum,
gloria, gloria, bum, bum.

(CIĄG DALSZY NA STR. 9-11)

WTOREK: Spróbowałem rano opróżnić biurko ze starych papierzyśk. W szufladach zalegają głównie notatki czynione kiedyś z nadzieją, że wrócę do tematu. Pewnie nie zrobię tego nigdy, bo zdarzenia bieżące niosą mnie ku nowym sprawom. Wyrzucić jednak tamte zapiski żal, bo to jest lustro, w którym mogę się przejrzeć, zobaczyć swoje naiwności, ale także racje nie ulegające przeterminowaniu.

Oto karteczka od naczelnego „Gazety” zleająca napisanie artykułu o postawach etycznych ludzi na kierowniczych stanowiskach. Pożółkła, musi mieć przynajmniej dwa lata. I przypięty do niej kawałek rękopisu, ślad czasu. Jest to właściwie jedno zdanie wielokrotnie złożone, które wtedy musiało się mi wydać na tyle trafne, że je zapisałem, i na tyle nieużyteczne, iż go nie przetworzyłem w artykuł, choć opatrzyłem tytułem: „Papierek lakmusa”. Przepisuję bez wstępu ideę owego tekstu: *Jeżeli syn zdaje na studia, a Ty nie dzwonisz do znajomego rektora; jeżeli nie korzystasz z możliwości załatwienia sobie szynki, talonu czy kożucha; do przyjaciela telefonujesz bez pośrednictwa sekretarki; przyjmujesz zawsze w ustalonych terminach interesantów, choć mógłbyś to złożyć na barki swoich zastępców; potrafisz napisać odręczny list z gratulacjami; w dniu imienin bierzesz urlop, by uniknąć ceremonialnej procesji zalogi z kwiatami; awansujesz zdolnych, choć stawiających Ci czasem opór; potrafisz wypowiedzieć pogląd odmienny od tego, którego oczekują; tych, którzy chcą zarobić, ale się nie narobić, umiesz przyhamować w zachłanności; czujesz wyrzuty sumienia, kiedy nie zdołałeś zareagować na sygnał wzywający pomocy; sekretarki nie używasz jako bufora chroniącego Cię od trudnych ludzkich spraw; walkę z przywilejami zaczynasz od siebie; jeżeli przynajmniej tyle potrafisz — jesteś nam brat.*

W tym miejscu tekst się urywa. Czego go nie rozbudowałem i nie oddałem do druku? Czy nie znałem ludzi umiających sprostać tym wymaganiom? Ależ nie! Znałem i znam takie przypadki. Czy liczne? Otóż to!

Tyle dzisiaj o starej szufladzie, do której wrócić z ochotą jeszcze nieraz.

Wczorzem wróciłem z Krakowa ze spotkania z Józefem Klasą, który od niedawna kieruje prasą, radiem i telewizją w Komitecie Centralnym partii. Tak samo jak w latach swej krakowskiej działalności ujmuje bezpośredniość i gotowością do podjęcia najtrudniejszych nawet tematów. W rewanżu otrzymał od nas szczerze i bez ogródek sformułowane pytania oraz wątpliwości: o nierówności niektórych resortów, o spóźnianiu się decyzji, które powinny wyprzedzać bieg zdarzeń między VII a VII Plenum KC, o zagrożeniach procesu odnowy i jej granicach. Na pytanie Władysława Machajka: *czy zaczyna się przykręcanie śruby w środkach masowego przekazu?* — odpowiedział przecząco, co — zważywszy, że stwierdził to człowiek kompetentny — budzi dobre nadzieje w naszym środowisku.

W przerwie rozmawiałem z Maciejem Szumowskiem, pierwszy raz odkąd przejął szefostwo „Gazety Południowej”. Noż w zębach nie nosi, służyć chce po staremu prawdzie, jest zwolennikiem jedności w partii i nie lekceważy krytycznych głosów wśród części aktywu. Ale nie zamierza odstąpić od wojowania ze skazami rzeczywistości, nawet jeśli trzeba się narażać możliwym. Dobrego następcę znalazł Zbigniew Regucki i dzięki temu „Gazeta” chlubie przynosi partii. Choć, oczywiście, ma i potknięcia.

ŚRODA: Ochotników do wyciągania kasztanów z ognia cudzymi rękami nadal nie brakuje. Oto pięć listów do redakcji. Wszystkie w służnej sprawie, chętnie bym je opublikował. Kończą się jednak zastrzeżeniami: „Proszę nie ujawniać mojego nazwiska”. Niby takie prawno naszych korespondentów, ale wolalibyśmy, żeby zrozumieli, iż sam z wszystkimi na raz wojować nie mogę. Bez cywilnej odwagi Anety S., pana J. M. z Nowego Sącza, Czytelniczki z Gorlic, W. G. z Krynic i obywatela S. F. z Nowego Sącza, bez wsparcia tych wszystkich, którzy widzą zło — nie da się wyeliminować cwaniactwa i prywaty. Oczekiwanie na ogórną odnowę jest złudzeniem, bo przecież nikt w państwie nie jest na tyle wszechmocny, by zdalnie wymiotti śmieci z każdego podwórka. Zło trzeba się przeciwstawiać osobiście. I dopiero z sumy indywidualnych występów powstaje pożądany proces społeczny.

Proszę, by przemysłili to liczni zwolennicy odnowy, skłonni twierdzić, że zmiany idą opornie.

Zgadzam się z taką opinią, ale za hamulcowych traktuję także wygodnych, którzy chcieliby nas samych do boju wysłać na pierwszą linię. Nie wykręcam się od tego obowiązku pod warunkiem, że będzie wsparcie, wyrażające się tym, że dacie nam prawo posługiwania się Waszymi nazwiskami.

Przyczajeni obrońcy złej sprawy tylko czekają, byśmy oderwali się zbytnio od tego wsparcia. Niektórzy zaczęli zresztą już intrygować i skarżyć. Obrzydliwe to, ale jest faktem. Nigdy nie spowodujemy, by świnia w Kowalskim nie siedziała, skoro ona tam jest, ale możemy nie dopuścić, by wylażała bezkarnie na zewnątrz, jeśli za każdym razem pokażemy ją palcem i głośno nazwiemy z imienia.

CZWARTEK: Czy prezes nowotarskiej spółdzielni mieszkaniowej nie zechciałby — z półrocznym opóźnieniem — odpowiedzieć na krytykę prasową „Dunajca”? Czyżby nikt w Nowym Targu nie zauważył tamtego protestu spółdzielców w sprawie wydzierzawienia ich lokalu prywatnej inicjatywie? Jeśli nasi korespondenci mylili się, bądź podali nieprawdziwe fakty — warto je sprostować. Związka po niedawnych rewelacjach „Gazety Południowej” o świeżym łamaniu w tej spółdzielni praworządności wobec dziennikarza — takie oczyszczenie atmosfery byłoby wskazane. A może nie obejdzie się bez interwencji odnowionego Komitetu Miejskiego partii w Nowym Targu?

Radzi powitamy również spóźnioną odpowiedź biura ZBWiD w sprawie podniesionej na naszych łamach przez Franciszka Łojasa-Kośkę z Poronina. A także odzew wszystkich pozostałych dłużników, którym przypominamy się w nowym roku.

Bez echa pozostał mój postulat ubiegłoroczny (a więc z epoki przedpostulującej), żeby egzekutywy partyjne rozpatrywały sposób reagowania dyrekcji swych przedsiębiorstw na krytykę prasową. Wracam do niego i proszę Sekretariat KW o rozważenie, czy nie jest celowe, by instancje partyjne szczerba podstawowe analizowały treść, a także terminowość odpowiedzi wysyłanych przez dyrektorów do redakcji.

ADAM OGÓRZAŁEK
Pisane w pośpiechu

Wiele napięć społecznych zaczyna się na dole od małego, bezkarnego sobiepaństwa. Żadne ogórne kontrole nie są w stanie wyłapać w porę tej detalicznej arogancji, wyrażającej się między innymi wyniosłym przemilczaniem bądź wykretnym odpowiadaniem na krytykę. Z czasem te drobniutki kumulują się i odgradzają władzę od obywateli murem uzasadnionej niechęci. Przyrzekliśmy sobie stworzyć system gwarancji chroniących od takiego niebezpieczeństwa. Zobligowanie egzekutywy POP do systematycznego wnikania w styl odpowiedzi udzielanych prasie przez dyrektorów — a może nawet przeanalizowanie ich przed wysłaniem — byłoby częścią spełniania funkcji kontrolnych przez partię i na pewno urealniałoby stosowanie się administracji do znanej i słusznej uchwały Rady Ministrów zainicjowanej zresztą przez Biuro Polityczne.

Praktyka dowodzi, że tam, gdzie lekceważy się krytykę, z reguły jest to symptom poważniejszych schorzeń. Nikt poza partią nie jest w stanie zmusić opieszałych panów do szanowania głosów krytyki i dlatego wnoszę do dyskusji przed IX Zjazdem ten temat aż nadto dobrze mi znany z wieloletniej praktyki redakcyjnej. Niestety, sprawa nie uległa dezaktualizacji po sierpniu. Sądę, że jej podjęcie w naszym województwie — choćby tytułem próby — może wzbogacić kulturę polityczną i służyć — w razie powodzenia — jako wzór dla innych regionów.

PIĄTEK: Dyskusyjny głos Mariana Rybickiego w „Kulturze” proponujący wpisanie do Statutu PZPR, między innymi, takiego punktu: „Zamiast dotychczasowej daleko idącej symbiozy, a nawet identyfikowania się aparatu partyjnego z aparatem państwowym w procesie podejmowania decyzji, co powoduje bezpośrednie angażowanie w tych sprawach autorytetu partii jako całości, powinna ona zachować wyraźny dystans wobec organów administracji państwowej”.

Przypomniało mi się wielokrotnie powtarzane zdanie Henryka Kosteckiego — pierwszy raz wypowiedziane przed pięć laty: *Z administracją chcemy iść razem, lecz nie pod rękę!*

SOBOTA: Kiedy dziesięć tygodni temu ukazywał się pierwszy numer „Dunajca”, nie miałem wątpliwości, jaki dać tytuł artykułowi wstępemu. Chociaż już wtedy wiedać było, ile przeszkód piętrzy się na drodze, ile zaniedbań i komplikacji przyjdzie pokonać — słowem najtrafniej oddającym nasze nastroje była **NADZIEJA**. Dziś postawiłbym obok niej — na drugim wprawdzie planie, ale jednak obok — **NIEPOKOJ**.

Cóż takiego się zdarzyło między październikiem a grudniem, że odczuwam potrzebę innego wyartykułowania swych myśli? Przecież nie ulega wątpliwości, że posunął się znacznie proces normalizacji, strajki przestały być używane jako metoda osiągania celów nowego ruchu związkowego, władza potrafiła dotrzymać słowa i nie sięgnęła po argumenty siłowe, nastąpiły ogromne zmiany personalne, trwa realizacja robotniczych postulatów, ożywił się Sejm, prasa w widomy sposób korzysta z wolności słowa.

Każde z tych stwierdzeń da się bez trudu udowodnić, można je bez naciągania uzupełnić wieloma innymi faktami świadczącymi, że poszliśmy do przodu. A jednak epilog zdarzeń zaczętych w lipcu, epilog tego polskiego trzęsienia ziemi, którego epicentrum wystąpiło pod koniec sierpnia na Wybrzeżu i powtórzyło się co najmniej dwukrotnie potem — nie jest dla mnie jasny.

Potrafilismy się dogadać w kwestiach zasadniczych. Stąd — nadzieja. Ale czy potrafimy zgodnie i wytrwale pracować? Cierpliwość nie jest u nas powszechną cnotą społeczną. Dużo wokół pochopności, powierzchownych sądów, łatwo rzuca się słowa. Dużo bylejakości, konserwatyzmu zapiesniałego i świeżej daty; niesłowność, pozorowane konsultacje, jałowa praca, pustki w sklepach... Czy potrafimy zrozumieć niepopularną prawdę, że tylko przez pracę wiedzie droga wyjścia z kryzysu? Hasło zbudowania w Polsce drugiej Japonii nie wystarczy, tak jak nie wystarczy hasło drugiej Polski.

NIEDZIELA: Pod koniec roku 1980 — najbardziej pogmatwanego i burzliwego roku mego życia — najlepszą ulotką, odezwą i przestrogą wydał się mi wiersz Wisławy Szymborskiej, który zamieszczam niżej. Mądry wiersz, który klarownie, bardziej drażliwie i gustywnie niż dziesięć broszur, sto przemówień i tysięcy artykułów wyklada prawdę istotną na każdej szerokości geograficznej, a podstawową na obszarach niewraligicznych dla pokoju światowego. Ten wiersz przynoszę pod choinkę naszym Czytelnikom. Wiersz o wszechobecności polityki.

Nawet koledzy w naszej szopce śpiewają trochę inaczej niż zwykle; polityka wtargnęła we wszystko, co polskie. Była tu zawsze obecna, lecz nie tak intensywnie i nie tak powszechnie jak dziś. Te Święta też stały się polityczne, wypełnione zadumą. Pierwsza przerwa po Sierpniu, pierwsze zwrócenie się ku domowi, rodzinie. Niech trwają, niech zapoczątkują odrobinę choćby spokojniejszy czas.

WISŁAWA SZYMBORSKA

DZIECI EPOKI

Jestemy dziećmi epoki,
epoka jest polityczna.
Wszystkie twoje, nasze, wasze
dzienne sprawy, nocne sprawy,
to są sprawy polityczne.
Cześć czy nie cześć,
twoje geny mają przeszłość polityczną,
skóra odciła polityczny,
oczy aspekty polityczne.

O czym mówisz ma reżenans,
o czym milczysz ma wymowę
tak czy owak polityczną.
Nawet idąc borem lasem
stawiasz kroki polityczne
na podłożu politycznym.
Wiersze apolityczne też są polityczne,
a w górę świeci księżyc już nie księżycowy.
Być albo nie być, oto jest pytanie.
Jakie pytanie, odpowiedź kochanie.
Pytanie polityczne.
Nie musisz nawet być istotą ludzką,
by zyskać na znaczeniu politycznym.
Wystarczy, żebyś był ropą naftową,
paszą tręściwą czy surowcem wtórnym,
a choćby stołem obrad, o którego formę
spierano się miesiącami.
Tymczasem ginęli ludzie,
zdychały zwierzęta,
plonęły domy
i dżiczali pola,
jak w epokach zamierzających
i mniej politycznych.

POLSKIE NADZIEJE 1981

Rok 1980 w pamięci Polaków będzie się wiązał z największymi zmianami w powojennym życiu kraju. Zmiany te trwają, a skutki kryzysu, który je wywołał, nierzeczywiście znikną z naszej codzienności. Jak będzie wyglądała przyszłość? Na co realistycznie możemy liczyć? Co jest najważniejsze, aby proces demokratycznych zmian nie uległ zahamowaniu? U progu nowego roku zwróciliśmy się z pytaniem o nasze narodowe nadzieje do dziesięciu Polaków, znanych z aktywności publicznej: ludzi pióra, sztuki i nauki. Jest wśród nich politolog, doktor **WOJCIECH LAMENTOWICZ** z Instytutu Nauki o Partii Wyższej Szkoły Nauk Społecznych; są aktorzy — **WOJCIECH SIEMION** i **ZOFIA RYSIÓWNA**, wywodząca się z ziemi sądeckiej, a także **GUSTAW HOŁUBEK** — aktor, reżyser i dyrektor warszawskiego Teatru Dramatycznego, prezes Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu; publicyści z tygodnika „Polityka” — jego redaktor naczelny **MIECZYSLAW F. RAKOWSKI**, członek Komitetu Centralnego PZPR, i **JERZY URBAN**; **RYSZARD WOJNA** — również członek Komitetu Centralnego, komentator „Trybuny Ludu”; znakomity grafik **SZYMON KOBYLINSKI**; pisarze **WOJCIECH ZUKROWSKI** i tak ściśle związany z naszym regionem **JALU KUREK**, który upamiętnił w literaturze swą Naprawę. Oto ich opinie:

GUSTAW HOŁUBEK

Nadzieję polską widzę w takim ustabilizowaniu się relacji między władzą a społeczeństwem, że nie trzeba już będzie mówić o wzajemnym zaufaniu, a będzie można naprawiać Rzeczpospolitą. Że w dziedzinie, która mnie osobście interesuje, to znaczy w kulturze, nastąpi również pełne zrozumienie potrzeb. Że będzie można myśleć o takiej perspektywie, w której wykorzystane zostaną wielkie możliwości Polski jako producenta kultury. Myślę tu o kulturze w najszerszym pojęciu tego słowa: kulturze materialnej, oświaty, o wszystkim, co jest związane z kształceniem i w co wchodzi także kultura obyczajowa oraz polityczna. Nasz naród, nasz kraj stać na to, aby produkować przede wszystkim kulturę: aby stać się skarbnicą możliwości dla innych krajów.

SZYMON KOBYLINSKI

Nasza nadzieja da się określić jednym słowem: **NORMALNIE**. Chodzi tylko o to, aby było **NORMALNIE**, aby było **WYCYZAJNIE**. Nie widzę potrzeby żadnych innych określeń: bo przecież żadne z sensownych żądań, żaden z punktów podpisanych porozumień nie domaga się czegoś, co już wcześniej nie byłoby uznane za oczywistość. Przerażającą stroną wydarzeń jest to, że niechciała walka toczy się o rzeczy najoczywistsze. Że tak straszliwie trzeba wojować o to, aby prawo znać — **PRAWO**.

Cała moja działalność satyryczna do tego się sprowadza: do walki przeciwko wynaturzeniom, do walki o normalność. Taka jest więc moja i — jak srode — nas wszystkich nadzieja: że wreszcie będzie normalnie.

JALU KUREK

Na fali odnowy zalewa nas fala gadania, powiódź się. Kto z nas — poetów, szafarzy słów, nie wstydził do czynów? Marzymy o czynach. Czy jest

teraz ciekawe, co powie literat? Nadzieja nie w słowach i w tym, co słowami się wyrazi. Nie chce dublować wypowiedzi innych. Słowo zostało zniegrodowane i spospolitowane. Skończmy z deklaracjami. Nie należy mówić. Należy DZIAŁAĆ. Róbmy coś! To jest nasza nadzieja.

WOJCIECH LAMENTOWICZ

Mam nadzieję na to, że w końcu roku 1981 będziemy mieli prawomocną, społecznie szanowaną i przez społeczeństwo wyłonioną strukturę władzy, która stworzy w miarę przejrzysty i zrozumiały przez społeczeństwo program dalszego działania. Jeżeli nie udało się tego osiągnąć, to nasze życzenia na następne lata mogą być bardzo ograniczone.

Moja nadzieja dla Polski jest więc związana z demokracją, z prawowitością władzy; z tym, aby wreszcie nie była ona nieufna wobec społeczeństwa i aby społeczeństwo miało powody jej ufać. Jest to nadzieja z odniesieniem do rzeczywistości; w przeciwnym razie byłoby to marzyśielstwo, chciejstwo, jak powiedziałby Wańkowicz.

Dotychczas mieliśmy tylko oczekiwanie ludzi normalnych i rozsądnie myślących, natomiast ciągle doznawaliśmy w tej dziedzinie zawodu. Przeważałyśmy rozróżniać to co jest normalne od tego, co jest niernormalne. Normalne — znaczyło autokratyczne, arbitralne, biurokratyczne (dałoby się tu jeszcze wymienić kilka innych ładnych przymiotników); natomiast niernormalne — to było jawne, sprawiedliwe, otwarte, wrażliwe.

Trzeba stworzyć nową normę, która przywraca blask wartościom demokratycznym i narodowym — dobrze pojętym wartościom narodowym, których nie powinno się utożsamiać z jakimkolwiek nacjonalizmem, ale które wreszcie trzeba sobie przypomnieć i do nich w głębszym sensie nawiązać. Marzy mi się na przykład szersze nawiązanie do dorobku polskiej myśli socjalistycznej z okresu międzywojennego i z okresów wcześniejszych. Trzeba sobie przypomnieć, że jest to bardzo ważny dorobek, z którego można się wiele nauczyć i od którego nie trzeba się dystansować tylko z tego powodu, że w roku 1948, ułożyło się tak, a nie inaczej.

Taką mam nadzieję. Ale czy to jest realne? Mam bardzo duże wątpliwości, czy praworządna, wyłoniona przez społeczeństwo struktura władzy, mającej rozumiały program działania, da się osiągnąć już teraz i przy takim układzie sił, jaki mamy obecnie w partii, w całym społeczeństwie i — w szerszej skali — na terenie Europy. Wiele jest mnie ktoś zapyta, czy to jest realne, odpowiem, że nie wiem. Po prostu — nie wiem.

WOJCIECH ZUKROWSKI

Chciałbym przede wszystkim, aby w Polsce w tym najbliższym roku kontynuowany był program odnowy; program szerokiej demokratyzacji wszystkich tych dziedzin życia społecznego i ekonomicznego, które wymagają zmian. Często zmian całkowicie radykalnych; pełnej przebudowy.

Chciałbym także, aby ten niezbędny proces, który ma umocnić strukturę polskiego socjalizmu i przystosować go do wyobrażeń naszego społeczeństwa, przebiegał przy rozwijającej się aktywności produkcyjnej wszystkich Polaków. Pragnę po prostu, aby rok następny przyniósł widoczny postęp w dziedzinie wydajności pracy; by nastąpiło usprawnienie organizacji — abyśmy mogli pod koniec roku 1981 powiedzieć, że najgorszy okres gospodarczy mamy poza sobą.

Moją wielką nadzieją jest również to, że wyśoka świadomość polityczna Polaków, zaprezentowana w ostatnich kilku miesiącach, będzie również utrzymana w przyszłym roku; że nasze społeczeństwo w pełni doceniać będzie komplikacje wewnętrzne i międzynarodowe, jakie są nie do uniknięcia w okresie, kiedy odrzucamy i usuwamy z naszego życia zjawiska, formy i metody działania, które doprowadziły do tak głębokiego kryzysu gospodarczego i politycznego w Polsce.

ZOFIA RYSIÓWNA

Jestem pełna sprzecznych myśli i targają mną pesymistyczne odczucia; z drugiej strony jednak niesie mnie szalony optymizm: bo przecież obywatnia większość społeczeństwa została wyrwana

z letargu, z marazmu, który wydawał się panować tak generalnie. Pytanie tylko, czy ludziom pełnym zapału uda się w praktyce zrealizować swoje cele. Bowiem tak zwane przeszkody obiektywne były u nas zawsze niezidentyfikowane i do tej pory są **NIEZIDENTYFIKOWANE**.

Wierzę jednak, że się uda. Wierzę, bo optymizm zawsze we mnie mieszkał, także z racji związków z Nowym Sączem. Przecież to ten region, moja ziemia, jako jeden z pierwszych dał hasło eksperymentu. To Sądecka dała dowody samodzielnego myślenia i zainicjowała próby innego gospodarowania — mądrzej, lepiej, twórczo i z pożytkiem bezpośrednim dla ludzi. To ten region służył innym swoim przykładem oryginalnej myśli i jej realizacji. To tu było pierwsze wołanie o reformę, o bardziej prawidłowe działanie dla dobra narodu. Tu właśnie — w jednym miejscu w Polsce — powtarzano niegdyś wybory.

Moja nadzieja na szczęśliwe rozwiązanie naszych problemów wypływa z doświadczeń, jakie ziemia sądecka już zdobyła. Moja nadzieja wypływa z poczucia związków z ludźmi których umiłowanie samodzielnosci i sprawiedliwosci, przywiązanie do ziemi, miłość do kraju musi przewyciężyć wszystko.

WOJCIECH SIEMION

Chciałbym w odpowiedzi zacytować po prostu ostatnią strofę „Poematu dla dorosłych” Adama Wazyka:

O rozum płomienny,
O rozum płomienny,
Upominamy się codziennie,
Upominamy się bardzo.

Myślę, że apel o rozum płomienny na rok 1981 jest najwłaściwszy. Że to właśnie jest cała nasza nadzieja.

JERZY URBAN

Przewiduję, że znacznie się reakcja negatywna politycznie i ekonomicznie myślącej części społeczeństwa na model życia siermiężnego, tradycyjniejszego i zrównującego w biedzie, do jakiegoś prowadzą obecną naciski społeczne. Mam nadzieję, że za rok zaczyna powstawać warunki społeczne dla racjonalnej reformy gospodarczej, bo dziś ich nie ma. Sądzę, że niektóre zdobycze demokratyczne doby obecnej utrwalą się i mimo niechybnego regresu odnowy, stworzą podstawę dla przyszłej — rozważnej już i powolnej — ewolucji socjalistycznej demokracji. Nim do tego dojdzie, czeka nas wiele dramatycznych przeżyć. Nie untem ich przewidzieć w szczegółach. Nie sądzę, że moje nadzieje się ziszcą. Optymizm, który zadeklarowałem, oniera się na irracjonalną wierzę, że jakoś to będzie — co wymaga wyłączenia rozumu.

RYSZARD WOJNA

Cieszyłbym się, gdyby proces przystosowywania struktur państwowych i życia publicznego do stanu świadomości społeczeństwa i społecznych potrzeb dokonywał się bardziej harmonijnie. Byłby szczyt postępowania taka przebudowa ram organizacyjnych przemysłu, aby pracował on bardziej dla ludzi, niż na własne tylko potrzeby. Byśmy wreszcie dokonali decydującego zwrotu w polityce państwa wobec wsi i obok bezpieczeństwa i pokoju za najważniejszą sprawę uznali wyżywienie narodu.

WOJCIECH ZUKROWSKI

Nie życzyłbym sobie niczego innego, jak tylko wybrnięcia z kłopotów. Tego, żebyśmy poczuli wreszcie tę głęboką wspólnotę, jaką stwarza rzetelna praca i współodpowiedzialność za jutro. Polską nadzieją na najbliższy rok jest też zmniejszenie się strasznego napięcia na świecie. Bardzo to dla nas ważne, ponieważ wiąże się ściśle ze sprawami naszego narodu. Taka jest, taka musi być nadzieja Polski.

Do Godów, czyli święta Bożego Narodzenia, przystępujemy z całą rodziną.

W dzień świętych, to znaczy w Wigilię, pracowało się niewiele; ograniczało się do „poodbywania” bydła, kobiety piekły ciasto i przyrządzały wieczerzę wigilijną. Mężczyźni znajdowali się w nielase u zapracowanych żon, przeganiani z izby, aby nie przeszkadzać. Głodni, do wieczora zadowolić się musieli garścią bobu porwanego ukradkiem z żelaznego garnka. Bób z solą jeszcze bardziej zaostbrał apetyt na wieczerzę wigilijną składającą się z wielu potraw. Bo wieczerza była prawdziwym popisem zdolności kulinarnych gospodarzy.

Ozdobę wigilijną izby stanowiło drzewko — „stromek” — choinka świąteczna. Pojawiała się ona przede wszystkim w tych chałupach, gdzie znajdowały się dzieci; dla nich przynoszono ją i ozdabiano. Choinki wieszano początkowo u powoli, potem, za przykładem „ceprów” z miasta, zaczęto je stawiać na stole.

Wieczera była głównym akcentem Wigilii. Przygotowywano się do niej starannie: na stół sypano jęczmień, żyto lub inne zboże, aby się darzyło w przyszłym roku, układano też podarki dla „cioci, a całosc nakrywano białym pościelą — „loktusem”. Srodek stołu ozdabiał wielki bochen chleba i miód.

Gdy już wreszcie wieczerza była gotowa, gospodyni wysyłała dziecko na dwór po domowników; jeśli zaś gospo-

darze nie mieli potomstwa, zapraszała gości z bliskiej rodziny we wsi.

Ceremonia wieczerzy rozpoczynała się według starodawnych obrzędów; obejmowały one zarówno ludzi, jak i zwierzęta domowe. Najpierw gospodarz zadawał bydłu i koniowi najlepszy w tym dniu pokarm, aby i one miały odświętny posiłek, następnie wchodził do izby i sypał po niej przy-

umaczany w miodzie. Bochenek ów pozostawał na stole przez całe Gody, a po świętach wkładano go do zboża w sasku, gdzie leżał aż do wiosny.

Następnie gospodarz brał garść bobu i sypał do każdego kąta izby mówiąc: „mysom, surom, uśelnikajkie gowiedzi”, resztę zaś przeznaczal dla psa, wypuszczając boba do cebrzyka wypełnionego do połowy śniegiem.

Franciszek Łojas-Kośła (Poronin)

Gody na Orawie

nieśionym ze sobą jęczmieniem lub żytem, życząc temu domowi urodzaju i pomyślności.

Dopiero po spełnieniu tego obrzędu zasiadał z całą rodziną do stołu, przy czym dzieci starały się dobrze wybać, gdzie pod loktusem ukryte są przeznaczane dla nich podarki.

Teraz gospodarz z wielką powagą, uroczysto machał palcem w miodzie i kreślił każdemu z biesiadników krzyż na czole. Wydrażał też w bochnie chleba dziurę, do której wkładał opłatek

W czasie wieczerzy pilnie uważano, by komuś nie wypadła łyżka z ręki, co miało oznaczać, że jeden z biesiadników umrze niechcinnie w ciągu roku. Wierzono też, jak zresztą na całym Podtrzu, że o samej północy zwierzęta rozmawiają ze sobą i że gdyby ktoś wszedł wówczas do stajni, jego przeznaczeniem byłaby śmierć. O północy działy się ponoć i inne przeróżne dziwne rzeczy, gdyby ktoś się znalazł wówczas nad rzeką czy potokiem, mógłby stwierdzić, że jest w nich wino zamiast

wody. W niektórych okolicach, np. w Piekelniku, wierzono, że owa wigilijna północna woda w rzece ma lecznicze właściwości, szczególnie przy świerzbie, nie więc dziwnego, że zaryzały się śmiertelne przeziębienia.

O północy spieszo gromadnie na Pasterkę. Według wierzeń, sły na rą też czarownice zwane „bosorki”. Sadały one, jedna przy drugiej, obrócone tyłem do ołtarza w „babincu” — przedśionku kościoła, robiąc masło w maśnicy. Z kościoła trzeba było wrócić jak najszybciej, bo kto przyjdzie pierwszy, ten najwcześniej ukończy pracę w polu na wiosnę.

Po północy zaczęli chodzić po wsi kolednicy. Byli nimi male dzieci śpiewające pieśni religijne pod oknami domów i zbierające datki, ale bywali i starsi „parobcy” — kawalerowie, często z harmonią lub skrzypcami; ich zapraszano do izby na poczęstunek.

Na Nowy Rok chodzili po koledzie tzw. „betlehemcy” — głównie młodzież ze wsi Półgóra pod Babią Górą — z wielką gwiazdą na długim igrasie, ozdobioną kolorową bibułą i obrazkami o tematyce religijnej. Gwiazda miała na rogach zamocowane dzwoneczki, które głośno dzwoniły „cengaly”. Młoda ona także w środku miała dla wyróżnionych misternie z drzewa figur przedstawiających różne rodzaje scen z życia wsi. „Betlehemcy” chodzili całą Orawę, niosąc jej dobre życzenia na cały następny rok.

Na Podtrzu czas godni był bogaty w zwyczaje i obrzędy oparte o podłoże wierzeń i zabobonów. W dzień Wigilii kobiety zajęte były pieczeniem chlebów, babek jarczanych, kotaczy żytnich ze serem. Zapas ten miał wystarczyć dla wyżywienia sporej rodziny aż do Nowego Roku.

Do południa „parobcy”, kawalerowie strzygli włosy, zaś dziewczęta myły się wyjątkowo całe. Tymczasem mężczyźni czynili w oborze zasadnicze porządki — przygotowywali sił i soczystą karmę dla bydła.

Według ścisłych zasad tradycji bacznie uważano, aby w ten dzień nie iść do sąsiadów na pożyczkę, niczego nie pożyczać, ani pieniędzy nie wydawać. Dzieci starały się być posłuszne woli rodziców z uwagi na ich zastrzeżenie: — „Wigilię dzieci na dach przybij”. Najbardziej obawiano się widzenia lub najścia jako pierwszej w tym dniu, kobiety, która jakoby miała być zwiastunem przyszłych nieszczęść w rodzinie.

Gospodyni wiele czasu poświęcała na przygotowanie wieczerzy pośnej, na którą składały się takie potrawy, jak groch z kapustą i żurek na kwaszacy okraszony olejem lnianym. Czynościami tym towarzyszyła ogólna serdeczność i zrozumienie.

Tymczasem najstarsze z dzieci miało w obowiązku wyglądać wcześniej pierwszej gwiazdy, ona też była znakiem do rozpoczęcia posiłku. Najpierw jednak gospodarz przebrany w kożuch barani obrócony do góry włosem, przepasany powrozem skręconym ze słomy, z „moakolem” — płacikiem pod pachą, ze skopem wody święconej i „podłaźniczką” — gałązką jodełki — wchodził do izby. Woda ta miała być skutecznym środkiem na porost włosów, dlatego w czasie skrapiania czynionego przez podłaźnika-gospodarza mężczyźni tysi chętnie nadstawiali swoje głowy. Gospodarz przynosił także ze sobą do izby snop owsa. Następnie siadł owsem po izbie życząc:

*Na szczęście, na zdrowie
na to Boże Narodzenie
coby się wam darzyło, mnożyło
syćko stworzenie.
Cobyście mieli tło kóników,
kiele w płocie kulików.
Telo cieliciek,
kiele w lesie jedliciek.
Telo dzieci,
kiele przy dzwierzach śmieci.
Teraz wam domownicy starzy
i młodzi
pozyczyć się godzi,
a co się za tym kryje,*

*nich Dziecina, co sie tyj nocy
urodzi,
do nom dockać syćkim w zdrowiu
i miłości do następnej Wigili.*

Z nastaniem pierwszej gwiazdy zajmowano miejsce na ławach po obu stronach stołu pokrytego sianem i białym lnianym obrusem. Zasiadano do wspólnego posiłku z jednej misy jedząc. Wigilijna wieczerza poprzedzona była łamaniem się opłatkami, rozpoczynanym od najstarszego współbiednika. Każdy uprzednio tarzał opłatek w miodzie lub zacierze przetopionego cukru, dzieląc się nim z bliskimi. W tym czasie przylepiano opłatek na oknie. Jeżeli opłatek przetrwał przez noc do rana, oznaczało to miało, że jego właściciel dożyje do przyszłej Wigilii.

Prze stole starano się zostawić wolne miejsce dla zmarłego członka rodziny, ponieważ powszechnie uważano, iż

...I na Skalnym Podhalu

duch jego raczy przybyć i dołączyć do uroczystej wieczerzy. Wcześniej gospodarz podkładał pod stół siekierę, na której biesiadnicy, podczas trwania posiłku, trzymali nogi, aby byli ostrzy jak ta siekiera i dawali sobie w życiu rady. Niekiedy otwierano drzwi na oścież, zapraszając wilka z lasu mówiąc: *Podź wilku ku mlyku*. Pamiętano również o dziadach wędrownych, dając im ciepłą strawę i przydziewek.

Z pozostałych opłatków wycinano kółka, z których robiono „świat” służący jako ozdoba wieszana na choinkę. Po wieczerzy gospodarz zabierał resztki pokarmu wraz z czerwonym opłatkami nadziewanym siankiem i udawał się do stajni, zadając je bydłom z najlepszą dla nich, na ten dzień, paszą. Warto wspomnieć, że opłatek ów nazywano pospolicie „krówski”.

Stare Skalne Podhale brzemienne w tradycje zdolne było chłonać nowe zwyczaje. Do najbardziej żywych zaliczały się wróżby, gdyż służyły one za prognostyk wydarzeń życiowych bądź losowych, jak również były zapowiedzią pomyślności i urodzaju. Z wróżb korzystały zazwyczaj panny na wydaniu. Późnym wieczorem w dzień Wigilii wychodzili one przed dom, nad słuchując z której strony we wsi pies zaszczeka, stamtąd należało się spodziewać przyszłego kandydata na męża. Albo przyniesione przez siebie szczypty drewna z wielką uwagą liczyły, w przypadku końcowej parzystej liczby oznaczało to miało rychłe zamałpójście.

Resztę wieczoru spędzano na śpiewaniu. Potem około północy cała rodzina udawała się do kościoła na Pasterkę. Uczestniczyli w niej „znachorci”, wiejskie lekarki, zabierające ze sobą do poświęcenia wszelkiego rodzaju zioła. Były także na nabożeństwie „porobiacki”, one zaś przynosiły zasuszoną ropuchę, która miała być im pomocą do rzucania „uroków” lub do

Starego Sącza, gdy udawali się w te strony po zboże.

Po północy parobcy wybierali się konno lub saniami na podłazy do dziewczyn, zaopatrując się w owies, bób i cukierki, o ile należało spodziewać się tam dzieci. Zanosili także trunki, którymi pożytkowali przy ugodowej części rozmowy z przyszłymi teściami. Pojazdy swoje ubraźali w kłonicę, orczyki i sztachety dla własnej obrony przed zaczepką „aniolków” dziewczyn z ich wsi. Na tym tle na Skalnym Podhalu dochodziło do wawni pomiędzy kilkoma nieraz wioskami.

Dziewczyna w oczekiwaniu na podłaźnika szykowała dobry obrok dla jego konia, co oznaczało, że będzie mu widziany. On zaś po przybyciu na miejsce, na wyraźne zaproszenie ze strony panny, wchodził do izby mówiąc:

*Na szczęście, na zdrowie
na to Boże Narodzenie
i na ten Nowy Rok,
coby się wam darzyła kapusta*

*Zajrzycie do skrzynie,
wyjmiecie pół świnię.
Zajrzycie do półki,
wyjmiecie kukielki.
Zajrzycie do pieca,
wyjmiecie koloca.
Wyjmiecie z gorka wolu,
pytojcie do stołu!*

Nad ranem dziewczyna wprowadzała „swojego” chłopca do białej izby, gdzie resztę nocy spędzali razem.

Od Godnych Świąt aż po Trzech Króli chodzili po domach kolednicy, przebrańcy z gwiazdą, szopką i turionem. Chodzeniem po koledzie zajmowała się przeważnie młodzież z biednych rodzin, zbierając datki w postaci żywności. Koleadowanie miało charakter widowiskowo-teatralny, odznaczało się różnorodnością pomysłów w odtwarzaniu scen religijnych.

Kolednikom zawdzięczamy, że dawne obrzędy i zwyczaje przetrwały do dnia dzisiejszego, choć w formie uszczupionej, a niekiedy znolizowanej. Stanowią one świadectwo bogactwa tradycji starego Skalnego Podhala.

Gody na Skalnym Podhalu wiązały się również z godzeniem, wypowiadaniem lub prolongatą służby w wiejskich gospodarstwach chłopskich. ...a służbę do bogatych gazdów zaciągali się przeważnie dzieci i młodzież wprowadzając się z rodzin wielodzietnych. Chłódą tej „domowej emigracji” za chręban należy się dopatrywać w ubogiej ziemi i niskiej kulturze rolnej dawnego Podhala.

Rusinka — czyli Rusinowa Polana — zauroczy każdego, kto choć raz tamtędy przejdzie, obojętnie o jakiej porze roku. Schowana w lesie, przycupnięta wśród gór młędzą Gęsią Szyją, Waksmundzką Polaną a Poronicem, zawsze pełna majestatu i ciszy.

Baca była już wówczas, gdy Jasiek Murzański tu baczował; wodził swój kierdel owiec uważając, żeby za wiele trawy na hall nie wyskubały, bo skądby się wzięło siano na zimowsko. Od wczesniej wiosny, kiedy tylko śnieg stajał, a potoki opadły, szedł Jasiek Murzański ze swymi owcami z Gronia na Rusinkę. Szedł śpiwając i pogwizdując. Cieszył się na baczowską slobodę, na lato pogodną czy przekropną, na jesienne siwe mgły i na sylwestrowanie — takie, jakiego go nauczyły stryki.

Wtowarzyszyli mu zwykle dwaj juhasi i jeden wojtar, chłopiec małutki jak rękawica, ale krzepki, wytrzymały i niebojliwy, który owiec pilnował niegorzej od owczarków, wielkich psisk o ostrych pazurach, o czarnych kufach, szzerzających swe zębiska jak wilki.

Slobodnie było bacy na Rusince, jak tylko dochodził do swych pasterskich włości, gdy tylko ujrzał przycupniętą na polanie szalasy, zdejmował kapelus, przaskał na ziemię ciupagę, klękał na jedno kolano, chylił pokornie głowę i wypowiadał zwykle choć niezrozumiałe, bo szeptane swoim językiem niby to modlitwy, niby zaklęcia. Wstawał po chwili, a z piersi wyrzynało mu się jedno rzuczone w góry z głębi serca — słowo: — Witojcie!

Gazdował tu baca jak na swoim. Owiec w młodniki nie puszczał, żeby nie starasły samosiejek. W borówczyska też ich nie gonił, bo borówki sam lubił, a owce nie za bardzo, a poza tym w borówczyskach bywały niedźwiedzie, a owce pono miały mu się smarować borówkami, kiedy wełna powinna być biała i czysta.

W dużych lasach i wyrośniętych młodnikach dość było trawy do wypasu i mniejszych czy większych polanek, których się nie kosilo. Więc owce miały co jeść, nawożąc obficie las, które

ry rosł jak trzeba. Widać nie szkodziło to nikomu, a grzybów było tyle, że nigdy ich nie zabrakło, rydze zaś można było nawet kosić...

W takim to krajobrazie baczowało się Jaskowi przez wiosnę i lato, przez jesień i pierwsze śniegi. Lata wydawały mu się coraz krótsze, mniej piękne, w miarę jak przybywało mu siwych włosów, bo nie wiadomo jak i kiedy się w górach na baczowaniu — zestawiał.

Różne rzeczy opowiada się o baczowskich noworocznych praktykach. Nikomu jednak nie udało się ich na wia-

snąć geste chmury i zaczęło padać. W tym stanie rzeczy wybrałem drogę ceperską przez Rusinkę, bo najbliższą. Zgubiłem jednak w zadymce szlak.

Zaczęłem się niepokoić, droga dłużyla się jak grudniowa noc, szarzała, sypało coraz bardziej.

W pewnym momencie usłyszałem dzwonki. Zaniepokojony, że mi się już majaczy, stanąłem nad słuchując. Niczego widać nie było, ale zbyrakła odezwały się znow. Poszedłem w ich kierunku. Wydawało mi się, że czuję również zapach smrekowego dymu. — Znowu złudzenie — pomyślałem — jeszcze tylko brakuje szalasów, słonecz-

go roku. Cobyście wiedzieli, że nie na świecie nie ma wiecznego. Że poto jedno się kończy, żeby drugie mogło się zacząć. Że zawsze po starym przychodzi nowe, ale i to nowe też się zastarzeje i minie, bo jakby mogło być inaczej? Takie som prawa na świecie, tak jest wszędzie, tno nie w górach.

W górach człowiek starzeje się inaczej, żyje dłużej. Tak jako i wy moje owieczki. Jakoby was tu nie było, trza byłoby was sprzedać na kozuchy i mięso, na wełnę. A tak to sobie pożyjecie dłużej, do nowego roku na pewno, ale i po nowym też.

Tu baca przepił do stada, strzepnął z kieliszka ostatnie krople, przyzdrówkał do owieczek i jak na dobrego gada przystało rzekł: — A teraz was bede rozliczał!

Wy, kurcnoste, nie bardzo żeście mi się zdali, toteż jak ino wrócić do wsi — powędrujecie do miasta na jarmak. Okaistą — zostawie, bo dobrze się pasie i rodzi dużo jagniąt. Barana Mućka przeznaczam na splaty, sobie zostawie innego, bo będzie lepszy. Na wełnę trzeba mi będzie postarać się o lepsze owce, a na mleko — wystarczą te, co są.

Staralem się o was jak mogłem, żyło nom się dobrze, trawy było dość, siano do lutego starczy, to sobie jeszcze po Nowym Roku góry pooglądamy, a jak nam się siano skończy — wrócimy do wsi.

A na Nowy Rok życzę wam zdrowia, sobie tyż, żeby nom się dobrze wiodło, żeby wam i mnie niczego nie brakło, ani mleka, ani sera, ani zentycy, ani oszczypków, ani lasu, ani trawy, żeby góry były takie jak są, żebyśmy jeszcze długo mogli baczować i coby nos wszystkim zle omijało. Amen.

Potem baca coś tam jeszcze pod nosem wymurczał, kapeluszem stado przegnał, wódkę przyzdrówkał i zanim z szalasu wyszedł — mnie już pod ścianą nie było.

Odszedłem w kurniawę, która trochę zelżała, trafiłem na ścieżkę i szybciej niż należało, pomaszzerowałem na swojego Sylwestra, do rodzinnego domu.

Janusz Kasprowy (Nowy Targ)

Jak baca na Rusince sylwestrował

sme oczy zobaczyć i podsłuchać. Bacz tego nie lubił. Zresztą, komu by się chciało Na Nowy Rok czy w Sylwestrową nocy zaglądać do gazdówki samotnego bacy na Rusince?

A mnie się to jednak kiedyś udało.

Wracałem z Morskiego Oka, żeby na Sylwestra zdążyć do rodzinnego domu. Święta spędziłem łącząc po zalodzonych dolinach Pięciu Stawów, od Gładkiej po Kotelnicę i Czarną Ławkę, Szpiglas, za Mnichem aż pod Cubrynę.

Chciałem wracać do Zakopanego inaczej, ale jakoś przed południem w ostatnim dniu starego roku niebo za-

ka i bacy, a będzie pełna tatrzańska idylla.

Szalasy pokazały się jednak wkrótce, choć nie w letnim słonku, lecz zasypiane prawie po dachy. W środku działy się jakieś dziwne sprawy. Zbyrakło coś i gwarzyło niezrozumiale, bo śnieg tłumil. Podszedłem więc jeszcze bliżej i przywarłem uchem do belek, a okiem do szpary.

W największym szalasie stał pośrodku swojej czeredy owiec baca i coś dokwalał, a wyglądało to tak, jak mogę z pamięci odтворzyć:

— Witom was w ostatni dzień stare-

KOLEDNICY

(Fotoreportaż Stanisława Śmierciaka)



Wieś sposobila się do Godów. Wprawdzie wojenny czas nie sprzyjał radości Bożego Narodzenia, ale w każdym domu, w każdym obejściu dało się widzieć gorączkową krzątanie gospodyń. Mężczyźni też ul gani przedświątecznym nastrojom; więcej z frontu rozdyli nowe nadzieje, umacniały wiarę, że tym razem już na pewno będą to ostatnie święta pod hitlerowską okupacją. Dlatego tu i ówdzie z przemysłowych skrytek i schowków wyprowadzono świnki, by przyrzucić z niej świąteczną strawę dla rodziny i sąsiadów, sięgano po mąkę na placki, strojono drzewka. Niech będzie jak co roku, jak zawsze, pokąd sięgala pamięć najstarszych mieszkańców wsi; niech będą — mimo wojny — prawdziwe Gody!

Piękna, mroźna pogoda i śnieg, który pobielł góry, jakby wspierały ludzi w ich pragnieniach.

Wilia owego 1944 roku przypadała na dzień 23 grudnia. Bo 24 to była niedziela, a wiadomo: w niedzielę się nie pości.

W piątek na drodze od Krościenka pojawiły się furmanki. Nikogo to nie zaniepokoiło — wiadano, że wieś, jak zawsze czujna, ma swoje strażę, które na pewno zasignalizują niebezpieczeństwo, a Niemcy zjeżdżali przecież zawsze samochodami, których warkot słyszano z dala. Jakież więc było zaskoczenie, gdy już dostrzeżono mundury hitlerowskie!

Niemcy błyskawicznie rozbiegli się po najbliższych domach. Nie było czasu na ukrycie kur, prosiaków — stawały się łatwym łupem zniecierpliwionego wroga. Przeznaczone na świąteczne stoły okuchniczan — miały sycić apetyty okupanta. Z beśzelną wsieklnością i żalem patrzono, jak od pistoletowych kul padają prośne maciory, jak na furmankach znikają z trudem wykarmione kaczki, jak kielbasa, której tygodniami szczędzono na Gody, zgarziana jest przez chciwe łapska. Lament kobiety poniosł się nad wsią — mężczyźni, gdzie który zdołał, pokryli się w piwnicach i na stryszkach. Nie pierwszy to raz hitlerowcy grabili Ochotnicę i wieś mogła być rada, jeśli tylko na grabież się kończyło...

Prawda, że miała Ochotnica swych wiernych obronców: partyzantów. Wszak w okolicznych lasach były silne oddziały radzieckie pod dowództwem Iwana Zolotara, których gorczakskie kryjówki chętnie poznali by hitlerowcy. Opodal Ochotnicy przebywali też „leśni” z 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. AK dowodzeni przez kapitana „Lampartą” — Juliana Zapalę z Niedźwiedzia. W niejednym domu ogromne, rozciągnięte na dwadzieścia jeden kilometrów wzdłuż potoku wsi kamiono partyzantów, prano im bieleżne, opatrywano rany, pielęgnowano chorych; z niejednego domu uciekali do leśnych oddziałów chłopcy. Dawali się partyzanci Szwabom we znaki! Niemcy pieklił się, zbierali siły, by zgnieść „banditen”. Na próżno.

Ochotnica dobrze pamiętała, jak przed dwoma zaledwie miesiącami, 17 października, od strony Krościenka i Nowego Sącza nadciągnęły kolumny samochodów. Przerazający był to wi-

dok: ze sto czterdzieści ciężarówek, a na nich cnyba parę tysięcy żołnierzy Wehrmachtu, SS, Sonderdienstu. Warczący motorami wąż sunął krętą drogą, mijając Ochotnicę Dolną i zatrzymał się w Górnej. W powietrzu huknęły samoloty patrolowe. Na próżno jednak hitlerowcy próbowali wdrzeć się w głąb gór: polscy i radzieccy partyzanci odpierali wszystkie ich ataki. Trzy dni trwała prawdziwa bitwa, a Niemcy, rozszwicezeni niepowodzeniem, podpalali domy i szalasy, zagarniali bydło. Musieli się jednak wycofać jak niepyzni, nie osiągnąwszy celu, jaki ich tu przywiódł: nie rozbił partyzantów, a swą próbę okupili śmiercią ponad siedemdziesięciu hitlerowców. Polaków padło dwóch, jeden radziecki partyzant był ranny.

Potem już nie ważyli się na większe akcje, choć raz po raz wpadali do wsi, a 6 grudnia zastrzelili w Ochotnicy dwóch ludzi, na których natknęli się przypadkowo.

Ale w ten przedwigliwny piątek wszystko wskazywało, że tym razem Ochotnica złoży jedynie ofiarę z dobytku. Niejedna gospodyni kłopotowała się już tylko, czym nakarmić domowników przez najbliższe dni i tygodnie; chyba przyjdzie prosić po tych sąsiadkach, których domy, położone dalej od drogi, ocalały przed grabieżą? Naraz nad wsią rozległy się strzały. Echo odbiło się od gór, zwielokrotniło. Kobiętom zatrzepotały serca, mężczyźni ukryci w schowkach wstrzymali dech...

Co się stało? W Miłnym, jednym z osiedli Ochotnicy Dolnej, zatrzymało się poprzedniego wieczoru sześciu zwiadowców radzieckich pod dowództwem Piotra Bockariowa. Rano, przed odejściem, zaszli do przygotowanego przez gospodynię poczęstunku. „Czym chała bogata...” — choćby była i niebogata, nie wypuszczono by przyjaźni głodnych w las. Nie mieli zresztą potrzeby się spieszyć, a dom na uboczu zapewniał spokojny wypoczynek. Naraz dobiegły ich krzyki. Ktoś wpadł do izby i zdyszany głosem krzyknął: „Wy tu jeste, a tam Niemcy ludzi grabią!”

Bockariów porwał karabin. — Za mną! — i wyskoczył na drogę. Biegli co sił w nogach. Koło Brzeźnego natknęli się na Niemców, którzy na ich widok rzucili w popłochu łup i zaczęli uciekać, ostrzelując się w biegu. Odezwał się niemiecki karabin maszynowy. Partyzanci próbowali go uciszyć, a jednocześnie myśleli: czy ktoś z oddziału „Lamparta” słyszy strzelanie, przyjdzie z pomocą? Karabin maszynowy zamilkł. Niemcy chwycili ciało kolegi, cisnęli na podwódkę, zacięli konie. „Leśni” pognali za nimi — trzech górą drogą, pozostali szosą.

Dotarli do osiedla Leskówka. Między domami Barnasiów i Konopków odbył się krwawy pojedynek; gdy jednemu z partyzantów skończyła się amunicja, hitlerowcy skorzystali z zaskoczenia i ostrzelali obydwa.

Z domu Barnasia wybiegli dwaj jego synowie: szesnastoletni Stanisław i czternastoletni Karol. Próbowali wciągnąć partyzantów do sieni. Niestety, jeden już nie żył, drugi skonał, zanim przetrzucili go przez próg. Matka w krzyk, bo w tym momencie od kara-

binowej serii z trzaskiem wyleciało okno. Chłopcy padli na podłogę i tak pozostali do końca walki.

Tymczasem dwóch hitlerowców mocowało się z bramą na podwórku Konopków. Nie zdążyli jej otworzyć — obu skosili strzały partyzantów. Kapitan SS dostał serce przez pierś, drugi z Niemców przeżył krzyże, lecz przytomności nie stracił. Żołnierze wciągnęli go do kuchni Konopków.

Kobiety krzyczały; strzelanina, a tu czworo dzieci, z których najmniejsze miało zaledwie parę miesięcy. Ludwik Konopka, ukryty na stryszku, niespo-

ców zagniecione ciasto, mężczyźni, bardziej przezorni, chowali gdzie się da co cenniejsze sprzęty i narzędzia gospodarskie, szczykowały wiadra z wodą — na wszelki wypadek, gdyby znów miały płonąć obejścia. Uprawdani było ze stołów, z obór, nawet ze wsi.

Około godziny jedenastej w sobotę, 23 grudnia, znów nad dolinę poniosł się warkot motorów. Wieś już wiedziała: nadzieje na spokojną wilię nie zostaną spełnione...

Kto mógł, kto zdążył — krył się w piwnicach, na strychach, uciekał do lasu, nawet w świeże zgłiszczu. Kto choć

Elżbie' 1

Tragiczne gody

kojnie nasłuchiwał tupotu, krzyków, strzałów. Niemcy rozległy się wybuchy — to eksplodowały granaty, ciśnięte na stołowe jego brata; dach zaczął płonąć, ogień przetrzucił się i na stołowe Ludwika.

Niemcy wycofali się w kierunku kościoła, zabierając po drodze swych zabitych. Tylko dwa hitlerowskie trupy zostały w domu Konopków. Konie, smagane batami, pociągnęły furmanki ku Rzece, a potem w stronę Krościenka. Niemcy jechali po posiłki.

Jeszcze tegoż wieczora wrócili na skraj wsi, na Rzekę, gdzie spalili cztery gospodarstwa i zamordowali Jana Cebulę, ojca proboszcza z Ochotnicy Dolnej. Nie ważyli się jednak zapuścić w głąb wsi — w głąb doliny, gdzie spodziewali się odsieczy partyzantów. Na szczęście nie mogli wiedzieć, że partyzanci są zbyt daleko, by przyjść Ochotnicy z pomocą...

We wsi gorączkowo dogaszano pożar obejścia Konopków, usuwano trupy — trzeba było przeczyć pochować zabitych partyzantów, trzeba było jak najszybciej wynieść z domu Ludwika Konopki ciała Niemców; złożono je w cmentarnej kostnicy. Kobiety szorowały podłogę, z której nie chciały zniknąć ślady krwi.

Barnasiowie: obaj chłopcy i matka — też zatarli ślady walki, a następnie uciekli w góry, do szalasy, gdzie już czekał na nich ojciec, ukrywający się tam od pewnego czasu.

Stamądz z Dłużyny, mieli nazajutrz — beżsilni — patrzeć na tragedię, jaką przeżywała Ochotnica.

Bo hitlerowcy nie zrezygnowali z odwetu. Nie zrezygnowali nawet w ten wigilijny dzień, choć wieś sądziła, że Niemcy, zawsze tak uroczyste świętujący Boże Narodzenie, odłożą rozprawę z Ochotnicą choć o kilka dni. Wieś ludzła się, że będzie mogła spokojnie zasiąść przy wigilijnych stołach — czujnie, to prawda, ale spokojnie... Chyba Niemcy nie pogwałcili święta? A jutro-pojutrze ochotniczanie zgarną dobytek i ujdą w góry, na hale...

Kobiety spieszenie wstawiały do pie-

chwile się zawahał, miał za daleko do bezpiecznej kryjówki — przeżył piekło!

Hitlerowskie ciężarówki stanęły przed kościołem, żołnierze wyskoczyli z nich szybko, sprawnie, z tą przerażającą sprawnością dobrze wyszkolonego żołnierza niosącego zagładę. Zabrzmiał rozkaz: wszystkie zabudowania palić, wszystko żywe — strzelać!

Niemcy wypełniali ten rozkaz skrupulatnie, z zacięłością, nawet z furii. Ciskali granaty na strzechy, strzelali pociskami zapalającymi, mordowali ludzi. Starców, kaleki, dzieci.

Spłonął dom Tetmajerów — tych samych Tetmajerów, z których rodziny wywodził się poeta mówiący o sobie, że mimo niemieckiego nazwiska jest Polakiem.

Padła zastrzelona osiemdziesięcioletnia staruszka, Bogusława Borzadowska.

Ogień trawił zabudowania Gronia, Plebanie i Dom Parafialny. Kuchnia, a księżka, nie mogąc pojąć, jak Niemcy nie uszanują księdzowej własności, zasnęła od kul.

Aleksandra i Julian Giedrzyńscy znaleźli grób w zgłiszczach swego domu.

Na Brzysku, do Chłipałów, wszedł Niemiec i zapowiedział: mam rozkaz was zastrzelić! Siedemdziesięcioletni Jan Kanty rzucił się na kolana: „Panie, ale cośmy my winni?” Niemiec zawał się, po czym kazał im wejść do piwnicy, a dom spalić. Szesnastoletni Tadek przetrzasnął się, zaczął uciekać — dostrzegł to inni hitlerowcy, posłali za chłopcem kule. Rannego w biodro Tadek kazał Janowi Jasiowi i Józefowi Jordanowi podprowadzić na cmentarz. Na ich oczach zakłuli chłopca bagnietami, roztrzaskali mu kółką głowę. Jagielto o parę zaledwie chwil przeżył Tadek. Jordan niewiele dłużej.

Usąsiedów Chłipałów — Kolanów — matka kazała synom schować się do piwnicy, a na krąg wtopczyła beczkę kapusty. Czekala, nacierając się za siebie w godzinie śmierci i za nich, swoje dzieci, żeby ocalili. Kula hitlerowska przerwała jej pancerz. Ale kiedy dom zapłonął, chłopcy wyskoczyli z kryjówek, która stała się pułapką, i zdołali umknąć. Jeden z nich

Kazimierz Wróbel

Wojenni

yli to najdziwniejsi koledzy, jakich kiedykolwiek widziano na Podhalu. W owych ponurych czasach terroru i strachu, kiedy to jasne okna domu były wystarczającym powodem do rozstrzelania wszystkich mieszkańców — im udawało się wszystko. Chodzili od wsi, do wsi, nie zważając na godzinę policyjną, śpiewali i grali, znajdując dla każdego właściwą pieśń, właściwe koledy. Nie stronili też od mieszkań niemieckich, zaglądali do jednostek wojskowych grenschutzu i górskiej żandarmerii, bratali się z jednostkami ustaszowców, Słowaków i Węgrów.

Koledowali!

Jak gdyby wojny nie było. Jakby nie obowiązywała ani godzina policyjna, ani surowy reżim zarządzeń okupanta. Drwili z nich, czy wierzyli w swoje szczęście? Może mieli jakieś „listy zelazne”?

Niefrasobliwa trójka. Z gwiazdą, kózka, katarzyną. Przez zaśniętą ukrocza, w zamyśle i mróz, po skrzypiącym od mrozu śniegu, w nocnej ciszy, pod rozgwieżdżonym niebem, przy pełni księżyca i przy nowiu — wędrowali. Niezmordowani, jak gdyby dla nich nie było odpoczynku, nocy i domu, w którym mogliby ogrzać swe niejednokrotnie skostniałe od trzymiesięcznych koledniczych instrumentów i zmęczone ręce oraz obtarte od onuc w drewnianych chodakach, z których wyławała słoma, utrudzone nogi...

Różnie ich przyjmowano, różnie witano. Przeważnie zamykano przed nimi drzwi i obejścia, broniłono spoczynku w stodolach i stajniach, nie wpuszczano do domów. Bano się ich. W owych czasach strach był uczuciem powszechnym. Niewiele chciało dać w schronienie innym, narażając siebie.

Bardziej gościnne bywały tabory w stajni i garze okupanta. Niemieckie



FOT: STANISŁAW ŚMIERCIAK

opłacili te chwile późniejszym pomieszczeniem zmysłów.

Zwa Chryczek, mieszkająca w małym domku przy drodze, nie miała serca zostawić swego skromnego dobytku. Spłonęła wraz z nim.

Katarzyna Nalewka, śmiertelnie ranna, padła w ucieczce.

Hitlerowska ekspedycja kamra posuwała się w głąb wsi. Palili, zabijali. Tak dotarli na Młynce.

Gdy żona Franka Mazurka zastawiła się rękami przed karabinem, błagając Niemca, by nie strzelał — kule przebiły jej ręce. Przeżyła cudem chyba...

światło pożarów, jak na dłoni. Nie było czasu szukać, wybierać, myśleć nawet o najbliższych. Krzyk, jaki niósł się nad wawozem Ochotnicy, świdrował w uszach, smagał, otepiał.

Ludwik Konopka z sąsiadem, Chrobakiem, ukryli się w piwnicy spalonego poprzedniego dnia obejsia. Kiedy jednak stało się jasne, że w żarze pożarów nie zdołają dłużej wytrwać — zdecydowali się na ucieczkę. Kule świstały im nad głowami, więc padli na ziemię i z pół kilometra czołgali się polem pod wielką lipę, za

kule. Żeby choć głowę do brudzy schować! — myśleli.

Wreszcie usłyszy się, nie było słychać ani niemieckich komend, ani samochodów. Zeszli — czujnie — do wsi. Ten dom stoi; czy żyją jego gospodarze? Ocaleli... A swoi? Co z najbliższymi?

Dom Konopków też stał cały, żona Ludwika schroniła się u sąsiadów.

Noc wigilijna przyniosła Ochotnicy głuchą ciszę. Ludzie, którzy ocaleli, kryli się w zgłuszcach, w lasach, w szalaszach. Wiesz, wymarła, jaryła się tunami pożarów. Osiemnaście gospodarstw Ochotnicy Dolnej zamieniło się w pogorzelska, często — w stosy ofiarne swych mieszkańców. Dopiero po kilku dniach z wystygających popielisk można było wydobyć szczątki, zaniesić na cmentarz.

Osiemnaście spośród pięćdziesięciu czterech ciał ofiar krwawej wigilii chowano w Boże Narodzenie. W ocalałym kościele w drugi dzień świąt, we wtorek, modlono się za zabitych i za żywych. Dziwnie uroczyste, tragicznie brzmiały słowa: „Jeszcze Polska...”, śpiewane nad mogiłami. Pod ochroną partyzantów — tych, którzy nie zdążyli z odsieczą, a teraz ostatnią salwą oddawali pokłon pomordowanym — odbywał się pogrzeb.

Wiesz częściowo opustoszała; co mieli ze sobą począć ci, których domy spalono? Część udała się do rodzin w innych miejscowościach, część — zwłaszcza młodzi mężczyźni — do „leśnych”, by choć pomóc tragedię Ochotnicy.

Ci, którzy zostali we wsi, raz jeszcze przeżyli dramatyczne chwile.

W Sylwestra — 31 grudnia — znów

zawarowały motory w dolinie. Około dwustu Niemców, ubranych w białe ochronne kombinony, zaatakowało szkołę, która tylekroć gościła partyzantów. Zniszczyli ją, a do długiej listy swych ofiar dodali Niemcy jeszcze dwie.

Dopełniła się ofiara tragicznych Godów Ochotnicy.

Jest w naszym kraju piękny zwyczaj, że na wigilijnym stole stawia się nakrycie dla niespodziewanego gościa.

W Ochotnickich domach znano ten zwyczaj od dawien dawna, przestrzegano go z całym uszanowaniem dla tradycji.

Tak jest do dziś. Ale od owej pamiętnej wili 1944 roku ten dodatkowy talerz nie czeka na spóźnionego gościa. Stawiają go gospodynie przez pamięć o tych, którzy do wigilijnego stołu nigdy już nie zasiadają — o tych, którzy w ostatnią wilię swego życia nie zdążyli przełamać się z bliskimi opłatkami.

Nie ma w Ochotnicy domu, gdzie radość Godów nie byłaby zaprawiona gorącą wspomnień. Świeczki na cmentarzu i pod pomnikami pamięci, palące się w wigilijny wieczór, też przypominają, choć nikomu we wsi przypominać nie trzeba...

Lży w oczach kobiet, lży w oczach dorosłych mężczyzn, gdy wspominają tamten czas, świadczą, jak boleśnie obecny jest on w pamięci, w myślach. Tamten czas, gdy w wigilijny wieczór płonęły w Ochotnicy nie światła na choinkach, lecz domy, a płacz i krzyk niósł się nad ochotnickim wawozem zamiast koledy...

Glinka

Ochotnicy

Śmierć dosięgła Goldynów, ogień strawił ich dom.

W domostwie Jana Brzeźnego — soltysa — znajdowały się dwie rodziny: dziadka i syna. Strwożeni, siedzieli w izbie, nie wiedząc, czy prosić Boga o ratunek, czy już tylko o rychłą, bez cierpienia śmierć. Gdy otwarty się drzwi i stanęli w nich Niemcy — bronią gotową do strzału w wszyscy struchleli. Nikt dziś nie wie, czemu hitlerowcy kazali dziadkowi, Stanisławowi, przejść do drugiego pokoju? Szedł jakoś bokiem, jakby chcąc stać się jak najmniejszym celem dla kul. I kiedy uderzyła go w pierś, prześlizgnęła się po niej bokiem. Stary padł na ziemię, udając martwego. Obok niego padali nieżywi pozostali członkowie rodziny. Jeden z nich, ranny tylko jak dziadek, nie wytrzymał i kiedy Niemcy krzyknęli, że podpalają dom — uniósł głowę. To go zgubiło. Dziadek nie drgnął. Był przytomny i kiedy Niemcy już się wycofali z obejsia, stary Brzeźny, potykając się i krwawiąc, zdołał z niego umknąć do młyna. Ukrył się pod młynskim kołem i siedział tak długo, noki nie upewnił się, że tym razem hitlerowcy odeszli daleko.

Z rodziny Brzeźnych ocalała jeszcze mała córka, którą strzał niemiecki okaleczył na całe życie.

Kiedy Niemcy podpalili domostwo Kawalców, Maria z maleństwem wybiegła na dwór w panicznej ucieczce. Krzyk dziecka zdradził Marię — celny strzał przewrócił ją na ziemię. Nim skończyła, kulem, oplekującym gestem przycisnęła dziecko do piersi. Zanim ich odnaleźli po odjeździe Niemców, niemowlę zamarzło w uścisku matki. Tak ich razem pochowano.

Po latach właśnie postać Marii Kawalców posłużyła rzeźbiarzowi za wzór dla pomnika pamięci w Ochotnicy.

Maria Morawczyńska spłonęła żywcem we własnej stajni. Jej krzyk wybił się ponad wrzawę, dobiegł uszu Barnasiów ukrytych w szalaszach, za wsią.

Ludzie uciekali gdzie kto mógł. Byłe dalej od złowrogich mundurów, byłe dalej od niosących śmierć kul, byłe dalej od ognia trawiącego wszystko. Kryli się po wawozach i stokach, bez tchu, pod ostrzałem, widoczni na śniegu, w

którą chcieli się schować. Niedługo jednak mogli przy niej zostać — wnet drzażgi poszły z pnia! Wziew znów odskoczyli, aż za spichlerz, za ostatni dom. Wpadli w wawóz. Dalej nie było jak uciekać pod ostrzałem. Leżeli więc, patrząc na płonącą wioskę, póki nie ustyszeć niemieckich komend wzywających do odwrotu. Rzeczywiście — po kładce przez potok zaczęli przebiegać hitlerowcy, a po chwili zawarowały motory.

Szybko, szybko do domów, ratować co się jeszcze da!

Przelecieli się. Odjechały dopiero dwa wozy z sześciu. Znow zaświsnęły



FOT: STANISŁAW ŚMIERCIAK

Nowy Targ

kolednicy

Koniuchy, mechanicy i służba pomocnicza przychylnie przyjmowali koledników, którzy wzbudzały swym wyglądem więcej niż litość, mniej niż sympatię; odrobienie pogardy i współczucia, tego uczucia, jakie miewa nawet najbardziej zły człowiek na widok psa, który o własnych siłach nie może być bować, jest głodny i wyczerpany. To też goszczono czasem koledników w niemieckich kuchniach wojskowych resztkami wojkowego eintopfu — zawieszist zupy z kawałkami mięsa, powalano im się przespierać przy magazynach, w kotłowniach, w ciepłych miejscach, gdzie mogli nawet się obmyć, ogolić, przebrać w rozczochrane, skotłunione włosy.

Można było sądzić, że gdyby dało się koledować przez cały rok — robiliby to chętnie. Wszak już z końcem listopada pojawiali się na szlakach wędrówek i pozostawali na nich do marca, długo poza Trzech Króli.

Tylko najbardziej wnikliwy obser-

wator mógł zauważyć, że ich krokami nie kierowała chęć włóczęgi, ale jakieś inne, choć niejasne — cele.

„Stille Nacht, heilige Nacht” — koleda o cichej i spokojnej nocy ludzila; czy takie noce jeszcze istniały? Nawet Niemcy ulegali urokowi pieśni. Albo ta o tannenbaumie — choince, której zielone igły błyszczą w światłach świec... Gwiazdka, kolorowa, obracała się — szybko, szybko. I koza, ów słowiański, wcześniejszy od chrześcijańskich wierzeń „turoń”, kłapała pyskiem, pobrzekiwała łańcuchem. A katarzyniarz kręcił korbą swojej grającej przenośnej szafy i sam się też obracał wokół jak bąk.

W oku cykilonu jest najbezpiecznie — mówi żeglarskie przysłowie; sprawdzalo się to i w przypadku koledników. Najwięcej kłopotu mieli nie z niemiecką kadraj w ścisłe strzeżonych, zamkniętych obiektach, ale ze zwykłymi patrolami na drodze, na ulicach miast czy wiosek. Jednak wszyst-

kich zjednywały koledy — śpiewane kaleczoną niemiecką, ale brzmiały im swojsko. A katarzyniarz kręcący się jak fryga, z terkoczącą korbką, robiący błażeńskie miny, śmieszył i rozbrajał swą bezgraniczną głupotą.

Trójce koledników czasem się dziwnie spieszyło i wówczas zapominali o śpiewaniu. Innym zaś razem przez dłuższy czas nie odchodzili z jakiegokolwiek miejsca. W ich zachowaniu było przecież coś zastanawiającego: ukryta celowość i przemyślenie, nieprzypadkowość ruchów, wnikliwość obserwacji i systematyczność w odwiedzaniu miejsc, w których w ogóle nie powinni przebywać.

Jakby liczyli okna w budynkach koszar i posterunków, oglądali ich wyposażenie w broń, badali obronność.

I choć nawet śpiewali wówczas koledy o choince czy cichej nocy, robili to jakby dla pozorów, dla kamuflażu.

A potem z oglądaniem przez nich obiektami działy się rzeczy dziwne: palily się składy z amunicją, z benzyną, wylatywały w powietrze materiały wybuchowe, nie dawały się uruchomić ciężkie cłagniki i czołgi, a tabory — konie nie były w stanie uciągnąć nawet zurykłego przewoźnikowego wozu. Wysadzano w powietrze mosty i wojskowe pociągi z transportami na

wschód, ginęli strażnicy niemieccy i żandarmi.

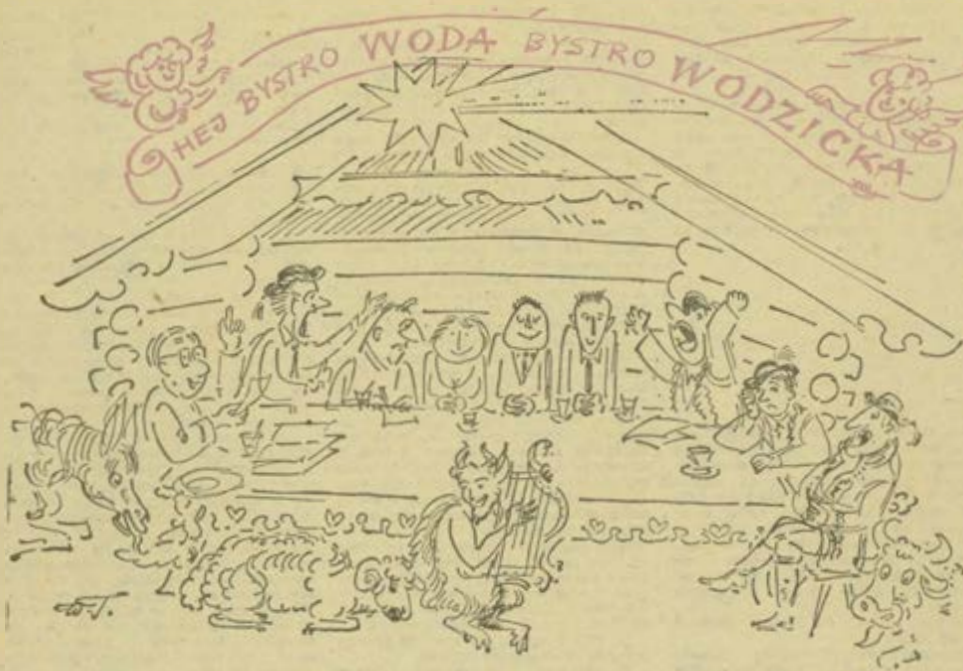
Często też kolednicy, wędrując przez wioski, zwiastowali nieszaczące, budząc strach i nienawiść.

Przedziwne śpiewali koledy:

**Uciekajcie biedni ludzie
zaraz tu okupant budzie
kto żyw, kto żyw niech ucieka
tu nie miejsce dla człowieka
spłonie dom i zginie wioska
niech was broni — ręka boska.**

I jakby wykrakali zię: płonęły wioski, strzelano do ludzi, szerzył się strach i popioch.

Wreszcie śmierć dosięgła i koledników. A wtedy z rozbitą katarzyną wyjęto małą, przenośną radiostację, rozmontowano sprzęt z korbką do kręcenia melodii — aparat filmowy. U turońa znaleziono notatki oraz aparat fotograficzny wraz z zapasem czułych filmów. A w gwieździe, która spłonęła, ukryte były części zapasowe. Zmasakrowane ciała koledników długo leżały na śniegu.



Zebranie w redakcji „Dunajca”
zagaja NACZELNY:

Czas burzliwy, czas namiętny,
Czas odnowy, starć zaciętych,
Ktoś wyrasta, ktoś tam spada.

Czasem klaszcze, czasem kasa,
Czasem śmiesz, czasem boli.
Szopa z ziemi i ze soli!

SZEPT Z SALI:

W czyje on się piórka stroi?

Prezydium, plenum, forum,
dyskusję,
Wybermy ciało, leczmy chorego,
Zbiorowa mądrość nie ma
winnego.

**PODNIESIONY GŁOS
Z KOŃCA SALI:**

O czym tu gadać, po co narady,
Na taczki z nimi,
Do diabła z wami,
Stajnię Augiasza oczyścić trzeba.
Nie słów, lecz czynów!
Psiakrew! Cholera!

TONUJĄCY GŁOS „SZEFA”:

Co tu się dzieje, co to za krzyki!
Po co tych słów przelewanie,
Byłem już szefem i kierownikiem,
A inspektorem zostanę.

**GŁOS STAREGO
ZWIĄZKOWCA:**

Drogi szefie,
Inspektorze,
Dalej być już
Tak nie może.
Czyś już słyszał,
Co się święci,
Jaką los nam
Życie kręci?

„S Z E F”:

Nie słyszałem,
Nie widziałem,
Umysłowo
Zardzewiałem.

STARY ZWIĄZKOWIEC:

Kierowniku,
Inspektorze,
Kto w zmartwieniu
Nam pomoże?

Na nic rady
Gospodarcze,
Jak gotować
Jejka w szklance!

„S Z E F”:

Co ty mówisz,
Co ty bredzisz,
Jakieś wrogie
Ciasto miesisz,
Młóćisz mierzwę
Wymłóconą,
Nie dostrzegasz,
Co zrobiono.

STARY ZWIĄZKOWIEC:

Gdzie ty żyjesz,
Co ty jadasz?
Może pijesz
Co dzień alas
I dlatego co ubogo,
Widzisz w nocy
Na różowo?

„S Z E F”:

Nic nie jadam!
Nic nie pijam!
Kaloryczną
Dietę trzymam.
Tylko grzanki
I selery,
Na śniadanie
Żółte sery.

STARY ZWIĄZKOWIEC:

Uwierz wreszcie!
Świat się zmienia,
Przemijają pokolenia.
Przestań w bajki
Dawać nurka,
Wilk już dawno
Zjadł kapturka.

„S Z E F”:

Bajki lubię
Ja szalenie,
Zwłaszcza kiedy
Są na scenie.
Przedstawienia
Kukielkowe
Dają radość,
Dają zdrowie.

STARY ZWIĄZKOWIEC:

Coraz gorzej!

„S Z E F”:

Mnie wygodniej.

STARY ZWIĄZKOWIEC:

Coraz srożej!

„S Z E F”:

Jest łagodniej.

STARY ZWIĄZKOWIEC:

Ktoś nas dusi!

„S Z E F”:

Wróg cię kusi!

STARY ZWIĄZKOWIEC:

Ja chcę wiedzieć!

„S Z E F”:

Cicho siedzieć!!



GŁOS Z SALI:

Po staremu facet gada!

NACZELNY (ciągnie dalej):

Ktoś wyrasta, ktoś tam spada,
A tradycja podpowiada,
W czas świąteczny, w czas
zimowy,
Zrobić szopkę. Szopkę zrobić!
Nasza wspólna polska szopka,

NACZELNY (ciągnie dalej):

Myśli splątać, wysnuć wątek.
Solidarność! Prawość! Wrzątek!
Pisać szybko! Paranoja!
Stąd nauka się wysnowa,
Nowe związki, nowa zgoda,
Lecz pamiętać ku przestrodze,
Mądry Polak, lecz po szkodzie.
Czas coś zmienić w górskim
rodzcie.

Do roboty! Szkoda w przodzie!!

**KONSTRUKTYWNY GŁOS
Z SALI:**

Zrobmy kolektyw, zrobmy
obdukcję.



NACZELNY:

To jest personalna draka!
Po co czepiać się biedaka?
On nie winien, władza winna,
Bo go stawiać nie powinna!

GŁOS „SOLIDARNOSCI”:

Która władza? Zaraz władza!
Coś redaktor tu przesadza
Nam się zdaje — to jest sprawa;
Żeby rozum Bozia dała!!!

GŁOS MŁODZIEŻOWCA:

My, młodzieżowcy, przyszłość
narodu,
My, wychowani na ludzi,
Żadne nas wrogi złamać nie mogą
I żadna trudność nie studzi.
Gorące serca i wielkie czyny
Znany to wszystkim mechanizm,
Rury kładziemy i gaz ciągniemy,
Bo zdrowy mamy organizm.
Dajcie wykrzyknąć
to, co w nas wzbiera,
pozwólcie wypłynąć
to, co w nas brzmi,
my mamy prawo,
bo myślimy młodzi,
nam przecież bardzo
zła cisza szkodzi.
Krzyczmy więc, krzyczmy więc.
Może wyjdzie z tego wiec.
Krzyczmy więc, krzyczmy więc.
No — zaczynam! Raz... dwa

STARZY GÓRAL:

E e, e e, bee, bececece

Stare chwytły stare granie,
Stare karty, złe liczmany.

AKTYWNY DZIAŁACZ:

Żle zostałem zrozumiany!
Ja jako góral z wyboru
(daję wam słowo honoru),
najbardziej z tej ciemnej masy
nie rozumiem naszej prasy.
Wciąż na łamach brak czerwieni,
kiedy się to wreszcie zmieni?!

NACZELNY:

Co ty chłopie opowiadasz,
aż przykro jest tego słuchać,
musiał ci za bardzo hałny
czegoś do głowy nadmuchać.

PIERWSZY:

Panowie, przestańcie bredzić.
idzie NOWE — trzeba śledzić,
Zabraniam wam lby zakute
bezowocną wieść dysputę!

NAIWNA:

Wzrosła przeciętna i nominalna
Nasza miesięczna płaca realna.
I pełni wiary, że tyle mamy,
Siedzimy sobie i obliczamy.
Nasze są hutny, banki i stocznie!

SZEPT Z SALI:

Co szary człowiek ze stoczną
pocznie?



JANTOŚ:

To jest moja baba
Kasia się nazywo
Jako sekretarki
W nocy jom używam
Baba w dzień gazduje
W nocy postuluję
Hej koleda, koleda!

GAŹDZINA OD JANTKA (śpiewa),

Idzie Jantko idzie,
dowiedzieć się w Szacu
może się odnowi jesce w tym
miesiącu.

Ładnie ze sie ubier,
weź kartki na cukier
hej koleda koleda!
Przyłotom ci laty
na kabacie nowym,
dym ci postulaty odnośnie

odnowy.
Jok bedzies przy panak,
nie zgnoj kolana
hej koleda koleda!
Ozdroj sie dobrze,
pomacoy dywanoy
(i rolke papieru mozes ultras kany
— przydo sie nom przecie w nasej
toalecie)

Idzie, Ceko na pociąg. Potem na
PKS. Nic nie jedzie. Brak ogumienia,
paliwa, mocy przerobowych, biletów,
dobrych chęci i czego tam jesce. Idzie
na nogak. Pod Chabówką słyszy z góry
jek:

JEK Z GÓRY:

Jezus Maryjo, Jantek i

JANTOŚ:

Je cos to tam wisi
na tym drucie.
Jakiesi cudactwo w jednym bucie!

JEK Z GÓRY:

Kiedys byl ze mnie Gabryś
Archaniol.
Mały czy duży, to mi się klaniał.
Byłem bielutki jak: gęsi puszek,
Teraz na drucie tu wisieć muszę.

JANTOŚ:

Sietniawy janiółku, piórka mos
zabrane,

moze byk ci pomógł, ale nie
dostane."

Zreżtom śpiese, bo się cosi
nowe rodzi, nowe głosi.

ARCHANIOL:

Jak mnie uwolnisz, kochany
chłopie,
To ja ci powiem, co jest w tej
szopie.

NADCHODZĄ GOSPODYNIE WIEJSKIE (śpiewają):

Tańcom hrube gospodynie,
w stajni kwicom głodne świnię,
Gospodarzu weźcie kija,
trzeba świniom dać po ryjak.
Nie rozumie świnia jedna,
ze kultura jest potrzebna
i ze jom w społecnym cynie
pokazujom gospodynie.

Głupie świnię narzekajom,
ze gospodarz jeść nie dajom.
Świnio jedna nie narzykoj,
wytre ci ryj statystykom.
To w gazetach różne, ślicne,
do odnowy som wytycne.
Weź Kasiu na sieckarnie,
bedom lo świnek na karmie!
Moze wreszcie nawet świnię
pojmom kryzysu przyczyne,
ino trzeba do chlwków,
popodłacać sieć głośników!

ARCHANIOL:

Ludzie kochane!
Skrzydło mam złamane.
Smutno mi — żalownie
i ogon mi rośnie!

JANTOŚ:

Kiedy my się ześli,
wybermy samorząd.
nie dajmy się wiazać.
niek nami nie orzom!

WSZYSCY:

Nie wie kto z was mili bracia,
co to teraz za dziwy?
Wszyscy się dziś wygłupiają,
nikt już nie jest prawdziwy?

Ten ma zawał, te ma zanik,
tego wcale nie było,
nie pamięta, nie nie widział,
co się wtedy zdarzyło!

(CIĄG DALSZY NA STR. 10)



PRZECIWKONSTRUKTYWNY GŁOS Z SALI:

Różne trudności dziś występują
Na rynku mamy napięcia
Ważne pytania ludzi nurtują
A w gospodarce są ciecica.
Może owczarstwo trzeba rozwijać

A może obsiać ugory?
W tej sytuacji należy myśleć
Albo zamówić nieszpory!!

GŁOS AKTYWNEGO DZIAŁACZA:

Ja to załatwię, ja to odkrecę.
Tu zapisałem sobie naprędec.

PODNIESIONY GŁOS Z SALI:

Rzeczy boskie! Co on gada?!

Tu nie Plenum! Tu nie Rada!!!

NACZELNY

DO PODNIESIONEGO GŁOSU:

Niech pan siada, niech pan siada.
Nowy czas się tym wyklada,
Kto co myśli to niech gada!

NACZELNY DO AKTYWNEGO DZIAŁACZA:

Pan zaś musi, drogi panie
Swoim słowem zmienić ramy,

NAIWNA (ciągnie dalej):

Nasze są trzody, nasze ogiery,
Nasze fabryki i Pegeery,
Nasza jest wiosna i nasza zima.

SZEPT Z SALI:

Sklepy też nasze, a żarcia nie ma.

NAIWNA (dalej):

My pod sztandarem, my ideowo,
Z odkrytym czołem, boso i goło,
Rachunek, prosty, wniosek się
kluje:
My POSIADACZE, a nie
burżuę.

SĄDECKI „PNIOK”:

Ziemio sądecka, ziemio gościnną,
Ziemio Łachów i ziemio Górali,
Jesteś jak dziewczka młoda,
niewinna,
Z którą by chętnie turyści spali.

GŁOS GÓRALA:

Ja jestem góral,
Me gniazdo łaba.
Jak szopka szopka,
Musi być gazda.
Góralska wizja
Inna od pańskiej.
No, to opowiem,
Uchylcie czapki!





(DOKOŃCZENIE ZE STR. 9)

ARCHANIOL:

Chciałem wam ludzi
pokażać drogę,
ale zawisłem,
no więc nie mogę.
Bracia górale!
dobrze wam chciałem,
skopaliście mnie
aż poczerniałem.

WSZYSCY:

Wisi gdzieś w przestrzeni
stworzonko obłudne,
rączęta ma czyste,
choć skrzydełka brudne.



PTASZEK:

Ludu!
Do cudu!
Nowe się rodzi,
już prawie chodzi!

WSZYSCY:

Gdzie ptaszku, gdzie ptaszku,
na górze czy w dole?

PTASZEK:

W waszych serduszkach
i w kapeluszkach
Lachy i Górale!

JANTOŚ (śpiewa):

Do Sząca, hej pastyrzku!
Do Sząca, bo tam cud,
cud boski jest dojechać,
prawie daremny trud!



Śpiwojcie zakopanie,
robacie grojcie bas,
kiedy tu zrobim drogę?
Byłby nojwysy cas.

Idzie diabeł i śmierć. Niesom po-
rządne widły i porządnom kose. Śpie-
wają:

DIABEŁ:

Kumosiu, kostusiu,
moje ukochanie,
archaniol na drucie,
a pod nim zebranie!

ŚMIERZĆ:

Kumotrze rogaty,
chodźom po zebraniak,
mieli iść do sopy
dziecinie się kłaniać.

GOSPODYNIE:

Tak nie było i nie będzie,
nie będziemy cicho siedzieć,
Jak same nie damy rady,
zrobim „Cyrwone Brygady”!

(śpiewają):

Jo se kumoska, tyś se kumoska,
obie my kumoski,
przydoł by sie nom jaki kumoter,
coby miol piniązki!
Droge sie zrobi, most sie zbuduje,
placić nima z cego,
trza uprowadzić za dobry okup
Henia Kosteckiego!

(sposztrzegły diabła i śmierć)

GOSPODYNIE:

Widzis ik! To trutnie!
Ten dziubnie, ta utnie,
sprzęt marnujom,
nie sanujom!

(Akt samowoli odbył się błyskawicz-
nie. Bez cienia bojaźni Bożej, bez strachu
przed czartern. Widły i kosa jako
przedmioty luksusu zostały natychmiast
odebrane siłom nieczystym. Poszli. Ptas-
zek prowadził. Dołączają się pastusz-
kowie).

PASTUSZKOWIE:

Do szopy, hej pasterze,
do szopy, bo tam złób,
kto pierwszy doń przybież,
będzie miał pelen brzuch!

WSZYSCY:

Podnieś Rączkę male dziecko,
niech w szerokim widać świecie.
Naska Rączka, spracowana,
do rządzenia doskonała!

(Robi się ogromny wrzask, popy-
chanie):

Wągla nima, kasy nima,
w statystyce było,
kto temu winien, kogo obwiesić,
kogo huknąć w ryło?

(Święty Józef nie jest w stanie opa-
nować sytuacji. Pastuszkowie naprzy-
nosili kielbas baranich i zaprzeczają
ogólnej sytuacji rynkowej. Osiół wpro-
wadził kartki na siano dla wolu.
Pomieszczeni się wszyscy. Elementy z
alimentami, partyjni z bezpartyjnymi
i wywierają na siebie wpływ).

KOGUT NA DACHU:

Ale szopka! Niech się w rosół
przemienię!
O czym teraz nie gadać — to jest
zagadnienie!



JÓZEF STARY:

Grzmiały mi w życiu przeróżne
burze,
Deszcze spadały na głowę,
a za chwileczkę słońko świeciło
i przeżywałem odnowę.
Człek hipnął, krzyknął,
posiedział w kiciu,
zaciśnął zęby i pasek,
aż się tam w górze uspokoił
i znów nastały dni jasne.
Święty Józefie, już ponad siły
kolejną przeżyć odnowę!
Nigdzie kilofa kupić nie można,
czem se wykopię grobek?...

TWÓRCY LUDOWI:

Baby my se baby,
chłopy my se chłopcy,
pisemy wiyrsyki
na kopy na kopy,
klepiemy podkówki,
malujemy krówki, hej kołeda,
kołeda!
Kliske, Zagórzanie, Lachy
i Górale,
pokożcie wyrażnie, pokił wase
pole,
świętki frasośliwe,
postulaty żywe, hej kołeda,
kołeda.

TRZEJ KRÓLOWIE:

Wiecie, w tej szopie, jakby rzecz
można
trzeba się ruszać raczej z ostrożna.
Bo nikt przewidzieć nie jest tu
w stanie,
jaki element przy tobie stanie.

Jesteś czerwony, to zzieleniejesz
jesteś zielony to zapleśniejesz!

MAŁY:

Hej, chłopcy coście przyszli dziś do
szopy i wy różne braty-laty, czy
są jakieś postulaty?

WSZYSCY:

Są! Nie ma, nie ma, są ale idą
w stronę złą. A kto zgadnie, która
strona jest na dobro nastawiona?
Gadu, gadu, klasku, klasku, nasy-
pią nam w oczy piasku.

DIABEŁ:

Piana się toczy z telewizora,
piana platami spada z gazety,
jak uratować uzurpatora
i jak ze śmieci robić kotlety.

Piana się toczy z pysków i buzi,
z każdego szczękla spadają

bryzgi,
kłapią szczękami mali i duzi,
czy robić jatki, czy też umizgi.

Gadanie, gadanie!

Leją się wody strugi,
Kto wyróżnie „niewiniątka”,
Kto niewinnych wygubi!

(Tu następuje interwencja i zarzuty.
Przy okazji prokurator odkrywa wiel-
kie rezerwy żywności w postaci osła,
wolu, baranków. Za workiem z prze-
mrożonymi ziemniakami siedział ele-
ment i robił coś anty. II-gi odszedł z
szopy na własne żądanie ze względu
na stan zdrowia. Jantus sie do chałupy
wrócił, na pisanie wiyrsyków „prośbo
od krowy” sie przerzucił).

WSZYSCY:

To że śnieg pada — w prawo!
Dla mrozu wodę skuć jest zabawą.
Człowiek ma buty, człowiek ma
futro,
dwa kilo węgla też ma na jutro.
Człowiek na drzewo może wejść
w zimie,
może się tarzać w śnieżnej
pierzynie.
Byle miał rozum i serce zdrowe,
przeżyje śmiało każdą odnowę!

NACZELNY:

Płynie Dunajcem kołeda
Od Ropy hen na Orawę
I łączą się nasze serca
Na wspólną, wielką zabawę.

SZEPT Z SALI:

On coś znówu lakieruje!
W tym to on się nieźle czuj..

GŁOS MA PROZA:

Tych, którzy mają zamiar wspina-
się po szczelach drabiny ostrze-
gamy:

— DRABINA W REMONCIE! —

Wiele szczelbi zostało powylamywa-
nych. Najmocniej trzymają się te dol-
ne; środkowe się chwieją. Naprawa
rozpoczęła się od szczelbi górnych. W
obecnej chwili wspinięciem się jest ry-
zykowne. Należy poczekać, aż cała
drabina zostanie odnowiona. Pozostaje
jednak problem, czy będzie to stara
drabina z wymienionymi szczelbami,
czy nowa drabina z niektórymi stary-
mi szczelbami.

GŁOS Z ZAŚWIATÓW:

I tażta sprawa na tem,
Jak pogodzić dupę z batem!

NADLATUJĄ DIABŁY
I ANIOŁY

ANIOŁY:

Stańmy razem do szeregu,
Wystartował kraj do biegu.
Gniew nasz wielki, pieśń
zwycięska,

A zaczęło się od mięsa.
Trudny los tak nas sposobił,
Z ładaczy chleba
W anioły przerobił.

DIABŁY:

Hejże bracia, w górę uszy!
Nas jest kupa — kto ją ruszy?
Znamy, znamy swoje role,
Wywiedziemy wszystkich w pole.

ANIOŁY:

Co najgorsze już za nami,
Wszystko mamy na papierze.
Potulaty, obietnice,
Tęgo nikt nam nie odbierze!

DIABŁY:

Trzeba nam konsolidacji,
A młotczkim — demokracji!

ANIOŁY:

Ze nie wszystkich rozliczono?
Dalej tkwią w spokoju błogim?
Może jeszcze się zawstydzą
Sami wezmą za pas nogi?



DIABŁY:

No, panowie? cisza w koło!
Burza przeszła, wszystko cacy!
Więc zabawmy się wesoło!
I do pracy! I do pracy!

ANIOŁY:

Więc kończymy tę dyskusję
I idziemy do roboty:
Kuba, Jurek do buraków
No, a my — do kombinatu!

(Prezydium zarządza przerwę, Komu-
nizm specjalny:

W obecnych warunkach nie należy
ścisłej drogi posypywać piaskiem —
większa tarć. Należy sypać solą —
rozpuszczać).

PRZEBUDZONY:

W tym roku nie było centralnych
dożynek. Były żniwa — ścięto.

PIERWSZY:

Wznawiam zebranie
Z okazji kołedy.
Wynocha stąd dranie
I zbutwiałe zrędy.

NACZELNY:

Sztudynger z Pachem wadzą się
za grobu,
ale my ich w szopce pogodzimy
Obu.



SZTAUDYNGER:

Mógłbym dziś solennie przysiąc,
że kochacie już Nowy Sącz.

PACH:

Uwierz, że z Adama Pacha
nie uczynią nigdy Lacha.

SZTAUDYNGER:

To historia nam wyjaśni:
czas zaciera ślady waśni.

PACH:

Góral z Ceprem dziwna para,
nawet gdy się władza stara...

SZTAUDYNGER:

U was dużo jest Gąsienic,
a u Lachów zaś kapusty,
tędy łatwiej jest pożenić,
gdy żołądek burczy pusty.

PACH:

Pod Tatrą mamy hale,
co „zielenią” nam się stale.

SZTAUDYNGER:

Tatrzański Park Narodowy
na plan „antywypasowy”.

PACH:

Nasze „zielone” granice
są aż, Panie, w Ameryce...

DUCH ANTONIEGO KENARA:

Pytam cię ja, Zakopane,
czy się bardzo starasz,
by młodych artystów talent
kształtować podług Kenara?

Zrywa się

WLADYSŁAW IIASIOR:

U mnie klody, a nie skrzydła,
sytuacja mi obrzydła.
Ja nie chcę uznania,
medali, kochania,
wołam więc skromnie:
dajcie mi pracownię!

DUCH STANISŁAWA NĘDZY KUBIŃCA:

Gdzie są te białe barany,
gdzie te oscypki i kierzce?
Tak myślę, Jezu kochany,
że dziś umarłbym na serce.

Odpowiadają owieczki na hali:

Siostrzyczki, czy wam nie żal,
zielonych, gorczańskich hal?
Tam dace, baczki, szalasy,
pełne wrzawy lasy.

Owieczki poszły stąd precz,
oj, jakże to dziwna rzecz?
A wszystkim trzeba kożuchów,
i skór, i welny, i mięsa.

Czy nikt nas tutaj nie poprze?
Więc stado się pójdzie waleśać!
Od Tatr i Gore po Bieszczady,
Tam wszędzie dla nas dość trawy.
A tutaj, jak wola tych „z góry”,
niech z nich zdzierają skóry.

GŁOS ROZSADKU:

Zdaje się, że dawniej
Wszyscy zaczęli mieli.
A teraz jak w bajce
Cudownie przejrżeli!

KOLEDNICY:

Dziś nowe nadchodzi,
kraj się nam odrodzi,
ciemna noc przeszłości
odarta do kości.

Towarzysze się radują
i zaciekle obradują
co dzień,
co dzień
cierpienie każdy złodziej.

KOLEDA O ODNOWIE

Nowy rok bieży,
a sprawa leży.
A co to?
Drobne problemy
wnet rozwiążemy,
lecz sami.

Jeśli na koncie
jakieś pieniądze
znajdziecie,
pomyslcie zaraz,
że kraj się znalazł
w kłopotcie.



Niech oni im beczą w koszarze
i pasą się jak zwyczaj kaze!

DUCH WITKIEWICZOWEJ:

Obruszyłby się Witkacy
widząc dziś góralskie bloki,
niebotyczne i szkaradne,
siągające pod obłoki.

CHÓR:

Hej, było dwóch Stefanów
między nimi pustka.
Co dał Stefan Batory,
zabrali za Gustka.

Witkiewicz domy stworzył,
dziś już coraz rzadsze.
Szymkiewicz ino pismo,
co się zwie Podtatrze.

A stare góralskie nawyczki
Skupiły się u Słodyczki.

Zborowski, wiadomo, najlepszy,
Może Szczepanek nie spieprzy!

Na Równię Krupową wpada gro-
mada dziarska i zgłasza nowy postu-
lat: „Równia Szaflarska”.
Przez Białą Dunajec, Poronin, Szaflary
zbieramy dla Targu kołędnicze dary.

CHÓR:

Nie opodal Tater leży ta miejscina,
Z handlu wszelakiego z dawien
dawna słynna.

Nieźle ma widoki na szybkie
bogactwo,
Więc postanowiłem złożyć tu
gniazdo.

Danaż, moja dana, kariero
kochana...

Wkrótce został królem w tej
pięknej krainie,

A com tutaj robił, hen szeroko
słynie!

Tych co zamożniejsi — laską
obdarzałem,

I nie tylko z tego — niezły profit
miałem!

Danaż, moja, dana, kariero
kochana...

Czasem się tam jacyś nieco
buntowali,

Lecz od czego berło? zaraz nim
dostali!

Teraz jednak kłapa — wiatr od
morza wieje,

Niewiele mam szansy — ostatnie
nadzieje!

Danaż, moja dana, kariero
złamana...

GŁOS SCEPTYKA:

Wątpię czy w ramach odnowy
Uda się ruszyć
Wszystkie święte krowy!

SCEPTYK II:

Na jednym pegazie
Jadą dwaj faceci.

Jeden z nich dojedzie,
Za to drugi zleci.

Bo gdy sytuacje
Ciągłe się zmieniają,
Niestety, przy wlotach,
Skrzydła przeskadzają.

KOLEDA

Mędrcy kraju, monarchowie,
gdzie spiesznie dążycie?
— Wy pędzicie ku odnowie,
nam czas za granicę.

Dla nas w kraju nie ma tronu
ani atmosfery,
trzeba unieść dla honoru
swe cztery litery.

Mędrcy kraju, monarchowie,
jakie was chęć kraje?
— Za ocean — tam ziomkowie
dadzą fermy w najem.
Dla nas w kraju...

Już my od was odchodzimy,
szczęścia, zdrowia Wam życzymy:
ażebyscie długo żyli,
„Dunajcowi” wierni byli.

Niech się darzy Wam pszenica,
pszenica jak rękawica,
żytko jak korytko —
wszystko.

Koń ma rogi, krowa cyce,
ja wesolych świąt Wam życzę.



Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak naszymi dorosłymi sprawami żyją również nasze dzieci. Jak pilnie słuchają tego, co mówimy; jak niezależnie i dowcipnie potrafią to oceniać w miarę swojej — bardzo przecież niepełnej — wiedzy. Nasza dorosła prawda odbija się w tym, co myślą i mówią, niczym w lustrze. Nie zawsze jest to krzywe zwierciadło — zawsze natomiast okazuje się to szalenie ciekawe. Oto, co o aktualnych wydarzeniach powiedzieli nam obywatele z najstarszej grupy Przedszkola Nr 14 i średnich klas Szkoły Podstawowej Nr 19 w Nowym Sączu. Najpierw odwiedziliśmy najmłodszych. Mówili o sprawach kraju bardzo chętnie.

O DZIENNIKARZACH

ANDRZEJ: Jak dziennikarz coś chce napisać o świecie, to musi się namyślić.

ZBYSZEK: Nie tylko namyślić. Musi wszystko oglądać. Nie może słuchać ludzi. Bo ludzie mówią to, co jest w telewizji.

KASIA: Raz ludzie mówią prawdę, a raz nieprawdę. W radio i telewizji nieraz jest nieprawda, bo dziennikarz może się pomylić, czegoś nie zapamiętać, albo źle przeczytać z kartki, którą trzyma.

ZBYSZEK: Dziennikarz może wszystko zmyślać, jeśli nie lubi ludzi. Kiedy jest taki, że chce innych nabrać, okłamać albo sobie zażartować.

KRZYSIEK: Nie, dziennikarz nie może kłamać, bo by nakrzyczał na niego dyrektor, który może podsłuchiwać.

DOROTKA: Dziennikarzowi nie wolno kłamać. Pan dyrektor to pewno by podsłuchiwał i by go wyrzucił!

ANDRZEJ: O nie, podsłuchiwać to nie może! Ale mógłby być inny dziennikarz koło niego, który by słuchał i powiedział dyrektorowi.

Dowiedzieliśmy się, że wszystkie dzieci oglądają wieczorny dziennik telewizyjny; nie ogląda tylko Radek, ale i on zna wiadomości z wcześniejszego wydania dziennika. Telewizja poświęca główną uwagę wypadkom, trzęsieniom ziemi, wybuchom wulkanów i wojnom. Dzieci lubią oglądać przede wszystkim katastrofy; nie lubią tego tylko Kinga, Dorotka i Radek. Uwielbia katastrofy Zbyszek.

Tylko Mariusz stwierdził, że w dzienniku mówi się jeszcze o innych sprawach.

DLACZEGO NIE MA CUKIERKÓW

MARIUSZ: W dzienniku mówi się jeszcze, że są strajki.

KRZYSIEK: Strajki to są, jak się nikomu nic nie chce robić.

ZBYSZEK: Strajki są, jak nie chcą jeździć autobusami.

RADEK: Ja kiedyś też zrobiłem strajk. Nie chciałem chodzić do przedszkola, ale tata mnie zmusza.

MARIUSZ: Moja babcia strajkuje. Nie wiem jak, ale powiedziała, że strajkuje i już. Ale nie spytałem się, jak.

KRZYSIEK: Kierowcy się męczą kierowaniem i wożeniem ludzi, i dlatego strajkują.

KUBA: Cukierków nie ma dlatego, że strajkują!

MARIUSZ: Ja też chyba strajkuje, bo mama kiedyś mnie obudziła i mówi, że trzeba iść do przedszkola, a ja powiedziałem, że jest dopiero wieczór i nie pójdę, a wiedziałem że to już jest rano.

ADA: Strajki są, bo mało jest w sklepach. Moja mamusia nieraz mnie posyła do sklepu, ale często czegoś nie mogę kupić.

KUBA: Ja zawsze dostaję to, po co mnie mamusia posyła.

ADA: Nie, w sklepach nic nie ma. Bo jest nieurodzaj i ciągle pada.

ZBYSZEK: Ale żołnierze pomogli ludziom wszystko zebrać z pola i pozbić jabłka, które chciały zamarznąć.

DOROTKA: Ale strajki są jeszcze przez co innego. Taka jedna pani strajkowała, bo miała za mało pieniędzy.

POPĘDZAĆ PATYKAMI

KASIA: Jak ludzie nie pracują, to trzeba ich zmusić. Trzeba ich popędzać patykami.

ANDRZEJ: Albo ich oblać zimną wodą.

ZBYSZEK: Trzeba znaleźć jakiegoś kija i ich popędzać.

KUBA: Trzeba zawołać milicję i milicja ich pogoni.

MARIUSZ: Milicja ich pogoni takimi patkami.

KRZYSIEK: I pozamyka ich do więzienia. Jak posiedzą jeden dzień, to od razu zechcą. A jak nie pomoże, to wojsko będzie pracowało. A jak wojsko zastrajkuje, to będzie pracował Związek Radziecki, albo Czechy. Bo oni są blisko nas.

ZBYSZEK: Nie, my sami musimy pracować. A są tacy ludzie, co nie pracują, tylko oszukują. Moja siostra kupowała jabłka koło naszego przedszkola i ta pani ją okłamała, bo jej kaźala dać więcej pieniędzy, niż było potrzeba.

MARIUSZ: Przez tę złą pracę i strajki może być wojna.

ANDRZEJ: W dzienniku mówili, że z jednej strony idą Niemcy i Francuzi, a z drugiej Polacy i może być wojna. Jak przyjdzie do zmuszenia, to będzie wojna.

WSZYSTYCH: Ale my się wojny nie boimy.

KRZYSIEK: Nie, tu nikt z zagranicy nie przyjdzie.

Na tym zakończyliśmy zbieranie informacji w przedszkolu, dziękując naszym rozmówcom cukierkami. Wywiady pozwoliły nam wysnuć wniosek, że naprawdę wszyscy obywatele Polski żyją sprawami kraju. Kiedy więc szliśmy na spotkanie z dziećmi z klas III—V, to byliśmy już pewni, że poznamy wiele ciekawych opinii. Tak się też stało:

KIEDY BĘDZIE



SITUACJA W POLSCE

MARIUSZ: Ludzie w naszym kraju doszli do wniosku, że rząd jest zły. Chciano rząd zmienić, aby na stanowiska weszli inni, tacy, którzy będą lepiej rządzić. Robotnicy wiedzieli, że lepsi od ludzi z rządu są koledzy, z którymi razem pracują; bo z nimi się znają.

MARZENA: Postulowano to, a dyktacja te postulaty rozpatrywała.

KRZYSZTOF: Nie, dyktacja nie chciały rozpatrywać postulatów i dlatego robotnicy zaczęli strajkować, czego dotąd nigdy nie robili.

JACEK: Strajki trwały może trochę za długo, ale były potrzebne, bo choć ponosiliśmy przez nie straty i nie mieliśmy pieniędzy za statki, które produkujemy i podzespóło do różnych maszyn, to dzięki protestowi robotników mogliśmy osiągnąć sprawiedliwość.



MARK: Raz tylko wcześniej były strajki, jeszcze w 1970 roku.

JACEK: Nie, jeszcze były w roku 1976 w Radomiu, kiedy miała być podwyżka cen artykułów żywnościowych. Taka podwyżka, która oznaczała, że dyrektor, zarabiający za dużo, mógłby sobie wszystko kupić, natomiast robotnik: czy kolejarz — nie.

MARIUSZ: Kiedy były przestoje, to znaczy strajki, to zaczęło brakować artykułów w sklepach, statki stały w porcie i musieliśmy płacić wielkie karę.

DOROTA: Rząd zatwierdził wtedy część postulatów, żeby Polska nie ponosiła tak dużych strat. A także, żeby było sprawiedliwie...

KRZYSZTOF: ...aby każdy, kto zarabia, mógł sobie pozwolić na masło. Żeby wszyscy zarabiali mniej więcej równo.

MARIUSZ: Ten, który więcej zarabia, który ma wyższe stanowisko i większą odpowiedzialność, musi zarabiać więcej! Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby dyrektor zarabiał tyle, co sprzątacza. Jak sprzątacza by nie posprzątał, to nie wielkiego by się nie stało, a jeśli dyrektor nie wywiązałby się z umowy, to byłoby strata.

JACEK: Ten, który pracuje więcej, powinien więcej zarabiać, ale o pewną stawkę, nie za dużo.

DISCYPLINA I OBOWIĄZKOWOŚĆ

KRZYSZTOF: Wszyscy muszą robić to, co do nich należy. Musi to być we

MARIUSZ: Żaden zawód nie może zastrajkować. Tym jeden w większym, a drugi w mniejszym stopniu.

JACEK: Służby porządkowe też nie mogą strajkować. Po nagromadziłaby się taka góra śmieci, że wybuchłaby epidemia.

MARIUSZ: Ale wtedy dzieci mogłyby śmieci sprzątać. Tylko że nie kierują samochodami i nie mogłyby wywozić. Potrzebne byłoby wojsko.

JACEK: Lekarze nie mogą strajkować, ale na przykład dla służby zdrowia strajkowali górnicy, bo też chcieli, żeby leków nie brakowało. Można też strajkować pośrednio.

MARIUSZ: Ale najważniejsze dla ludzi, którzy chcą sprawiedliwości socjalistycznej jest, aby sumiennie wykonywali swój zawód. Najlepiej, żeby było i dobro kraju, i sprawiedliwość — ale ważniejsze, aby najpierw była sprawiedliwość. Wtedy dobro kraju samo przyjdzie.

NA CZYM POWINNIŚMY OSZCZĘDZAĆ?

DOROTA: Teraz najważniejsze jest, żeby wszyscy pracowali, żeby robili to, co do nich należy.

JACEK: Ale najpierw potrzebna jest zmiana maszyn i naprawa, żeby było czym pracować.

KLAUDIUSZ: Najtrudniej się teraz pracuje rolnikom. Im najbardziej brakuje maszyn do pracy w polu.



MARIUSZ: A pod Krynicą jakiś pan wybudował sobie szesnastopokojową willę!

MARZENA: Więc jeśli brakuje różnych rzeczy, to trzeba wszystkim rozdzielić sprawiedliwie, ale mniej.

MARIUSZ: Tylko że zawsze będą pretensje do tych, którzy rozdzielają, że zrobili to, niesprawiedliwie...

JACEK: Ale to nie za darmo. Kiedyś będziemy musieli spłacić ten dług.

KRZYSZTOF: Tak, bo nie może być za darmo. Wtedy każdy mógłby się tłumaczyć, że jest w biedzie i dlatego nie pracuje.

JACEK: Ale pomóc nam powinni. Nie podarować, ale pomóc.

MARIUSZ: A jeśli podarować, to tylko tyle, aby dla nich też wystarczało.

JACEK: Jesteśmy połączeni ze Związkiem Radzieckim więzłą przyjaźni.

KRZYSZTOF: Ale na razie oni wszystko robia, a my nie.

KLAUDIUSZ: Bo my nie mamy się czym zrewanżować.

MARIUSZ: Przecież do nich eksportujemy!

MARZENA: A przyjaźniel zawsze pomaga w biedzie! Oni tak samo jak Polska są krajem socjalistycznym. Wierzą w te same idee.

WSZYSTYCH: Tak, pomoc na pewno przyjdzie.

JACEK: Poza tym solidarność — to znaczy pomagać wtedy, kiedy można. My też przecież pomagamy, nawet teraz, choć jesteśmy niezbyt dużym krajem i mamy kłopoty po trzęsieniu ziemi we Włoszech „Solidarność” i Czerwony Krzyż organizują koce i lekarstwa i wysyłają potrzebującym.

DOROTA: Krew im możemy posyłać — i posyłamy.

MARIUSZ: Wszystko będzie dobrze, gdy rząd przyjmie postulaty i będzie je wykonywał. Za pięć miesięcy już będzie dobrze.

ANNA: Za pół roku.

MAREK: Nawet mniej, jeżeli będzie zgoda. Najważniejsza jest zgoda.

JACEK: A ja myślę, że u nas jest tak źle z żywnością, że to potrwa rok. Zbyt zła sytuacja jest w rolnictwie. Z innymi artykułami nie jest wcale źle, ale przez nieurodzaj będzie ciężko.

KLAUDIUSZ: Też myślę, że dobrze będzie dopiero za rok — ze względu na rolnictwo.

KRZYSZTOF: Dopiero za dwa lata. Nie można być zbyt niecierpliwym.

Zanotował: ADAM GARBICZ

Zdjęcia: STANISŁAW SMIERCIAK

W POLSCE DOBRZE?

wszystkich gależach. A często widzi się, że nie ma ani dyscypliny, ani obowiązkowości. Na przykład bardzo nieprzyjemne i niedobre było niedyscyplinowanie ze strony piłkarzy polskich, którzy mieli lecieć do Włoch i na Maltę. Nasz bramkarz bardzo źle się zachował.

JACEK: Sport jest szlachetną rywalizacją między zawodnikami; sportowcy zawsze powinni być zdrowi i nie ma mowy o spożyciu alkoholu, tak jak to zrobił nasz bramkarz.

KRZYSZTOF: Musiałoby to wpłynąć na jego formę i kondycję. Wszystkie późniejsze komplikacje były przez Mlynarczyka, bo trener się nie zgodził, aby pojechał, a koledzy się za nim wstawili.

KLAUDIUSZ: Był zarozumiały; myślał, że mu wszystko wolno.

JACEK: A inni się nie potrzebnienie za nim wstawili. Nie powinni byli tego robić.

KRZYSZTOF: Co innego, gdyby to było dla dobra sprawy. Ale przecież był rezerwowy bramkarz.

JACEK: Zrobili trenerowi szantaż!

MARIUSZ: To była niewłaściwa solidarność.

DOROTA: Właściwa solidarność była inna — podczas strajków.

MARIUSZ: Ale nie podczas strajków teraz, w jesieni. W jesieni źle postępowały obie strony. Rząd, który się znajdował w bardzo trudnej sytuacji, nie chciał spełniać podpisanych postulatów, a robotnicy przez strajki powodowali straty.

KAZIMIERZ: Kolejarze nie strajkowali, tylko zdjęli mundury i nosili białe-czerwone opaski.

JACEK: Ale to miało poważne znaczenie, właśnie strajku. Bo noszenie munduru jest oznaką władzy.

PIOTR: Trzeba powiedzieć, że niektórzy nie mogą normalnie strajkować. Na przykład lekarze. Gdyby lekarz zastrajkował i przestał operować, pacjent natychmiast by zmarł. A obowiązkiem lekarza jest ratować ludzi. Nie może także strajkować służba zdrowia, żłobki, przedszkola i milicja.

KRZYSZTOF: Ci rolnicy, którzy byli bogaci i mieli maszyny, wypożyczali je, ale zupełnie nie konserwowali i te maszyny się psuły, a chcieli, żeby je naprawiali biedniejsi.

MARZENA: Więc jeśli brakuje różnych rzeczy, to trzeba wszystkim rozdzielić sprawiedliwie, ale mniej.

MARZENA: Najlepiej ze wszystkich musi teraz pracować rolnictwo i te zakłady, które poniosły największe straty przez strajki: stocznie i komunikacja.

MARIUSZ: Chyba nie. Wszystkie gależe przemysłu muszą równo pracować, bo są powiązane ze sobą. Jeśli rolnik chce sumiennie pracować, to musi mieć paszę, a żeby mieć paszę, to muszą ją wytwarzać fabryki.

MARZENA: Ale do tego musi być prąd. A tymczasem prąd musimy oszczędzać. Na przykład na poszczególnych osiedlach wyłączają na godzinę światło, żeby więcej miał przemysł.

KRZYSZTOF: Ale ciągle się za mało oszczędza, na przykład za wcześniej są włączane wieczorem lampy uliczne. Ja dla oszczędności czytam po ciemku.

JACEK: Trzeba też oszczędzać na czym innym. Niedobrze jest, że zabiera się rolnictwu ziemię pod mieszkania. Pewno, jest nas coraz więcej i nie będziemy biwakowali pod namiotami. Ale budownictwo musi być oszczędniejsze.

MARIUSZ: Musi być dyscyplina w budownictwie! Robotnicy wolą szybciej rozbić, niż ją umyć.

JACEK: I nie można marnować materiałów. Mieszkania muszą być mniejsze. Powinny być budowane punktowe, a nie domki jedno rodzinne. Oczywiście w domku mieszka się lepiej, ale domki zabierają ziemię uprawną...

MARIUSZ: ...i na ich budowę zużywa się więcej materiału...

JACEK: ...więc trzeba przestać je budować.

WSZYSTYCH: Powinno się przestać budować domki, a zamiast nich — budować punktowe. Taka teraz jest potrzeba.

MARZENA: Nie mówiąc o tym, że niektórzy budują sobie po dwa domki, a inni nie mają gdzie mieszkać.

NIC ZA DARMO

JACEK: Porządek i sprawiedliwość są do zrobienia. Na przykład, jeśli chodzi o zakupy, to każdy powinien mieć możliwość nabycia masła, tylko mniej. Na kartki.

MARIUSZ: Kartki otrzymają tylko ci, którzy pracują.

JACEK: Tylko, że tego będzie za mało. Więc moglibyśmy mniej produkować rzeczy niepotrzebnych, a spróbować dodatkowe ilości artykułów koniecznych. Nie musimy chodzić w sztruksach, wranglerach i lewisach, ale musimy się odżywiać.

WSZYSTYCH: I powinni nam pomóc sąsiedzi.

DOROTA: Po to są zawarte umowy.



Gospożyni z Podegrodzia wspomina...

— Kto będzie najdłużej jadł — opowiadali starzy ludzie — ten będzie najdłużej żył. No więc, jak kto był głupi, to jadł i jadł, a potem przez całą noc był chory z przejedzenia.

A było co jeść! Przede wszystkim „siemionkę”. Trzeba wcześniej namoczyć siemienie konopne, utłuc w stępie, przecedzić, dolać wody, doprawić za trzepką z maki. Wrzucić do niej drobno pokrajany chleb lub lepiej podplomyk z cukrem. To był przysmak. Zawsze żałowałam, że siemionkę można jeść tylko we wigilię. Potem były ziemniaki z żurem i z grzybami. Nie było wigilii, jak nie było żuru. Mama jeszcze dawała zawsze kapustę z grochem, groch ze śliwkami, krupy „siekanke” ze śliwkami, „płateczki” z razowej maki z makiem.

Jedliśmy zawsze z jednej misy drewnianymi łyżkami. Na stół mama sypała owoce, na nim kładła oplatek i dopiero stawiała miskę. Jedząc patrzyliśmy, czy oplatek przylepił się do miski. Oznaczało to urodzaj na roślinie,

z której potrawa była w misie. Jeśli oplatek nie przylepił się, to miał być zły rok.

Pod stół kładliśmy wiązeczkę siana, a w rogu izby stawialiśmy sноп żytniej słomy. U powaliliśmy wiązeczkę jodełki, do którego dowiżywałam gałązki, żeby dołem była równiutka. Wieszaliśmy na niej malusie, czerwone jabłuszka, orzeszki w poliołce i przede wszystkim okrągłe kolorowe oplatki, powycinane w różne wzory. Ja sama bardzo lubiłam wycinać te oplatki. Takie miały ładne kolory, niebieski, czerwony, różowy, żółty, zielony — nie to, co teraz. Wycinałyśmy, co komu do głowy przyszło, było ładniej niż inne. Oplatki piekły kościelny, w piecu chlebowym, w takiej specjalnej formie. Zawsze był na niej napis po łacinie „Kościoł w Podegrodziu” i data.

Później robiliśmy czasom pod śnieżką ze słomy. Teraz była 1972. Oplatki miała powycinane tak samo.

Karel Poláček

Zdarzenie

— Dobra — odparł dziadek Jakub. — Dzięć, dzięć — zadzwonił i wszedł do sklepu. Dziadek Józef podawał się i wykonał głęboki ukłon. — Witam uniżenie, czym mogę służyć?

— No... Potrzebuję funt kawy, funt cukru i paczkę suszonych winogron. Dziadek Józef poczynił sobie, jak

gdyby ważył towar, a przy tym szepotał:

— Co u państwa słychać? Zonczka zdrowa? Dzieciutki zdrowe? A czy jeszcze mogą służyć? Mydło, siódło, do czyszczenia naczyń, szcetki ryśce, miotły, denaturat, ziele angielskie, wóbir, pieprz, soda, proszek do ciasta, wszystko świeże, właśnie przyszedł

świętego wyprowadzić z równowagi! I opowiada.

Kościół był nabyty, przyszła cała gromada z Lichotki i wielu z Uplawicy. Uplawickie chołpaki pojawiły się bardzo wcześnie, a gdy tylko zagrzęchał klucz w kościelnych wrotach, zważyli się na chór, gdzie zajęli dwie pierwsze ławki. Zaraz też zaczęli hałasować; pchali się jeden na drugiego, poszturchiwali, zrzucałi sobie czapy na podłogę, bawili się świeczkami, rozpychali.

Kilka razy zatrzymywałem organy, przedstawiałem grać i groziłem im surowo. Pomagało zaledwie na chwilę.

W czasie kazania nieco się uspokoiło. Ale natychmiast potem, kiedy proboszcz pogrążony był w cichych roz-

robach z ławek uplawickich wyczytywał ze świeczkami. Nie można się było do nich przecisnąć przez nabyty ławki, a więc w tamtym kierunku —

— cisnąłem kancjonałem — pomaga mu ofiarne żonka.

— Nie! Nutami!

Stryjek Lajos jest śmieje, Guśiek całą tę przygodę wyobraża sobie plastycznie, żalując, że go ominęło, bo wymyślał się wcześniej z kościoła. Babka cieszyłaby się, że w zborze doszło do ekscyzji — ale jest nieobecna, pojechała spędzać Go-dy po swojemu, po katoliku, u córki.

Lecz mamuśka to wszystko odcięry. Wie, jak młodzi jest przykro, że się nie opowiadają. Będzie go głowa bolała — o, już pulsują mu żyłki na skro-

Stefan Żory

Noc

myślaniami — właśnie w tym momencie, kiedy serca były ze wzruszenia i trzęsąły płomyczki świec, w kościele rozległ się rozpaczliwy jęk. Z ławki pod chórem poderwała się dziewczyna; chwyciła się za szyję i prze-dzierała się do wyjścia, biadając. Jakis łobuziak z uplawickiej strony chóru kapnął jej za koltierz gorącą parafiną z zapalonej świeczki. Może przypadkiem, może z głupich figli, a być może z zemsty, że dostał kosa. Dość długo trwało, nim w kościele zapanaował podniosły nastrój.

— No, a co ty na to, Augustynie? — płośnie z niecierpliwością pani bakałarzowa.

— Właśnie błądziłem palcami po klawiaturze, przegrywając bezdziesięćnie preludia, kiedy rozległ się ów krzyk. Kątem oka dojrzałem, co pa-

niach. Może i proboszcz powie mu coś przykre, ponieważ to organista ma pilnować porządku na chórze. Trzeba więc jak najprędzej siadać do wieczerzy i zapalić choinkę, aby zająć czym innym jego uwagę!

Lecz stryjek Lajos powraca znowu do tej historii.

— Braciszku, powinienes raczej cisnąć w nich kancjonałem! Jest co najmniej stuletni, z klamerkami, o pięknych okuciach — można by nim porządnie dzielić po łbie!

— Oj, tak! Wytrzymałby i lot, i uderzenie. Nie byłoby się z niego rozsypany kartki po całym kościele, jak z tych nut! — zaraża się śmiechem pan bakałarz.

Lecz rozmowa na ten temat musi się skończyć, bo pani domu ogłasza, że



Fot.: ALOJZY CABALA

Wigilia u pana Szimandla dobiegła końca. Czekający biesiadnicy poczęli łuskać orzeszki. Pan Łukasz, szwagier pana Szimandla, zaczął grać z niejakim Mikiszem w lizany mariasz po pięć halerzy punkt. Pani Szimandłowa opowiadała swej kuzynce, że teraz po domach włości się chmara złych ludzi. Trzeba się pilnować, bo jej wczoraj ktoś ukradł zającą, wiszącego w przedpokoju.

Dzieci Szimandłów chwaliły się dziadkowi, co dostały pod choinkę. Ciocia z Pragi przysłała Pepiczce sklep z towarami kolonialnymi.

— Piękny sklep — podziwiał dziadzio, wysuwając miniaturowe szuflad-

ki — słowo daję, jak żywy. Tu jest napisane: pieprz, badian, ziele angielskie. Och, wciorności... Wagi masz, odważniki masz. Patrzajcie, jest i kasa, można na niej wybijać ceny, ty hultaju jeden, cieszysz się, co?

— Jakubie! — zawołał do ojca pani Szimandłowej — chodź no, popatrz, jaki sklep. Ale będziesz gały wywalać! Kubek w kubek w takim usługiwalem, gdy byłem młody.

Dziadzio Jakub podszedł i rozmazrzonemu wzrokiem patrzył na zabawke.

— Wiesz co — zaproponował dziadkowi ze strony ojca — ty, Józefie, będziesz kupcem, a ja przyjdę do ciebie do sklepu po zakupy.

Teraz ma na pupie opatrunk z cebulą i kraciasty wzorek, jak gdyby w-tatuował go Janko Kyjaniczka albo sam tatuś.

W ciemnościach dudnią końcowe akordy organów. Z kościoła powoli wylewa się masa ludzka — ci, którzy nie mieli gotowości wieczery. Gustek pod pretekstem zmarnięcia wymknął się do domu już po trzech piętnach. W rzeczywistości był ciekaw, czy stryjek Lajos już przyszedł.

A teraz światelka przesuwają się w dół, pośród zaspanych akacji. Jak gdyby błędne ogniki znad Kralowej Wody czy Starego Jaru przeniosły się bliżej domów, gdzie jest przytulniej, gościnniej. Czasem ktoś pada i podnosi się, oblepiony śniegiem; niebo się rozjaśniło; pojawiły się na nim gwiazdki, niby dziurki i szwy. Rzekłbyś, że zaraz się rozpruje. Gustek ze strykiem Lajosem stoją przy oknie, obserwując wspaniałą defiladę ubogich ludzi, którzy potrafią cieszyć się całym sercem z malej rzeczy — przy najmniej raz w roku.

Wreszcie i pan bakałarz strzepuje śnieg z kapców. Ściąga zębami popalczaste rekawice, maruśka pomaga mu zdjąć kurtkę. Przez dziesięć lat małżeństwa zdążyła go bardzo dobrze poznać. Natychmiast widzi, że coś jest nie w porządku.

— Co się stało, Augustynie?

— Ale nie... Nie takiego — ucina, bo ujrzał wyteskniętego brata, którego najpierw trzeba uścisnąć. Skoro się z nim wreszcie przywitał, wyznał powoli, co go zdenerwowało podczas nabożeństwa. Parobcy hałasowali, robili psoty.

— Znow się nie opanowałeś, Augustynie? — wdycha z wyrzutem pani Bakiłkowa.

— Przecież to łobuzy mogłyby nawet

Stefan Żory, ur. w 1918 roku, jeden z najwybitniejszych żyjących pisarzy słowackich. Poeta, prozaik. Świetny stylista, podejmuje różnorodną tematykę — lecz co pewien czas lubi w swej twórczości powracać do czasów dzieciństwa, spędzonego w Ponikach koło Bańskiej Bystrzycy. Prezentowany fragment pochodzi z książki „Uśmiechnięta dolina”, która ukazuje się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Wnocy przed Wigilią jodełka zniknęła, a teraz już stoi obwieszona, przystrojona w wielkiej izbie pomiędzy oknem a fortepianem. Izba zamknięta na klucz, a Gustek nie musi dźwicy pasażów.

Prawdę powiedziawszy, teraz nawet chętnie pograbby sobie, sam jeden w izbie z polyskliwym drzewkiem, z którego można niepostrzeżenie zdjąć czekoladowego pajaca, a stanioł wypchać trocinami. Ani diabeł, ani anioł, ani nawet sam Jezusek nie zauważyłby niczego!

Czasami, ni z tego ni z owego, ozdoby na choince zaczynają drgać. Wystarczy, aby ktoś przeszedł przez sieni albo gwałtowniej zamknąć drzwi. Małym dzieciom mówi się wtedy, że to zaprzęg niebieski przybywa z oddali. Są już niecierpliwe, zadręczają dziadka, który siedzi z nimi w izdebce przy piecu. Branko nawet przysnął, dając opiekunowi chwilę wytchnienia, ale Cilka oparła się tyłkiem do krzasię drzewiczki od pieca i przysmażyła się.

Resztki z każdej potrawy mama zlewała do jednego naczynia i po obiedzie dawała krowom, razem z opłatkami. Gdy ludzie jedli, podobno bydlę rozmawiało, zastanawiało się „czy też nam dadzą”. Nieraz namawiali pastucha, żeby zakradł się i podsłuchiwał.

W czasie „obiadu wigilijnego” dziupły i chodoki wróżyli sobie z pestek sliwek. Przegrzali pestki i pstrykali ziarenkiem — w którą stronę ziarenko polecą, stamtąd przyjdzie kawaler do dziewczyny lub w tamtą stronę pójdzie się ożenić chłopak.

Jeśli w wigilię gwiazdy mocno świecą, to kury będą się dobrze niosły.

*W Boże Narodzenie mróz,
będzie na łańce siana wóz.*

Po obiedzie panna wybiegała na dwór i słuchała, z której strony pies zaszczeka. Z tej strony nadejdzie podłaznik, a więc i przyszyły mąż.

Również w wigilię po obiedzie „stawiano kopy”, czyli słomę ze snopa w kacie wbijano za tragarz w kuchni. Ile żdźbeł wbije się, tyle będzie kop we żniwa. Tato liczył poważnie, ale bracia „kopy stawiali na śmiech”. Kopy siedziały tragarzem do św. Szczepana. W Szczepana ojciec wcześniej rano robił z tej słomy powróta i okrywał nimi szepczki, każde jedno drzewko owijał, żeby dobrze roodziło.

Siano spod stołu wigilijnego w Szczepana rano dawano krowom.

W wigilię mama wbijała w futrynę okna w izdebce igłę z nitką. Igła siedziała tam do trzeciego dnia. Jeśli nitka sucha, to nadchodzący rok będzie suchy, jeśli mokra przywarła do szyby, to rok będzie mokry.

13 grudnia, na świętą Łucję, tato ścinał gałązki z wszystkich rodzajów drzew owocowych, a mama wkładała je do wody i stawiała na piecu w izdebce lub na „kratce” (półeczka do naczyń), w ciepłej. Gałązki te stały do

Bożego Narodzenia. Jeśli rozwinęły się łacie i „pępuszki”, oznaczało to urodzaj na owoce.

Też w Łucję mamusia krajała cebulę i robiła dwanaście miseczek, do każdej sypała soli. Każda miseczka oznaczała jeden miesiąc. W wigilię patrzyło się, czy cebula „puściła wodę”. W której miseczce był sok, ten miesiąc będzie mokry. W przeciwnym przypadku nie będzie deszczu.

W Szczepana chłopaki zanosili owies do święcenia, mama też zawsze brała trochę ziarna w szmatce do kościoła, bo chodoki, to nigdy nie przynieśli z powrotem. Dodawali do owsa wyki i „prali” tym dziewczęta przy wejściu do kościoła, a nieraz i w środku. Teraz już zaginął zwyczaj bicia owsem, teraz „państwo wszędzie”. Jak mama przyniosła poświęcony owies, to dawała go kurom, żeby się dobrze niosły. Chodoki rzucali owsem po izbie po powrocie z kościoła, mówiąc: „Na szczęście, na zdrowie, na ten święty Szczepan...”

Od św. Szczepana zaczynali już od północy chodzić podłaznicy. Przebierali się najczęściej za Cyganów i dziadów, chodzili też kolednicy z gwiazdą, szopką, turoniem, konikiem. Kiedyś, nie tak dawno temu, szedł Turon, Zyd, Cygan, Cyganka, Niemy i Dziad. Najudaczniej się poprzebierali, wymalowali, robili różne dowcipy, figle, „wyrzadzali”. Cyganka nosiła dziecko, wykradała sukienki, Turon miał taki łeb, że szczeakał, z dzwonkiem, Dziad niósł krzyż nabity szpilkami i kazał całować. Niemy ubrany był w byle co, wypchany słomą. Niemy nigdy nic nie mówi, ino „wyrzadza”. Szli z harmonią. Nie chcieli ich ludzie wpuszczać do domów, bo „bardzo wyrzadzali”. Jak ktoś ich puścił, to tańczyli. Szli tak od domu do domu, a pół wsi za nimi. Jak było we wsi wesoło, poszli tam, śmiechem narobili. Co oni tam wyrabiali... Gościom „wyrzadzali”, a kobiety, to tylko kwiczały!



Fot.: ADAM BUJAK

wigilijne

transport. Nic pan nie potrzebuje więcej? Pomyśl pan, żeby potem żona nie napyskowała.

— Chyba już wszystko — rzekł staruszek po namyśle. — Niech pan podłoczy.

— Razem trzydzieści koron pięćdziesiąt halerczy.

— Tyle pieniędzy! — przerwał się

Jakub. — Ale z pana kawał złodziej! Będzie chodził gdzie indziej.

— Co, złodziej? — zdenerwował się Józef — wypraszam sobie, co pan mi tutaj... Jestem uczciwym kupcem i nie pozwolę się obrażać przez byle gałganę. My jesteśmy ludzie jak należy — ale wy... Przestrzegłem syna, żeby się nie żenił z waszą Agnieszką, ale czy

dzisiaj ktoś słucha rad starego człowieka? Do pięknej rodziny się pan przyjeźnił, nie ma co mówić!

— Nasza rodzina jest porządną — odparł Jakub — dziewczyna dostała i posag, i wyprawę, wszystko jak należy. Nikt was nie prosił. Takich narzeczonych weszłoby na kilo.

Zanim ktoś polapał się, w czym rzecz, dziadkowie już się zwarli. Na stał wielki zgiełk. Do tego przyłączył się wrzask małego Pepiczka, że dziadziusiowie wciąż chcą się bawić.

— Niech mi oddadzą sklep! — wrzeszczał.

— Oddajcie mu zabawkę! — wkraczała energicznie pani Szmandłowa —

jak się nie wstydzicie? Starzy ludzie, a rozumu mają mniej niż dzieci.

Wspólnymi siłami udało się dziadziusiów uspokoić i posadzić każdego w innym kącie, aby nie mogli rzucić się na siebie.

— Dranie — wrzeszczał dziadek Jakub — skórę by zdarł z człowieka!

— Takich klientów najlepiej mieć w nosie — odpowiadał posępnie dziadek Józef — człowiek ma tyle kosztów, podatki, płaci, a ci nie mają zrozumienia. Jeśli chcecie kupować u konkuranta — wolna wola! Mnie na was nie zależy...

przełożył ANTONI KROH

w świetlicy wszystko przygotowane. Przechodzą przez sieni, otwierają drzwi do wielkiej izby, gdzie jarzy się rozświetlone drzewko.

Zaledwie podnieśli łyżki, gdy pod oknami rozlega się śpiew. Głos ni dziewczęcy, ni męski, piękny głos jakiegoś honielnika, przechodzącego właśnie mutację, który pewnie od jesiennej redykcji nie znalazł się porządnie, a może i nie ogrzał.

*Dziś nowinę chcę wam rzec:
u Bazlików zimny piec.
Pewnie myślą, że upały,
a tu mrozy już nastały!*

Pozwalają mu dośpiewać, jak gdyby czekali na dalszy ciąg, albo jakby zmuszali go, by zadął głowę i prze-

drowcami, którzy niczym osłabione wilki ścigają do ciepłych sadyb, gnane przez mroź i głód.

Stoi z nimi na skrzypiącym śniegu, bez czapki, bez szalik. Jakże chciałby pobiec kilka domów dalej i zaśpiewać pastorałkę przynajmniej matce chrześnej! Jakże chętnie poślizgałby się na białej ulicy!

Lecz rodzice go powstrzymują.

— Natychmiast wracaj z tego mrozu! Nie ubrany, z gołą głową, chcesz zapaść zapalenie i popsuć wszystkim święta!

— Myślę, że wypadałoby pójść do Marów...

— On rozmyśla jak filozof — z pustym żołądkiem. Jedz i nie mędrkuj! Do mamy chrześnej skoczysz jutro, z próbami.

Wigilijna

końca się, że piec Bazlików rozpalony, i to porządnie, bo przecież z przysiadłego komina wali dym, że o mało daszka nie porwie.

— Zanięś mu, Gustek, koronę, boć to pierwszy kolednik — mówi tatuś do syna, wskazując fortepian, dzisiaj całkiem przyjemny mebel, gdzie na tacce polyskuje kilka monet, głównie szóstaków.

Potem gdy Gustek co chwila musi wstawać od stołu, bo śpiewaków wciąż przybywa, jak gdyby rozpruły się nie tylko niebiosy, ale i wór z kolednikami. Biegnie rad, z miłą chęcią — raz do okna w kuchni, które jest najniższe, albo na podwórze, gościnie otwarte; rozdaje szóstaki, gawędząc ze znajomymi, uczniami, Cyganietami, bliskimi sąsiadami i wę-

Jutro, jutro... Jutro już wszystko będzie inne: nadwątlone, wypłowiałe, a gdyby nie szopkarze — niemal powszednie! Dzień znowu zaszyje otwarte niebo grubymi niemi, gwiazdy pochwają się w mglistym popiele, i tylko dym będzie pełzać ponad niskimi chałupinami, suplając się w wezelek biedy.

— Dzisiaj nawet nie wypada — dodaje mamusia. — Rodzina powinna być razem.

— Błogosławiony, kto nie bezdomny! — cytuje dziadek, zerkając w stronę stryja Łajosa, który właśnie zmagają się z rybą. Gustek udaje tylko, że je, czekając niecierpliwie, kiedy wrzescie zostanie sam na sam ze stryjkiem. Samotnieją dopiero o dziesiątej, wtedy bowiem bakałarstwo pójdą kończyć Wigilię do Kacerów.

Przez kratki strzela iskra, podobna

do gwiazdki. A strzyk prawy, że świat od czasu do czasu potrzebuje gwiazdy, choćby takiej, jak owa z pieca. Raz jest to nadzieja, zapowiedź światła i ciepła, kiedy indziej zwiastun pożaru, przewrotu, nadejścia sprawiedliwości. Od gwiazdy betlejemskiej niepostrzeżenie przechodzi do innej, nie tak dawnej, nie tak dalekiej. Ta również rozbiłysta na wschodzie. Zapowiadała nadejście nowej epoki, i ową epokę ustanowiła.

— Byłicie wtedy w Rosji, stryku?

— Nie, we Włoszech.

— I obochodźlicie tam Gody? Dziwne to musiało być: w cieple, nad morzem, bez śniegu.

— Było to wysoko w górach, na północy, wśród wierzchołków jak nasze Tatry. Najwyższy szczyt nazywa się Cavallo — Koń, pewnie dlatego, że się dumnie wznosi nad innymi; rzekę zaś zwą Tagliamento. Straszne tam były boje, woda barwiła się na czerwono, nurt unosił trupy i wyrzucał je na brzeg, niczym jakieś szmaty. Kiedy rzeka zamarała, ludzkie ciała tkwiły w lodzie jak muszki w jantarze. A ile śniegu nawaliło!

Stryk opowiada, jak od trzech dni nie mieli nic w ustach, bo przez bezustanną kanonadę nie dowiedziano im jedzenia. Ale w Wigilię zawarto jak gdyby ciche porozumienie, broń umilkła — własna i przeciwnika — muły cudem wdrapały się do nich na pozycję, przynosząc żywność, racje wina, a nawet świeczki.

— A Włosi?

— Oni także przygotowali choinkę. Widzieliśmy się wzajemnie na stanowiskach. Ścielił jodłę i wbił ją w śnieg. Świeczki zapalaliśmy jednocześnie... Ale kiedy już jarzyły się i migotały po obu brzegach Tagliamento, jak gdyby pozdrawiając się, sygnalizując słowa porozumienia — rozległy się wystrzały. Włoska choinka wyleciała w powietrze i rozleciała się, naszego smreka

rozerwało na pół, przewalił się nam przez okopy, blaszanki smutno zagrzęchotały, świeczki pogasły w śniegu. Był to sygnał do rozpoczęcia kanonady. Do rana już nie ucieliha.

Gustek wzdycha żałośnie i pyta:

— A kto właściwie naruszył przy-

mięcie?

— Nie wiadomo. W naszej baterii mówili, że tylko odpowiedzieli na strzelanie. Mnie się jednak wydawało, że włoska jodła wyleciała w powietrze chwilę wcześniej. Ale wiesz: rzeczy dalekie widać jak gdyby z góry, a pod latarnią ciemność!

— To zbyt szybko zgłasza wam gwiazda betlejemską — mówi bratanek, patrząc na drzewko.

W ożdobach choinkowych odbijają się płomyce z lampy i z pieca. Na wierzchołku polyskuje gwiazda. Od blasku skacze po szklanych kulach i smolistym skrzydle fortepianu, który teraz przypomina zwierciadło czarnoksięznika.

— Och, rzeczywiście zbyt szybko. Ale po kilku miesiącach usłyszeliśmy o nowej gwiazdzie, którą jeszcze w listopadzie zapalił niewysoki, energiczny człowiek o wysokim czole. Sporo czasu minęło, nim wzięła przeleciała owe trzy tysiące kilometrów z Piotrogradu do nas, pod Monte Cavallo.

Jeszcze gawędziliby tak sobie dłużej, ale starszy pan Bazlik, wychodząc z sygnali, poryka się o nich w ciemnościach. Kłnie zgola niebetlejemsko i posyła ich spać. Chłopiec chce protestować, ale poddaje się woli stryja Łajosa.

A bezdomny stryk, włokąc za sobą chorą nogę, mówi:

— Jakos mnie w niej łamie na zmianę pogody. przełożył ANTONI KROH

PRZECHODNIU POWIEDZ OJCZYZNIE

Coraz bliżej snuje się melodia
dalekiego, górskiego cmentarza.

Cóż to za pieśń tak bardzo
żałobna,
że aż bólem i łzami przeraża?

Coraz bliżej snuje się melodia...

Zbudziły się gasnące już maki;
szepczą cicho, zdziwione,
strwożone,
kto tu idzie, kto to, kto to taki?

Przecież tych, co tutaj z Polski
byli
i walczyli na tych strasznych
skalach,
poszarpanych i we krwi
zastygłych
nasza ziemia dawno przysypała.

Wkrę kto idzie?

Od Tatr idą.

Z szarotkami i kosodrzewiną
uży tutaj pod Monte Cassino
bracia Polski potraconych Synów,
a tę grają Tatr żalobną nutę,
w której tylko lzy są, ból
i smutek.

Ku przepaściom snuje się melodia,
do samego serca gór dociera.

Czemuż, czemu nie słysząc
nikogo,
kto tu w walce straszliwej
umiera?

Wód każdy okrutnie się strudził,
że się na placz z Ojczyzny nie
budzi.

Coraz rzewniej snuje się melodia,
do samego serca łąk dociera.

Łąki, łąki, przycmentarne łąki,
niech w was pamięć o Nich nie
umiera.

Maki, o maki spod Monte Cassino,
coście na śliczną Ich młodość
patrzyły,

bądźcie im wierne
i w rozwitach wiosny
sypcie pachnące płatki na mogiły

—————
Poświęcam ten wiersz Zespołowi
Barlusia Obrońcy i Kazimierzowi
Strachanowskiemu.

SŁOWIKI SPOD MONTE CASSINO

Nie śpiewaj słowiku,
lży spadły na mundur,
rozrywasz mi serce swym
śpiewem!

Pochylcie się maki,
zgąście barwę płatków
niech o was zapomnę,
niech nie wiem...

Niech nie wiem, że kraj mój
daleko, daleko — — —
niech nie wiem.

Niech nie wiem, że kwitły nam
maki czerwone,
że w gajach słowiki śpiewały,
że księżyc warłoczce brzoź kochał
zielone,

że usta mej matki się śmiały...

Nie śpiewaj słowiku, nie śpiewaj!

Maj mojej młodości
z pyłami się rozwił
na drogach tulących po świetle.

Nie czeremch gałązki,
nie bukiet piwonij,

nie maki i nie bzy,
nie jaśminu kwiecie,
morderczy karabin mam w dłoni!

Nie śpiewaj słowiku, nie śpiewaj,
nie śpiewaj!
lży gorzkie się sypią tak gęsto —

Maj mojej młodości na zawsze
się rozwił
na grobach kolegów szarzeje las
krzyży,

dom mój się zatracił
i pustka przede mną,
a wiatr glucho szemrze:
Zwycięstwo?!

NIE DLA MNIE

Nie dla mnie Stwórca
gwiazdy stworzył —

Nie dla mnie
płatki róż ułożył —

Nie dla mnie
drzewa okrył liśćmi —

Nie dla mnie stworzył
światła uśmiech —

Słońce w objęciach wszystko
trzyma.

W jego promieniach leci młotnia.

Ono miluje jednokowo
dziecko, czy gałąź jaśminową...

W różach mieszkają małe
chrząszcze.

Ptaka śpiewa w liściach na gałązce.

Ja żadnej gwiazdy wzięć nie mogę
gdy się wybieram w chmurną
drogę...

Nie dla mnie Stwórca gwiazdy
stworzył.

CZY WY JESTESCIE Z MEGO KRAJU?

Czy wy jesteście z mego kraju,
czy wy jesteście z moich pól?

U nas różami serca mają,
z bratkami kładą chleb na stół.

U nas jest przyjaźń milująca,
uręcz bohaterska jest i szczera.

Tam każdy kocha drogę słońca
i niezabudkom drzwi otwiera.

Czy wy jesteście z mego kraju?

U nas kwiatami serca mają.

DLACZEGO WRACASZ

Dlaczego wracasz?
Nie powracaj!

Dla mnie rozkwitły bratków
grędy,
gwiazda rozbiły na werbenach,
pachną rezedy i lewkonie
i drzy na różach śpiew
Szopena —

Mam tyle kwiatów,
tyle światła
i tyle ślicznych, pełnych pieśni,
że zasypały ślad stóp twoich
i ślady dróg, któreśmy przeszli...

POWITANIE WIOSNY

Nim najpierwsze przylecą
skowronki,
nim najpierwsze zakwitną
zawilce,
wyjdę na brzeg krokusowej łąki,
obłok wiosny w ramiona
pochwycę.

Wnękowa (Rabka)

jodelka

kąla nad drzewkiem, które tak nie-
bacznie ścieli wczoraj w gorach.

Wśród wesołych okrzyków, wciągnęli
chłopcy choinkę do obszernej izby i za-
częli ją ubierać czerwonymi pachną-
cymi jabłkami, błyszczącymi cackami
i długimi, lekkimi lańcuchami.

Ubierali ją na wysiggi, raz po raz
spoglądając na nią z zachwytem.

A mgła tymczasem wrociła do lasu
usadła w swoim głębokim jarze i za-
częła myśleć, jakby choinkę zabrać z
podwórza chłopców i przywrócić jej
życie.

Gdy tak myślała nadeszły cztery szare
zające.

Zające żyły z mgłą zawsze w wiel-
kiej przyjaźni. I teraz zasmucenie jej
zmartwieniem, ołowoty jej swą po-
motę.

Mgła podziękowała im uprzejmie i
zapytała, czy nie będą się obawiały
iść z nią na podwórce chłopców po
ulubione drzewko.

— Chciałam je sama przynieść, ale
za słabą!

— Myśmy mocne — przychylły zają-
ce i podskoczyły w górę na znak go-
towości do drogi.

Owinęła je mgła jak mogła najsze-
cej i poszły. Po drodze spotkali wie-
wiórkę.

Zniekawiona wiewiórka zapytała,
gdzie idą.

Zające opowiedziały jej, jak i co, a
wiewiórka podniosła głowę do góry
i zawołała: — Hej tam, Tysiu, zjeżdż
z drzewa i ruszaj z nami, bo może i
my się naszej mgłę przydamy.

Druga wiewiórka zeskoczyła natych-
miast z gałęzi i obie, mówiąc coś do
siebie, powędrowały na podwórce
chłopców.

Ale na podwórzu daremnie mgła
obszukiwała wszystkie kąty. Choinki nie
było.

— Cóż się z nią stało? — przysta-
nęła zamyślona, a razem z nią zadumały
się szare zające.

— Jest, jest w izbie! — zawołały
wiewiórki z wierzchołka jabłoni, ro-
snącej przed oknami domu.

— Chociaż okno jest zasłonięte fi-
rankami, potrafiłyśmy dojrzeć drzew-
ko!

W tej chwili jeden z chłopców roz-
sunął firanki przypadkowo i mgła
spojrzała w okno.

Westchnęła żalostnie, aż gęste prądy
powietrza zawirowały koło niej i za-
jące przylatywały się mocniej.

— Trzeba iść po jelenie — rzekły
wiewiórki zeskakując z jabłoni — na-
sze siły nie przydadzą się tu na nic.
Tęś mgła to leciutka, to nie masz po-
jęcia o jakimkolwiek ciężarze, ale my
widzimy, że choinka jest i dla nas za
ciężka.

Jelenie zabiorą jodelkę i zawiozą ją
przed oblicze czarodziejki Rosany. Jest
jej ona życia nie przywróci, to nikt
inny tego zrobić nie potrafi. Ty zaś
mgło, zostań tutaj i pilnuj choinki.
— Dobrze, dobrze — szepnęła mgła
cichutko i przesłoniła całą wieś, aby
nikt się nie domyślił, jakie się sprawy
wokoło niej dzieją.

— Takiego Bożego Narodzenia jesz-
cze nie pamiętamy — mówili rozgnie-
wani ludzie. — A moko jak w jesie-
ni!

Ale mgła nie zważała na to, co mó-
wią ludzie. Stojąc niedaleko domu, w
którym przebywała choinka, czekała
cierpliwie na zaprzęg jeleni i szarych
swoich posłańców.

Nareszcie pewnego dnia wieczorem,
coś zamajaczyło na leśnej drożynie...

Były to smukłe jelenie.
Stapały lekko i powoli, wioząc zmę-
czone zające i wiewiórki.

Gdy zbliżyły się do mgły, ta zafalo-
wała lekko ze wzruszenia i zatrzymaw-
szy się skinięciem ręki, wpatrzyła się
w okno domu, przed którym stała. Pa-
nował tam niewysłowiony hałas.

Nareszcie otworzyły się drzwi gwał-
townie i zżwawe ręce chłopców wyrzu-
ciły choinkę na podwórko. — Jutro ją
porąbamy i spalimy — krzyknęli
wbiegając znowu do izby i zamykając
drzwi za sobą.

— O, nie porąbacie jej! — szepnęła
mgła pobladłymi ustami i skinęła na
jelenie. Te cicho i ostrożnie podeszły
do drzewka, zające i wiewiórki wło-
żyły je na sanki i wszyscy ruszyli z
powrotem w stronę puszczy, aby jak
najszybciej stanąć przed czarodziejką
Rosaną.

Czarodziejka Rosana mieszkala w

głębokiej roztoce, między dwiema wy-
niosłymi górami.

Była to królewna rosy porannej,
więc nazywano ją dobrą czarodziejką
Rosaną, bo rosą krzepila ziemię i
wszystko, co na niej rości.

Pałac jej był to wiecznie kwitnący
dom, z najwyższych kwiatów malw
leśnych zbudowany. Spod kwietnego
progu wypływało kilka wąziutkich, jak
sznurączki strumyków i rozbiegało się
w różne kierunki lasu.

Do tej czarodziejki dążył smutny
orszak...

Gdy przybyli na miejsce, pnąc się
powoli leśnymi drożynami, zatrzymali
się przed domem jelenie, a mgła po-
chyliła się nisko przed czarodziejką
i zaczęła ją prosić o przywrócenie ży-
cia jodelce.

— Gdyby jodelka miała korzenie,
nie przedstawiałoby to żadnych trud-
ności — rzekła Rosana — ale, że ją
ściągnę w pniu, przeto nie mogę jej
przywrócić życia bez płynu z wieczy-
stego dębu, złotego pióra dzikiej gęsi
i bez kolorowej wstążki zorzy polar-
nej.

Mgła nie rozumiała nic z tego i stała
smutnie pochylona.

— Czy zechcesz po te rzeczy pójść
sama? — zapytała Rosana.

— My, my pójdziemy! — wykrzyk-
nęły zwierzęta. — Ona jest za lekka,
nie udźwignęłaby tych rzeczy.

Tylko nam powiedz, dobra czaro-
dziejko, gdzie jest wiecysty dąb, dzika
gęś o złotych piórach i zorza polarna.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 18)

Szczęście to pełnienie obowiązku, a im obowiązek cięższy, tym ono większe.

(greckie)

Nikt nie może być w pełni wolny, póki nie wszyscy są wolni; nikt nie może być w pełni szczęśliwy, póki nie wszyscy są szczęśliwi.

(Herbert Spencer)

Chociaż może istnieć szczęście ludzkie, doskonale być nie może. Nikt bowiem nie jest tak szczęśliwy, iżby w jakimś względzie nie wadził się ze swoim losem.

(Wincenty Kadłubek)

Sam proces dążenia do upragnionego celu, wysiłek, trud, działanie dostarczają więcej przyjemności aniżeli zazywanie szczęścia po uzyskaniu celu.

(Holbach)

Mądrość nie może zdobyć cenniejszego przyczynku do szczęścia całego życia w ogóle, jak zdobyćce przyjaźni.

(Epikur)

iCekawość — klucz do szczęścia.

(Linus Pauling)

Szczęście i nieszczęście są przy nas, jak skrzydła przy wiatraku: to jedno, to drugie na wierzchu, a tymczasem zboże się miele.

(Henryk Rzewuski)

Trzeba wypalić się spokojnie do ostatka — w tym jest szczęście.

(Władysław Reymont)

Nie trzeba przekraczać granic szczęścia. Szczęście nie znosi za sobą pościu. Napastowane — odwraca się i zaczyna prześladować napastnika.

(Stefan Żeromski)

Godzina szczęścia lepsza niż — wiek grzybiego, pustego życia.

(Józef Ignacy Kraszewski)

Szczęśliwe jest życie, które w całości swej daje trwałe, pełne i uzasadnione zadowolenie. Szczęśliwym jest człowiek, któremu takie życie przypadło w udziale, i który takiego zadowolenia doznaje. Szczęściem jest trwałe, pełne i uzasadnione zadowolenie z życia.

(Władysław Tatarkiewicz)

Nie myślny o szczęściu. Przyjdzie — zrobi niespodziankę, nie przyjdzie — nie zrobi zawodu.

(Bolesław Prus)

Szczęście nie znaczy nic, jeśli inni o nim nie wiedzą, a znaczy bardzo mało, jeśli go nie zazdroszczą.

(Samuel Johnson)

Wielką przeszkodą w szczęściu jest oczekiwanie zbyt wielkiego szczęścia.

(Fontenelle)

Być szczęśliwym to dobrze żyć i dobrze się mieć.

(Arystoteles)

Szczęśliwy jest człowiek, który może koniec swego żywota związać z jego początkiem.

(Goethe)

Nie chcę innego szczęścia, jak na polskim chlebie...

(Kazimierz Łaskowski)

I znowu czerwiec. I wiatr, i ty. I znowu szczęście, i bzy, i lzy. I znowu, jakby sen śniący za młodo.

(Jarosław Iwaszkiewicz)

Gdy się miało szczęście, które się nie

trafia

czyjeś ciało i ziemię całą, a zostanie tylko fotografia, to — to jest bardzo mało.

(Maria Pawlikowska-Jasnorzewska)

O! ci młodzi ludzie Odchodzą od nas i wołają głośno: Idziemy szukać szczęścia. Więc my,

starce,

Cośmy przebiegli po tej biednej ziemi, A nigdy szczęścia w życiu nie

spotkali —

Możemy tylko szukać nie umieli.

(Juliusz Słowacki)

Kto wiele posiadał, nie jest szczęśliwy jeszcze, szczęśliwość, jeśli prawdziwa, służy temu, kto doczesnych darów w miarę używa,

kto mężnie znosi brzemień ubóstwa, lęka się niesławny, złej pamięci, za ojczyznę, za przyjaciół gotów życie poświęcić.

(Horacy)

Szczęście, och szczęście! świat cały

woła;

Wielcy i mali, mądrzy i prości, Jaką ma postać? czeka? aniola? Kwiatka paproci? laurów mądrości?

Gdzie się ukrywa? jaka doń ścieżka? Czy po przypływie? czy po suwobieżni? O! może szczęście prawdziwie mieszka W pieśni, w marzeniu... w zamkach na lodzie!

(Jan Chęciński)

Przeczytaj tę bajkę, nim uśniesz, jeśli chcesz. Szczęście? — to co dzień dostać jeden uśmiech i zwrócić jeden wiersz.

(Władysław Broniewski)

Zorba opuścił szklankę i spojrzał na mnie.

— Rozumiesz! — krzyknął, jakby wpadł nagle w złość. — Rozumiesz i to cię zgubił! Byłbyś szczęśliwy, gdybyś nie rozumiał. Czego ci brak? Jesteś młody, masz forse i zdrowie, jesteś fajny chłop, niczego ci nie brak u diabła! Jednego ci trzeba. Odrobiny fantazji. Bo jeśli tego brak, szefie!

(Nikos Kazantzakis)

Ludzie, którzy marzyli kiedyś o jakimś szczęściu szerszym, o osiągnięciu jakichś szczytów idealnych czy sławy, a których potem zdeptało życie, sięgają w złych chwilach skwapliwie po szczęście zwykłe, osobiste, choćby najbanalniejsze, jeśli im się takie szczęście nawinie w drodze i jest łatwe do zdobycia. A potem spoczywają w tym szczęściu jak na miękkim posłaniu, a oczy duszy zaczynają im się kleić... Ogarnia ich zadowolenie z siebie i z porządku świata.

(Tadeusz Rittner)

Różne są zdania i każde ma wsparcie, jak być szczęśliwym.

(Ignacy Krasiński)

Wybrał JERZY LESNIAK

Myśli o szczęściu

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 17)

— Wieczysty dąb rośnie na wieczystej górze, w wieczystym lesie. Pod nim siedzą dwie Panny i warzą w srebrnym kociołku mocny płyn z żółtą dębą, który przyswaja życie. Płyn tego jest prawie niepodobniestwem naczepać, tym bardziej, że prócz Panien, także dwóch Rycerzy, uzbrojonych od stóp do głów, pilnuje dębą.

— Kto tam pójdzie?
— Mój! — zawołały wiewiórki.
— Dobrze, może się wam uda.
— Dzikie gęsi zamieszają ciepłe jeziora stron południowych. Każda z nich, prowadząca setkę stad przez podniebne szlaki, ma kilka złotych piórek na czubku głowy. Tworzą one koronę i oświetlają jej drogę, gdy w nocy leci ponad ziemią ze swoją gromadą. I pióro to nie jest łatwo otrzymać. Kto tam pójdzie?

— My, my! — zawołały zające, stając na tylnych łapkach.
— Dobrze — może wam się uda. Oprócz tego musimy mieć jedwabną wstążkę, jedną z tych, którymi wieczorem powiewa nad lodami zorza polarna. — Któż tam na północ po nią pójdzie?

— My! — zawołały jelenie.
— Dobrze. Ale pamiętajcie, że wszyscy musicie się stawić do tej chwili za czterdzieści dni, przed zachodem słońca. Jeśli się spóźnicie wszystko na nic. Ja także pójde. Drogi to dalekie i niebezpieczne, ale mam dwie siostry w dolinie. Poproszę je, aby i one poszły — szepnęła mgła. — Jedna pospieszy za zającami, druga za wiewiórkami, a ja za jeleniami. W razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, zamroczyły świat i otulimy zwierzęta, aby ich nikt nie dojrzał.

— Dobrze — rzekła czarodziejka Rosana, i cała gromadka pomknęła popiesznie ku dolinom.

W dolinie obudziła mgła śpiące nad rzeką siostry: różową i błękitną, i krótko powiedziała im, o co chodzi. Te chętnie wysłuchały jej prośby i poszły razem.

Na rozstajnych drogach rozdzieliła się dzielna gromada. Wiewiórki i różowa mgła skierowały się na wschód.

Była to okolica tak górzysta, że nikt z ludzi tam nie uczęszczał. Lasy coraz gęstsze i nierówne tamowały im drogę, ale one szybko przeskakiwały całe przestrzenie lasu, zatrzymując się tylko dla orientacji na najwyższych drzewach. Wtedy cichy i kołysane lekko, słuchały szmeru wieczystego dębu. Płynął od najwyższego szczytu, a pobrzeżkiwał, jakby kto stał o głazy trącał. Im bliżej, tym wyraźniej było go słychać.

Nareszcie w ciszy przedwieczornej, zabrzmiła wokół nich najucudniejsza

Antonina Zachara-Wnękowa (Rabka)

Wigilijna jodelka

muzyka. Spojrzały wiewiórki przed siebie; na szczycie najwyższej strómej góry stał wspaniały dąb, a liście jego drżały w śpiewie jak struny harfy. Żółte żółędzie błyszczały wśród liści jak małe gwiazdki.

Pod skręconymi mocarnie konarami siedziały dwie przelisczne Panny i w srebrnym kociołku warzyły płyn ze złotych żółędzi, które odrywały się od czasu do czasu od śpiewających gałązek i spadały do kociołka, pod którym palił się ogień. Oprócz nich czuwało dwóch silnych, pięknych Rycerzy. Rycerze owi, uzbrojeni od stóp do głów to przechadzali się, to zatrzymywali, bacząc pilnie, czy się nie zbliża kto ku wieczystemu dębowi.

— Nie bójcie się, tylko chodźcie ze mną — szepnęła różowa mgła i wypłynęła z lasu, posuwając się z wolna ku wieczystemu dębowi. Im była bliżej celu, tym bardziej gęstniała i czarnała, aż uczyniła się podobna czarnej chmurze.

— Ciemno, choć oko wykol — zawołały Panny rozdmuchując ogień, ale ogień zwiłżony przez mgłę nie chciał się palić.

— Czemu mi chodzisz po piętach? — krzyknął jeden Rycerz do drugiego.
— A czemu ty mi depczesz po palcach? — odezwał się drugi ze złością i poczęli się kłuc w mroku mieczami.

Nim się Rycerze uspokoiili, a Panny rozpalily ogień, zreczne wiewiórki wskoczyły na dąb, zerwały kilka żółędzi, wygrzyły w nich małe otworki i czym prędzej zacerpnęły z kociołka debowego płynu.

Mgła osłoniła je jeszcze szczerlniej i pełne radości puściły się w drogę powrotną.

Tymczasem zające stały nad brzegiem rozległego jeziora, zarośniętego szuwarami i namyslały się, o co robić. Widziały stada dzikich gęsi, ale gęsi pływały po samym środku jeziora, nie zbliżając się wcale do brzegu.

— Musimy zrobić łódeczkę i podjechać do nich — postanowily zające i zaczęły plesć czołno z brunatnych gałązek wikliny.

Potem oblaty je smola, ściekająca obficie po korze nadbrzeżnej sosny i wsiadłszy, popłynęły ku gosiom ostrożnie.

W pierwszej chwili dzikie gęsi gdy

usłyszaly plusk wody, chciały się podebrać i lecieć, ale na widok płynących zajęcy uspokoiły się, wyciągnęły szyje z ciekawością i zapytały: — Co chcecie waćpanowie?

Wtedy jeden z szaraków zatrzymał czołno, oparł się na wiosło i zaczął opowiadać.

— Proście mnie o złote pióro? — zawołała gęś zdumiona. — Jakże ja wam mogę dać złote pióro ze swojej korony? Czy wiecie, co to znaczy pozabawić się złotego pióra z korony?

— To znaczy błądzić pod niebem ze swoimi stoma stadami gęsi i wydać je na strzaly myśliwych.

— Jodelka leży nieżywa — szepnęły zające i opuściły głowy.

— Ach! Nie uwierzcie jak mi przykro, że nie mogę spełnić waszej prośby.

— Ty masz wyjątkowo w koronie dwa piórka więcej — odezwała się jedna z gęsi.

— Tak, tak, tak! — zakrzykały nagle wszystkie — masz o dwa piórka za dużo.

— To wyrwijcie mi jedno i oddajcie tym panom — rzekła gęś i pochyliła głowę przed towarzyszkami. Najbliższa z nich, wyrwała zrecznie dziobem jedno pióro i podała szarakom. Te, ze łzami wdzięczności, podziękowały za nieoceniony dar i popłynęły z powrotem.

Zające osłonięte mgłą pędziły co tchu ze złotym piórkiem do czarodziejki Rosany.

A jelenie?

Jelenie szły pełnym galopem, bo wiedziały dobrze, że zorza polarna mieszka bardzo daleko i lękały się spóźnić.

Mgła przywiała szal do ich rogów, włożyła lodowe łyżwy i sunęła za nimi leciutko jak techniele...

Gdy przybyli do krainy wiecznego lodu, natopkali stado reniferów, wyciągających zielony mech spod śniegu.

— Daleko jeszcze do zorzy polarnej? — zapytały jelenie renierów.

— Już niedaleko... — zaczęły renier i nagle pierzeły.

Jelenie także ruszyły naprzód, lecz ostre, długie strzaly, zaczęły im wsiadać koło nóg i głów.

Zmęczone daleką drogą, nie miały już siły biec dalej i przystanęły przy niskich krzaczkach karłowatych sosen.

Mgła zmarznięta do ona, skuliła się także przy nich, nie mogąc w żaden sposób rozwiązać swych szat i otulić przyjaciół. To też po niedługiej chwili nadbiegli mieszkańcy północy, zajęli jelenie i zaprowadzili je do swego osiedla. Tlum ludzi zaciekawiony zdołał, wybiegł ze swoich domków i otoczył powracających.

— Bardzo są podobne do renów, pewnie i mięso ich jest takie, albo jeszcze smaczniejsze — mówili ludzie między sobą. — Przekonamy się jutro, tymczasem, przenocuj u mnie w stajence — odpisał jeden z myśliwych i zaprowadził je do stajenki. Tam wrzucił im za drabinę trochę suchej trawy i poszedł. Jelenie pokładły się i zasnęły...

Spały tak sporą chwilę, gdy zbudził je lekki szmer i melodyjny szepot: — śpić!

Jelenie powstały.

— Chodźcie! uchyliły się drzwi nieznacznie — prędko, prędko!...

Na podwórzu stała mgła i przynaglała je do drogi.

Jelenie znowu puściły się galopem po zaśniętym tajdze. A gdy minęło pół nocy i dzień, stanęły nad brzegiem morza, gdzie na wyniosłej górze lodu stała zorza polarna i w przegromną przestrzeń świata powiewała kolorowymi wstążkami.

Jedna z nich wypadła z ręki i upadła na zimną tafle wody. Wtedy mgła posunęła się cichutko ku niej, podniosła ją delikatnie i wróciwszy przewziewała rogi jeleni. Potem uchwyciła oba końce wstążki i cała trójka ruszyła z pośpiechem w drogę powrotną.

Czarodziejka Rosana z niecierpliwością oczekiwała wystąpić. Gdy upłynęło dni czterdzieści, codziennie przed zachodem słońca szła na wysoką górę i patrzyła w dal, czy nie przybywają.

Drzewko żółtko, schło i zaczęło osypywać brunatne igliwie.

Żuł czternasty dzień miał się ku końcowi, a przybyły tylko wiewiórki i zające. Jeleni nie było...

Wysła na górę i patrzy na północ. Zniżające się słońce rzuca wspaniałe światła na cienie północy. Nagle z tych cieni wynurza się jelenie i pędzą w purpurze zachodzącego słońca. Biegna co tchu, w błękitnej parze swych odchłód, Nareszcie są u celu. Głębokim rykiem witają swój las.

Czarodziejka przykłada drzewko do pienia. Mgła stoi przy niej i patrzy bez ruchu, jak macza złote piórko w płynie wieczystego dębu i zaciera nim ciężkie rany jodelki. Potem przewiązuje to miejsce jedwabną wstążką zorzy polarnej. Ostatni węzeł wiąże i ostatni promień słońca gąśnie.

Skropiła jeszcze jodelkę rosą z dzbanka.

Stanęli wszyscy wokół — patrzy, słuchają...

A wtem jodelka się zazieleniła i szum coraz głębszy, pełen wdzięczności zmieszal się z szumem obudzonego przez wiatr lasu.

„Maja” z Krynicy jest autorką wierszy miłosnych, w których naprawdę kłama jest — miłość, a nie poezja. Są to bowiem zapisy (jak wolno sądzić, całkiem szczere i psychologicznie wierne) stanów uczuciowych zakochanej kobiety, gdy ta znajduje się w typowych dla zakochania sytuacjach i na takie sytuacje reaguje. Kochająca patrzy w jego okno. Kochająca odchodzi spod jego drzwi, nawet nie zapukawszy. Kochająca czekała, lecz on nie przyszedł. Kochająca a bezsenna z czułością patrzy na niego, kiedy on śpi, zmęczony przecież. Kochająca wyobraża sobie, jak to będzie potem, gdy stanie się jego żoną. Droga Pani Maju, każdy kto przeżył to, co Pani zanotowała w swoich wierszach, wie, że nie-nadaremno żył i że dostał od życia choć raz coś zachwycającego. I takich osób są miliony. Tak: miliony kobiet mogłyby całkowicie utożsamiać się z liryczną bohaterką Pani wierszy (wszak prawie każda patrzyła w okno swego mężczyzny i prawie każda leżała bezsenna przy jego boku), a znów miliony mężczyzn mogą widzieć siebie w sytuacjach odpowiednich do męskiej roli — ona pod moimi drzwiami; patrz na nią przez półzamułtę stary mojego okna; zmęczony i rozluźniony zasypiam obok niej nie śpiąc. Wszystko to jest komunalna miłość. Cudowny w życiu, banalny w poezji.

Czemu? Bo w życiu człowiek może przeżyć swą miłość tak niebywale, powiedzmy — tak prototypowo, jak gdyby nikt przed nim nikogo jeszcze nie kochał, a na pięknym biblijnym drzewie wiadomości dobrego i złego czewiano się wśród liści wciąż nie nadgryzione przez kobietę jabłko. Ale w poezji inaczej: nie można pisać o miłości, udając wobec siebie czy innych, że jest się pierwszym miłosnym poetą i nie istniał przed nami *Gilgamesz* i *Homer*, *Pieśń nad pieśniami* i *Safona*, *Owidiusz*, *Petrarka* i *Szekspir*, *Puszkin* i *Heine*, *Vergil* i *Majakowski*, *Salomėja Neris* i *Milosz*. Ścisłej to wyrażmy. Da się po swojemu, „po domu”, rejestrować wierszem (czy niby-wier-

szem) własne miłowne doznania; prawie każdy to robi, istotnie Petrarkami się nie krepując, jednak aktywność tego typu należy właśnie od samego przeżywania miłości, jest jakby jej przewidzianą i naturalną częścią, niemal wynika z fizjologii zakochanego; natomiast do poezji należy tylko o tyle, o ile tworzy istotnie poetycką wartość: o ile jest nowym słowem o miłości, a nie wyłącznie dokumentacją nowego przypadku miłości.

Wśród najbardziej uroczych składników zakochania mieści się ta oczywistość, żadnych od nikogo dowodów nie potrzebująca, że mój on to jedyny wspinaliec świata tego, bez wątpliwości i bez konkurencji, sans peur et sans reproche; zaś moja ona to Izolda i Julia w tej samej osobie, która szczęśliwie godzi sprzeczne z sobą walory

podobne są do siebie jak krawaty w kolekcji uwielbianego kochanka.

Co zrobić, by zbliżyć się ponad ten poziom wierszopisarskiej masówki? Przede wszystkim zrozumieć, że ograniczanie się do opisu zachowań miłosnych lirykę obezwładnia. Więc próbować refleksji, dla której erotyka jest punktem wyjścia, lecz nie całością doznawanego świata. W miłosnym wierszu ważniejsze niż to, co on i ona czynią, jest to, co on lub ona w związku z tym czynieniem przeżywają. Bogate i zwiklane reakcje osobowości. Myśl, emocja, skojarzenie, a nie same tylko usta i uda.

Pani „Maja” prosi autora tych uwag o twardą, prawdomówną krytykę. Cóż, opisałem tu przede wszystkim zjawisko generalne, Pani utwory ledwie biorąc za asumpt. Bo wydały mi się typowe

To są jednak dopiero drobiny poezji — jeśli byśmy aż tak wysoko te zdania ocenili. Wiersz, ażeby był dobry, nie tylko musi zawierać wiele takich (i same takie), ale przede wszystkim musi owe drobiny powiązać z sobą w należyty sposób. Od antyszabloności tego powiązania zależy wartość artystyczna tekstu. Jak dużo tu można osiągnąć, dadzą pojęcie arecyproste i przecie piękne wiersze Tadeusza Różewicza. Proszę przeczytać, Pani Maju, trzy: *Dwa trybiki*. Ale kto zobaczy i Ojca. Oto ich fragmenty:

Widzę

śmieszny posąg bałesici
w przydeptanych pantoflach
przy kuchni
małą krzywą
figurkę
skamieniałej matki.

Ale kto zobaczy moją matkę
w szarym kitlu w białym szpitalu
która trzęsie się
która sztywnieje
z drętwianym uśmiechem
z białymi dżiśkami

Idzie przez moje serce
stary ojciec
Nie oszczędzał w życiu
nie składał
ziarnka do ziarnka
nie kupił sobie domku
ani złotego zegarka
jakoś nie zebrała się miarka

A ponadto proszę też gruntnie przemyśleć erotyki Anny Achmatowej i Wisławy Szymborskiej.

Jeszcze jedno. Czytałem, iż bohaterka liryczna Pani znalazła podkulkę chciała ją podarować swemu najbliższemu na szczęście. Ktoś nieżyczliwy zweszyłby może w tym błąd ortograficzny, ale nie ja. Istnieje przecież polskie słowo „podkółka” (taka dla konika czy dla kozy, lub portmonetka, lub pod oczami, lub symbol szczęśliwej loterii), lecz i słowo „podkuka” (taka pod płozą sanek). Wciąż więc nie wiem, co właściwie leżało na tamtej ulicy miłosnego czekania.

Temperowanie pior

Wiersze ZBIGNIEWA SIATKOWSKIEGO

Ateny i Afrodyty, i w tym sensie z pewnością także najedynsza. Warta więc uwielbienia, warta poezji? o jasne; tak jak w jej miłujących oczach on wydaje się godny wywyższenia go choćby wierszami. Albo — i równie dobrze — kupieniem mu krawata, śliczniejszego nad wszystkie inne. Szafy kilku pokoleń po brzegi pęcznieją od takich niepowtarzalnych krawatów upamiętniających niepowtarzalną fazę niepowtarzalnego uczucia. A znów biblioteki i archiwa publiczne, a domowe pudła na zakurzonych strychach, sekretne sekreтарыki po babuni oraz seryjne segmenty w M-4, wreszcie biurka wszelakich redakcyj i wydawnictw — pełne są wierszy miłosnych. Spod długopisów miliarda zakochanych wychodzą miliardy wierszy i w istocie wiersze te

dla zjawiska. Nie wiem, czy oprócz wierszy wynikłych z miłości pisze Pani inne; nie umiem wyobrazić sobie, jaki poziom potrafi Pani osiągnąć bez wspierania się oczywistością sytuacji miłosnej. W tekstach, które od Pani odbierałem, czasami — z rzadka — błyska jakieś ujęcie, jakieś zdanie, które może stanowić krok na drodze do poezji: kiedy obraz jest wyraźny, opis poddany zgłoszczeniu. Na przykład to o posiwiłej matce:

Po domu moim chodzi kobieta
w niebieskim fartuszku, boso
myje podłogi
pochyliła się nad gorącą kuchnią

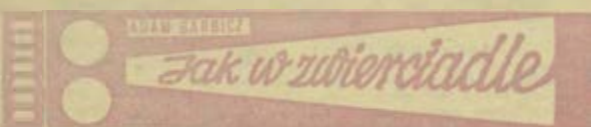
Albo:
Czekałam na Ciebie
cała nowa
w nowej sukience, pantoflach

Mówią, że w wieczór wigilijny zwierzęta odzywiają się do nas ludzkim głosem. Może to i prawda. Jeśli tak, to zapewne w tej uroczystej chwili zgody i radości proszą nas, abyśmy byli trochę bardziej — jak to się w naszym języku nazywa — ludzcy.

Albo nie jestem pewien, czy zwierzęta muszą się odzywać głosem człowieka. Aby dać zrozumieć, nie zawsze trzeba powiedzieć. Aby zrozumieć, nie musi się usłyszeć. Czasem wystarczy zająć się prosto w oczy. Jeśli ktoś to potrafi. Jeśli ktoś potrafi głęboko patrzeć.

KONTRAKT, znakomity film Krzysztofa Zanussiego, powstał wcale nie z wigilijnej okazji. Myślę jednak, że w jego akordzie finałowym jest coś z tego właśnie, o czym wspominałem. Wymowa spojrzenia naszych braci mniejszych, jak powiedziałby święty Franciszek: zwierząt.

Oczy wolnego mieszkańca lasów, który w całym dostojństwie pojawia się przed bohaterami **KONTRAKTU**, pytają o naszą godność. O cenę, jaką chcemy płacić za sposób życia — tego rzekomo najlepszego życia w luksusie. Poprzednie sto z górą minut filmu ujawnia, czym jest ów luksus. Jak się zdobywa najlepsze miejsca przy naszym wspólnym stole. Kto i dlaczego o tym marzy. Kto, jak i dlaczego przeciwko temu protestuje.



PRZY WSPÓLNYM STOLE



KONTRAKT zaczyna się w tonie szampańskiej zabawy. Okazja po temu jest dla bohaterów filmu szczególna: wesele. Okazję do zabawy dla nas, widzów, stwarza reżyser: maluje na ekranie jaskrawe, kąśliwe, ale przecież jakże prawdziwe wizerunki przedstawicieli naszej elity pieniędzą. Myślę, że większego komplementu uczynić nie mogę: powołuje to na myśl Moliera.

Wraz z upływem akcji, z rozwojem wydarzeń rodzących coraz większe konflikty, zmienia się jednak nastrój tego satyrycznego portretu towarzystwa, zgromadzonego na ślubie syna ordynatora stołecznej kliniki. Coraz więcej ciemnych barw, coraz więcej załamania, coraz wyraźniej nasza sprawa białoczerwona. To już nie Moliere, nawet ten gorzki Moliere z „Mizantropem”; to już inne wesele i inny autor patronujący treści. Nasz, polski: Wyspiański.

I tamta uroczystość bronowicka, zaczynała się wśród szumnej radości. I tamta pokazana nam została w chwili, gdy z głów wyparowało już upojenie, a świat sąsiadujący z weselną chatą zaczął pytać o to, co komu w duszy gra.

KONTRAKT nie powstał z wigilijnej okazji. Ale chyba właśnie w czas świąteczny, czas zgody i radości, czas zamyślenia, można najlepiej zrozumieć, co mówią oczy zwierzęcia w ostatnim kadry filmu.

Maziarska wieś ŁOSIE

„Mazi, mazi kupcie!” lub „Mazi, mazi, tronu, oliwy, smarówki do wozu kupcie!” — wołał maziarz, przejeżdżając przez wieś. Czasem chcąc dać znać o swoim przybyciu walił jeszcze miarką lub lopatką na odwrócone, puste wiadro.

Kim byli? Skąd pochodzili? Gdzie handlowali?

Maziarze z naszych terenów, to Lemkowie z Łosia Gorlickiego. Łosie — ośrodek wędrownego handlu mazią — jest swoistym fenomenem kulturowym, niewiele mającym odpowiedników w tradycyjnej kulturze chłopskiej.

Maziarstwo, będące początkowo tylko dodatkowym źródłem dochodu ubogiej wsi, w XX wieku, a zwłaszcza w okresie międzywojennym, stało się podstawowym i masowym zajęciem.

W 1900 roku Łosie liczyło 200 numerów, a handlem mazią zajmowało się ponad dwieście osób, zaś w roku 1934 liczba gospodarstw wzrosła do 280, handlem natomiast trudniło się już około 670 ludzi — na rodzinę przypadło więc ponad dwóch maziarzy. Łosianie powiadają, że nie handlowali we wsi jedynie głupek, chłopci mało sprytni, pozbawieni handlarzkiej żyłki oraz osoby piastujące we wsi urzędy, jak wójt czy pisarz gminy. Ale nawet ci ostatni rzucali posady i wracali do maziarstwa. Pewien łosianin np. po sześciu latach wójtowania zabrał się na powrót do handlu, gdyż, jak twierdzi jego syn, „handlując wujowie przez ten czas już domy nowe wybudowali, a ojciec z pensji i gospodarki ledwo mógł utrzymać rodzinę”.

Do przełomu XIX i XX w. podstawowym produktem, sprzedawanym przez lemkońskich maziarzy, była „kolomaz”, służąca do smarowania drewnianych osi wiejskich wozów, a poza tym do impregnacji drewna — zapuszczano nią gonty, parkany, futryny okien i drzwi. Produkcję mazi drzewnej prowadzono w łosińskich lasach do połowy XIX wieku, później zaś zostaje ona zastąpiona smarem pochodzenia naftowego, nabywanym w okolicznych destylarniach, głównie w Gorlicach, Gliniku Mariampolskim i Ropie. Obok „kolomazy” najstarszymi produktami, sprzedawanymi przez maziarzy, był naturalny żłobek brzozy lub sosnowy oraz terpentyna. Produkty te znajdowały zastosowanie w garbarstwie i rymarstwie, przy konserwacji skór oraz w medycynie i weterynarii — zarówno ludowej, jak i oficjalnej.

Od pierwszych lat XX wieku wraz z szybkim rozwojem przemysłu i mechanizacją wzrostu zapotrzebowanie na rozmaite produkty naftopochodne. One to, obok mazi, stały się głównym przedmiotem handlu łosian; były to rozmaite smary techniczne oraz oleje różnego przeznaczenia: maszynowe, silnikowe, cylindrowe, wazelinowe, techniczne, nafta, parafina, asfalt. W okresie największej prosperity, czyli pod koniec dwudziestolecia międzywojennego, łosianie handlowali wszystki-

mi produktami naftowymi, jakie można było nabyć w destylarniach i składach. W okresie okupacji oraz po drugiej wojnie światowej różnorodność towarów znacznie zmalała.

Handlarze z Łosia dzielili się na kategorie: maziarzy prowadzących handel obwoźny i pieszych domokrążców. Grupa druga, rekrutująca się z wiejskich biedniaków, była daleko mniej liczna. Domokrążcy nosili swój towar na specjalnym stolezku, zwanym „krosnami”, który zaopatrzone był w skórzane lub parciane szelki i miał przymocowaną bezuszkę lub bankę z dzięgiem. W rękach dźwigał banki z oliwą. Taki sprzedawca brał jednorazowo około trzydziestu litrów towaru. Dość znacznym usprawnieniem był dwukolowy ręczny wózek, tzw. „kolaska”, na który można było załadować około stu litrów. Piesi sprzedawcy zajmowali się też prócz handlu leczeniem ludzi i zwierząt, wrośnięciem i rozmaitymi zabiegami magicznymi, zwłaszcza odczarowywaniem. Leczenie polegało zwykle na okadzaniu zwierząt „cudowny-



mi” ziołami lub specjalnie do tego celu przygotowanymi galkami twardej smoly, zmieszanej z aromatycznym zielem. Łosianie umieli również zabezpieczać krowy przed zacczarowaniem na żądaną ilość lat. W tym celu wkładali odpowiednio „zamówione” ziolo do dziury w żłobie, powstałej po wybiściu sęka, na żłobie zaś przybijali drewniane krzyżki w takiej ilości, przez ile lat lekarstwo miało być skuteczne. Naturalnie im dłuższe działanie leku, tym więcej zabieg kosztował. Niektóre rady handlarzy były rzeczywiście pomocne. Jeśli np. kobieta skarżyła się, że krowy są zacczarowane, bo dają mało mleka, maziarz sprzedawał jej „zamówione” ziolo i polecał trzy razy dziennie dawać krowie oprócz normalnej paszy wiadro otrąb ze szczyptą owych ziół. „Po takim karmieniu nawet jałówka dawała mleko” — zakończył opowieść stary łosianin.



Grupa maziarzy, prowadzących handel obwoźny, była bardzo liczna i penetrowała znaczne obszary. W miarę rozwoju łosińskiego handlu wielu dawnych domokrążnych sprzedawców przekształciło się w cenionych hurtowych dostawców, prowadzących interesy na dużą skalę. Zaopatrywali się oni w rozsianych po całym kraju składach dużych firm krajowych i zagranicznych, zajmujących się dystrybucją produktów naftowych. Niektórzy z nich zakładali własne składy, często połączone z zakładami produkcyjnymi, do których towar sprowadzono bezpośrednio z przemysłowych okręgów naftowych, np. z Drohobyca czy Borysławia.

Poszczególne rodziny maziarskie miały swoje stałe, tradycyjne rejony sprzedaży, w których nie miał prawa handlować żaden inny maziarz. Drobnymi domokrążcami rozprowadzali towar po wsiach Galicji, najczęściej „na górach” tzn. w okolicach Limanowej, Myślenic i Żywca oraz na wschodzie w rejonie Dukli, Rymanowa, Sanoka, Rzeszowa, Przemyśla. Natomiast handlarze bardziej przedsiębiorczy penetrowali odległe tereny Austro-Węgier, Rosji i Kongresówki. Niedowierzanie budzi zasięg ich szlaków handlowych. Głównym i najstarszym rynkiem zbytu były tereny zakarpacie; niemal każdy maziarz był „na Słowakach” i „na Madziarach”. Docierali oni daleko w głąb Słowacji, na wschód od Kozy, po dzisiejszy Užgorod; objeżdżali cały Spisz, zapuszczali się w głąb Węgier, do Siemiołgradu, a niektórzy nawet do Rumunii. Prowadzili interesy na Morawach i Śląsku. Rządziej uczęszczanymi obszarami były tereny wschodnie. Jeździło tam jednak kilkanaście wozów, głównie w okolice Lwowa, Płoskirowa i Berdyczowa, a nawet do Odessy. W Kongresówce maziarze handlowali na terenie Kielecczyny, Lubelszczyzny, Mazowsza, Kujaw. Kilku docierało w głąb Litwy, na Łotwę i do Estonii.

Po pierwszej wojnie światowej, na skutek zmiany granic politycznych, uległy również zmianie trasy łosińskich maziarzy. Handlowali oni na terenie całej ówczesnej Polski (z wyjątkiem Polesia, na skutek bagnistego terenu).

W Polsce Ludowej łosińscy sprzedawcy smarów otrzymali pozwolenie jedynie na sprzedaż lokalną. Ograniczenie swobody poruszania się w terenie bardzo szybko zlikwidowało łosiński handel. Znacznie dużym natomiast działaniem łosianie przesiedleni na zachód. Ostatni maziarz jeździł jeszcze z towarem w latach siedemdziesiątych po terenie Podkarpacia, aż do śmierci.

Handel, uprawiany masowo przed pierwszą wojną światową i w okresie międzywojennym przyczynił się do ogromnej poprawy sytuacji materialnej maziarzy. Uwidocznili się to w bardzo wielu dziedzinach życia, takich jak budownictwo, urządzenie wnętrz mieszkalnych, ubiór itp. Wielki wpływ na sposób życia i myślenia miały także stałe kontakty handlarzy ze środowiskami, znacznie różniącymi się pod względem kulturowym od Lemkońszczyzny, oraz duża nieobecność mężczyzn w domu. I tak np. w rodzinach łosińskich odmiennie niż gdzie indziej był rozkład zajęć domowych i odpowiedzialności za gospodarstwo; główną osobą była tu kobieta. Długa nieobecność mężczyzn w domu mogła też prowadzić do rozbitcia rodziny — wypadki takie nigdy się jednak nie zdarzały. Natomiast w okolicznych wsiach mówiono: „nie po to łosiński przebiegali w parobkach najmujących się do pracy, wybierając młodych i przystojnych, żeby ci się tylko przy plugu marnowali”.

Monografia wsi Łosie — obejmująca zarówno genezę i rozwój historyczny maziarstwa, wszystkie aspekty handlu, jak i przemiany kulturowe wsi na skutek uprawianego zawodu — opracowana została bardzo wyczerpująco przez Marię Brylak-Zaluską, w pracy, przygotowywanej obecnie do druku przez Polską Akademię Nauk. Wszystkie przytoczone wyżej informacje pochodzą z tej pracy. Serdecznie dziękujemy za udostępnienie maszynopisu.

ZDJĘCIA:
MIECZYSLAW STASZEWSKI

Łosianie, Łosianie, marnie wyginiecie,
Do samej Warszawy karczmę nie
miniecie!

Antoni Kroh

Kulisiewicz i jego Szlembark



Tadeusz Kulisiiewicz, urodzony w 1899 roku, grafik i rysownik, studiował w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych u Władysława Skoczylasa i Miłosza Kotarbińskiego. Skoczył się, twórca nowoczesnego drzeworytu polskiego, interesował się żywo ludową plastyką podhalańską i wiele z niej czerpał. Miłoz Kotarbiński zaś, artysta niesłusznie dziś zapomniany, malarz i rysownik, a także poeta i kompozytor, twórca portretów, pejzaży oraz scen alegorycznych, człowiek o bardzo rozległej kulturze, pochodził z rodziny wielce zasłużonej dla Polski. Np. jego brat Józef był wybitnym aktorem i krytykiem teatralnym, a i obaj synowie zasłynęli: Mieczysław został malarzem, grafikiem i metalo-

plastykiem, zaś Tadeusz — to znany całej współczesnej inteligencji humanistycznej autor „Traktatu o dobrej robocie”, wielki filozof, logik i prakseolog, były prezes Polskiej Akademii Nauk.

Kulisiiewicz miał więc wielkie szczęście, studiując u takich mistrzów.

Do Szlembarku trafił przypadkowo w 1926 roku, aby powracać tu przez całe życie. Fascynacja góralszczyzną — ale nie tą na pokaz, góralszczyzną teatralnych kostiumów z przeładowanymi haftami i nieprawdziwych gestów, lecz góralszczyzną ciężkiej roboty, trudu i biedy — dała swój pierwszy efekt w postaci drzeworytu „Kobieta z różanecem” (1930 r.). Występują tu już wszelkie cechy charakterystycz-



ne drzeworytu Kulisiiewicza o tematyce góralskiej: afirmacja życia, hold dla chłopskiej roboty, surowość, powaga, bezbłędna kompozycja.

Niektórzy krytycy wywodzili twórczość Kulisiiewicza od modnego ówczesnie ekspresjonizmu. Irena Jakimowicz odcina się od tego poglądu bardzo dobitnie:

„Sztukę Kulisiiewicza wywodzą czasem z ekspresjonizmu, jako tego prądu, który — podobnie nasycony potrzebą wyrażania emocji — był też w czasie najbliższy młodości artysty. Mniemanie jednak takie mogło powstać w wyniku bardzo powierzchownej obserwacji. Zbieżności to pozorne, pokrewieństwa są tu bowiem tylko przypadkowe, raczej zewnętrznej natury. Postawa wobec świata, decydująca przecież ostatecznie o zawartości treściowej i emocjonalnej, a także rzutu, na zewnętrzny kształt dzieła, różniła Kulisiiewicza niewątpliwie od ekspresjonistów. Podejmując nieraz, jak to czynili również ekspresjoniści, zasadnicze tematy ludzkiego losu i niełatwych jego kolei, nie poddaje się Kulisiiewicz nigdy pesymizmowi, nie stawia pod znakiem zapytania wartości i sensu życia.

Jego sztuka, odwrotnie, zawsze życie afirmuje, jest hymnem na cześć wiecznotrwałych wartości.”

W roku 1931 ukazała się teka „Szlembark”, z której pochodzą reproduktowane obok drzeworyty. Nieznana dotychczas gorczańska wieś zapisała się w historii sztuki polskiej. Sławę artysty — i sławę Szlembarku — utrwaliły następne cykle drzeworytów: „Bacówka” (1932) oraz „Wieża w Gorcach” (1936). Ta ostatnia teka uzupełniona została fragmentami listów za przyjaźniowej z Kulisiiewiczem sąsiadki, Agnieszki Łojasowej.

„U nas nic nie ma nowego ino jest już jesień zimna, brzydka, drzewa już szare, liście na nich złote, piękne i furgają w powietrze i spadają na ziemię i kolo waszych okien ino liście szeszeszczą i pełno ich w ogródku macie ale jest jeszcze i kwiatów niemało.

Grule dopiero my teraz dokopali i to mniej my nakopali jak przeszłego roku i tak się zdaje że nam śnieg grule przykipi — bo mało ino deszcz kapie i kapie, a wiatr zimny ducha i trudno bendzie co z lasu uwodzić i tnka to wej na świecie robota.”

Po wojnie Tadeusz Kulisiiewicz zarzucał drzeworytnictwo, poświęcając się przede wszystkim rysunkowi tuszem. Rysował Warszawę, Wenecję, Indie, Brazylię, ilustrował tomiki poezji. Bardzo wiele wystawiał, zdobył sławę światową. Ale Gorcom pozostał wierny, wciąż tutaj powracał, tutaj czerpał siłę do wciąż nowych i nowych poszukiwań twórczych. Cykl „Szlembark” powstał w 1948 roku, po nim „Rysunki szlembarskie” w roku 1954.

Wreszcie zachodzi ważny fakt w biografii artystycznej Kulisiiewicza: dwumiesięczny pobyt w Meksyku. Sztukę tego kraju, szczególnie zabytki prekolumbijskie, przeżywa artysta,

rzecz jakże ciekawa, przez pryzmat swej zażyłości ze Szlembarkiem. Bo kiedy w roku 1961 i 1962 zaczął kolejny raz rysować wieś, okazało się nagle, że motywy szlembarskie na przykład strachy na wróble, zobaczył jakby „po meksykańsku”. Jakąż daleką przeszedł drogę od swych pierwszych drzeworytów z lat trzydziestych...



Ale i wieś na stokach Kotelnicy zmieniła się, jak nigdy w swoich dziejach. Nie jest to już przecież Szlembark z lat dwudziestych i trzydziestych. Tamten świat pozostał tylko w mistrzowskich drzeworytach Tadeusza Kulisiiewicza i w pamięci ludzi starych.



reprodukcje fotograficzne:

RYSZARD BUKOWSKI

ZAMEK nad DUNAJCEM

Wejdźmy na niedzickie wzgórce, rozglądnijmy się po okolicy i posłuchajmy, o czym mówią do nas stare mury.

Jak na porządny zamek przystało, ma Niedzica swoje legendy i swoją Białą Damę, której nadejście zapowiadają goście o zmroku dzisiejsi władarze wielowiekowej warowni. Prawda historyczna przemieszana z ludowymi fantazjami, fakty i zmyślenia, zdarzenia prawdziwe i domniemane — splątały się, zrosły wzajemnie i nie warto ich rozdzielać, bo właśnie razem wzięte przydają splendoru temu miejscu urokliwemu.

W dole Dunajec toczy swe wody wartkie jeszcze nieujęte w beton; nie opodal rysują się na tle gór ruiny czorsztyńskiego zamczyska, odrobine starszego i bardziej przez zab czasu naruszonego.

Magnesem przyciągającym ludzi w te strony są jednak przede wszystkim walory krajobrazu pienińskiego i źródła wód leczniczych w Szczawnicy. Ale zanim w poprzednim stuleciu łódki z pni świerkowych dłubane przewozić zaczęły po Dunajcu turystów, zanim kuracjusze ruszyli do tujejszych wód, a młodzież na zbocza Sokolicy, Trzech Koron, i Czeretzków, trafili tu i poszukiwacze kruszców drogocennych, o których wspomina kronikarz narodowych dziejów, Jan Długosz, i geolog wytrwały Stanisław Staszic, boć wieść gminna niesła, że w pienińskich skalach skrywa się bogata żyła złota. A jeszcze wcześniej... O tym niech opowiedzą: piewca Pienin, Jan Wiktor oraz zwłaszcza Andrzej Markowski, który przed trzynastu laty napisał przystępny szkic o losach niedzickiego zamku.

Wiekach średnich, bywalcom tych okolic przyświecały cele o znaczeniu większym, niż płocne „ekskursyje” i sielskie pikniki, cięższe gatunkowym. Wiodła tedy „Droga Królewska” — „Via Regia”, historyczny trakt z Polski na Węgry i dalej, do ówczesnych centrów życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego Zachodu. Szlak ten był fragmentem wielkiej drogi biegnącej od Bałtyku do Dunaju, a przez doliny Wagu i górnego Popradu, związanej z innym wielkim szlakiem zmierzającym z Zachodu na Wschód, od Renu do Morza Czarnego. Przeciagając tedy karawany kupców greckich i rzymskich, przewalały się tłumnie hordy barbarzyńców, szli pierwsi osadnicy, kroczyły zbrojne orszaki rycerstwa, w poszukiwaniu nowych terenów operacyjnych przemysłowej bandy raubritterów. Skuteczne zabezpieczenie tych dróg było jednym z pierwszoplanowych zadań władców Polski i Węgier. W wyniku ich zabie-

gów powstał potężny, powiązany w logiczną całość system warownych zamków, kontrolujących doliny Dunajca i Popradu. Po stronie polskiej kluczowymi pozycjami były: Zamek pieniński, a przede wszystkim Czorsztyń (pierwsze wzmianki pochodzą z XIII wieku), położony na szczycie góry 95 m ponad poziom doliny Dunajca; przeciwko nim, po stronie węgierskiej, w odległości półtora kilometra, na nieco niższym, bo liczącym 75 m ponad poziom Dunajca skalistym urwisku, ogrodzonym korytem rzeki wzniesiono na początku XIV wieku zamek niedzicki; miał go wspomagać w tym dziele obronny kasztel w niedalekim Fryczmanie. Znaczenie Czorsztyna i Niedzicy było tym większe, że pod ich murami przebiegało odgałęzienie owego wielkiego szlaku, rodzaj objazdu o znaczeniu współczesnej bezkolizyjnej autostrady, który pozwalał uniknąć niewygodnej, a często karkołomnej drogi przez przełom Dunajca, niedostępnej dla ruchu kołowego; dlatego orszaki królewskie i poselskie, kierowały się tą drogą. Oba zamki spełniały nie tylko funkcje obronne, ale i recepcyjne, były rodzajem bezpiecznego i stosunkowo wygodnego zajazdu, średniowiecznego motelu.

Historia zamku w Niedzicy jest związana z dziejami Ziemi Spiskiej. Za czasów Bolesława Chrobrego Spisz należał do Polski, w późniejszych wiekach stopniowo utraciłszy go niemal całkowicie na rzecz Węgier.

Zamek niedzicki powstał według wszelkiego prawdopodobieństwa pomiędzy rokiem 1320 a 1325. Dokument z roku 1325 wymienia Ryka i Jana Berzeviczy jako właścicieli zamku. Jeden z nich jest także jego fundatorem. Pierwotnie zamek nosił nazwę Dunajec (Dunalecz jak wówczas pisało), pochodzącą od rzeki płynącej u jego podnóża. Używano również drugiej nazwy wywodzącej się od wsi Niedzica, starszej od zamku, założonej prawdopodobnie w drugiej połowie XII wieku. Istniejący tu kościół gotycki pochodzi zapewne z 1278 r. Berzeviczy zbudowali tzw. dziś zamek górny. Była to budowla gotycka, wzniesiona na najwyższym cokołe skalnym, obecnie częściowo w ruinie. Obejmowała południowo-wschodnią część mieszkalną, wewnętrzną, niewielki dziedziniec ze studnią głęboką na 90 metrów, łączącą się, jak podają ustne przekazy podziemiennym przejściem z Dunajcem; wykuli ją podobno jeńcy tatarscy. W narożniku północno-zachodnim zbudowano potężną wieżę o charakterze mieszkalno-obszernym. Obok części mieszkalnej i gospodarczej jak składy broni i żywności, użytkowanych w podziemnych partiach zamku, wzniesiono w jego obrębie kaplicę z kryptą; dziś jeszcze można dostrzec szczątki sklepień gotyckich i resztki polichromii. Tuż przy bramie wejściowej z zachowanym obramieniem kamiennym i metalową rolką do podnoszenia mostu zwodzonego, po lewej stronie, znajduje się wejście do kilku niskich, w dobrym stanie zachowanych pomieszczeń, które początkowo służyły jako wartownia zamkowej straży, w późniejszym zaś okresie zostały przekształcone na więzienie, o wyjątkowo ponurej sławie. W jednej z kazamat o potężnych, grubo ciosanych blokach kamiennych, widniejąc otwór studni szczególniej rodu: służyła ona zadawaniu tortur. W jej dno na dość znacznej głębokości wbijano ostre szpilki; przebijaly one zrzuconego z góry skazańca, powodując pierzadko długotrwałe, wielodniowe męczarnie. Archeologowie badając ową studnię, odkryli istotnie dwa metalowe przedmioty kształtem przypominające noże. Jak głosi legenda, w niedzickiej turmie więziony był legendarny Janosik. Prosperowała ona długo i dobrze. Jeszcze w połowie XIII wieku oglądali turyści bogaty asortyment narzędzi tortur. Madziarscy sprawowali bowiem na tym granicznym, pełnym niepokojów terenie, bezkarnie swoje rządy. Ich ofiarami byli nie tylko różniacy, od których roilo się w trudno dostępnej okolicy, kuszącej jednocześnie ludnym szlakiem, ale także miejscowi chłopci. Na Spiszu najdłużej w Polsce, bo oficjalnie do 1931 roku, istniały stosunki pańszczyzniane; chłopcy przypisani do ziemi zwali się „zelazkami” lub „pańszczarzami”; za kilkunastogodzinna codzienną pracę otrzymywali grunt, materiał budowlany, paszę dla bydła oraz drewno na trumne! Stosowano tu powszechnie przymus fizyczny, z chłostą włącznie.

We władaniu rodu Berzeviczych zamek pozostawał tylko 150 lat. Jego ostatni dziedzic zmarł be-



Fot.: PAWEŁ GRAWICZ

ciło na Niedzicę powszechną uwagę, była realizacją ważnej umowy między państwowej, zawartej w jego murach. Król węgierski Zygmunt Luksemburczyk w akcie zastawnym z 1412 roku, zobowiązał się za sumę 37 tysięcy kóp groszy praskich zastawić Władysławowi Jagielle 13 miast spiskich. Ułożono, że delegacja polska wypłaci ustaloną kwotę na zamku w Niedzicy, którego ówczesnym właścicielem był Piotr, ojciec wspomnianego Jana, podskarbi królewski.

Kolejnym właścicielem Niedzicy stał się sławny ród Zapolyów.

Zaczyna się najburzliwszy okres w dziejach zamku; losy jego ulegają osobliwej odmianie. Emeryk Zapolya umacnia go i przysposabia za myślą o walce z Polską; jego wnuczka, niezwykle urodziwa Barbara, wychodzi za mąż za Zygmunta I Starego, staje się królową Polski; jego wnuk Jan, późniejszy władca podzielonych Węgier, szuka ocalenia w ucieczce do Polski, od niej otrzymuje pomoc i moralne wsparcie.

10 listopada 1526 roku stronnictwo narodowe obrało królem Jana Zapolyę, wojewodę siedmiogrodzkiego i żupana spiskiego. W pięć tygodni później, 16 grudnia zwolennicy Habsburgów obwołali panującym Ferdynanda Habsburga. Wojna domowa stała się nieunikniona.

Wczasy walk, które niebawem rozgorzały, zamek niedzicki wpadł w ręce zwolenników Ferdynanda, jednak Piotr Kostka z Orawy odbił go śmiałym, zaskakującym atakiem. Z początkiem 1528 roku Jan Zapolya poniósł srogą klęskę, zdradzony w wirze bitwy przez swoich żołnierzy. Chroni się w Polsce. Wtedy to na widowni pojawia się Hieronim Łaski, postać niezwykle zagadkowa. Jego stryj to Jan Łaski, jedna z najwybitniejszych osobistości XVI wieku. Hieronim Łaski od najwcześniejszych lat pozostawał pod wpływem wielkiej indywidualności stryja, który dał mu staranne wykształcenie, przysposabiając do objęcia najwyższych urzędów w państwie. W dwudziestym siódmym roku życia zyskuje godność senatorską, zostaje wojewodą sieradzkim, a król Zygmunt Stary powierza mu kilka znaczących misji dyplomatycznych i poselstw. Jego niepomahowana ambicja jest jednak niezaspokojona. Nie waha się wyrzeknąć na króla, zarzucając mu „niewdzięczność”. Co go skłoniło do oddania swych usług Janowi Zapolyi, trudno powiedzieć. Faktem jest, że oddał Zapolyi ogromne usługi; wyprawiony z poselstwem do Solimna Wspaniałego, zabezpieczył Węgry od najeźdźcy tureckiego i uczynił je sprzymierzeńcami Turcji. Został za to wspaniale wynagrodzony — Zapolya mianował go hrabią spiskim, podarował zamek i miasto Kežmark oraz Rychnów i Gielencę, a obok licznych dóbr także zamek niedzicki. Faktem jest również, że w kilka lat po owych wypadkach, zdopingowany, jak twierdzi wielu, kolejnymi niepowodzeniami finansowymi, mając nadzieję uzyskania większych korzyści materialnych porzucił Jana Zapolyę i przechodził na stronę Ferdynanda Habsburga, w którego służbie pozostaje do końca życia.

Niedzica niedługo znajdowała się w rękach Łaskiego. Padła niebawem ofiarą jego stylu życia. W 1530 roku zostaje sprzedana Janowi Horvathowi za cztery tysiące guldenów. Nowy właściciel zamku wszedł w jego posiadanie dopiero w kilka lat później. Niespokojne, burzliwe czasy, sprzyjały rozbójowi, grabieżom, gwałtom. Na Spisz zbiegały niespokojne duchy, mnożyły się bandy. Jedną z nich opanowuje zamek niedzicki. Znalazłszy w nim silne oparcie, rozbójnicy rabowali okolice Nowej Wsi Spiskiej, napadali na bogatych kupców i złotników, porywali jeńców z Lewoczy, za których żądali okupu. Na przestrzeni najbliższych trzystu lat zamek przeżywa okres niepokojów spowodowanych burzliwymi temperamentami zarówno jego kolejnych rządców jak i sąsiadów, a także sytuacją tej krainy kręśowej targanej namiętnościami. Dwukrotnie zmienia właścicieli, za każdym razem powracając do rodziny Horvathów. W jego rękach zamek ulega dalszej rozbudowie; przy murze obwodowym, od strony zachodniej buduje się trzykondygnacyjny trakt mieszkalny; powstają pomieszczenia określane dziś mianem zamku średniego.

W następnych stuleciach zamek mocno podupadł, odnowił go dopiero około 1820 roku, wielkim staraniem i nakładem kosztów, jeden z ostatnich miejscich potomków rodu, baron Andrzej Horvath. Była to niezmiernie barwna



Fot.: WŁADYSŁAW WERNER

postać. Wielki pan, oryginalny, z gestem i fantazją niepospolitą, zasłynął z dziwactw i facycji. Towarzyski nad miarę, uwielbiał tego wypić i dobrze zjeść, toteż nie było końca hulankom i swawolom.

Na okres objęcia po raz ostatni zamku niedzickiego przez ród Horvathów, co miało miejsce w końcu XVIII wieku, przypada zdarzenie tajemnicze i fascynujące. W nieznanym okolicznościach przybywają na zamek i zamieszkują przez czas pewien, potomkowie rodziny Berzeviczy, pierwszych właścicieli Niedzicy, nieobecnej tu od z górą trzech stuleci.

Wybiegniemy 150 lat naprzód. Jest dzień 31 lipca 1946 roku. Do zamku w Niedzicy przybywa Andrzej Benesz zamieszkały w Bochni koło Krakowa i w obecności władz wyjmuje kamieniem próg bramy wejściowej od zamku górnego, odnajdując tam na głębokości 30 cm rurę ołowianą długości 18 cm o średnicy 3,5 cm zasklepioną na obu końcach; otwiera ją komisyjnie i wyjmuje pekt ziemieni powiązanych węzłami, zaopatrzony na końcówkach w złote blaszki, jest to tzw. kipu — znaki liczb i jakości, jakich używali Indianie peruwiańscy, wskazuje on miejsce, gdzie ukryty został skarb.

Dokonałmy raz jeszcze podróży w czasie. W połowie XVIII wieku Sebastian Berzeviczy wyjechał z żoną zapewne możliwością zyskania majątku do Ameryki Południowej. Jak potoczyły się jego losy na kontynencie amerykańskim o tym historia milczy. Stwierdzono jedynie, że w niewyjaśnionych okolicznościach poślubił on w Peru Indiankę możnego rodu, z którą miał córkę imieniem Umina. Około 1781 roku wódz indiański Tupac Amaru wznieca powstanie przeciwko hiszpańskim najeźdźcom; w tym czasie Umina wychodzi za mąż za bratanika wodza, noszącego to samo imię. Powstanie trwające pięć lat upada. Tupac Amaru zostaje pojmany i stracony. Jego bratanek staje się jedynym pretendentem do tronu Inków. Tymczasem trwają prześladowania; Tupac Amaru młodszy zabiera część skarbu i wraz z rodziną, żoną, teściem Sebastianem Berzeviczym, a także garstką ocalałych z pogromu wódzów indiańskich uchodzi do Europy, zamieszkuje w latach 1783—1797 we Włoszech. Tam w niewyjaśnionych okolicznościach Tupac Amaru zostaje zastylotowany. Sebastian Berzeviczy w obawie przed dalszymi aktami zemsty, ucieka wraz z córką i wnukiem na Węgry, chroni się w zamku Niedzicy, wynajmując go od rodziny Horvathów. Tajemniczy pościg trwa nadal. Umina ginie od ciosu szablę na zamku w Niedzicy; pochowano ją w krypcie pod kaplicą zamkową.

Sebastian Berzeviczy pragnąc ratować wnuka, pisze do bratanka Wacława Benesza-Berzeviczy, zamieszkałego w Morawskim Krumłowie, wzywa na zamek, prosi by ten adoptował małego Antonia. W ten sposób pragnie zatrzeć za nim ślad, ocalić go. Na zamek niedzicki przybywają również wodzowie Indiancy, którzy tworzą tzw. „Radę Emisariuszy Inków”: w jej obecności dnia 21 czerwca 1797 roku zostaje spisany akt adopcji syna Uminy, jednorocznego Antonia Tupac-Amaru, przez Wacława Benesza-Berzeviczy. Uczestnicy zebrania pośpiesznie opuszczają zamek, Sebastian Berzeviczy wyjeżdża do Krakowa, chroni się w klasztorze Augustianów, gdzie wkrótce umiera. Wacław Benesz-Berzeviczy wraz z Antoniem wraca na Morawy. W 1798 roku w aktach parafialnych Antonio Tupac-Amaru, jedyny potomek królewskiego rodu Inków, wpisany zostaje jako Antoni Wacław, syn Wacława i Anny Benesz. Wychowuje się na Morawach, żeni się z Polką, ma dwie córki i dwóch synów — Ernesta i Wilhelma. Umierając przekazuje dokumenty Ernestowi i odbiera odeń przyrzeczenie, by nigdy nie wracał do spraw przeszłości, przynosi ona bowiem nieszczęście, prowokuje zły los. Tradycja rodzinna powoła gnie. W kilkadziesiąt lat później wnuk Ernesta, Andrzej Benesz, przełamuje znowu milczenie, rozpoczyna poszukiwania. W archiwum Kościoła św. Krzyża w Krakowie odnajduje akt adopcji; w punk-

cie 4 dokumentu Wacław Benesz-Berzeviczy zobowiązuje się ukryć przekazany mu przez radę Emisariuszy Inków testament pod progiem bramy wejściowej do zamku górnego w Niedzicy. Ostatniego dnia lipca 1946 roku Andrzej Benesz pojawił się z odpisem tego dokumentu na zamku w Niedzicy i na jego podstawie podniósł próg bramy prowadzącej do zamku górnego.

Relacja Andrzeja Markowskiego, którą w skrócie przytoczyłam za magazynem „Ty i ja”, kończy się cytatem z przewodnika turystycznego Józefa Nyki: „Dalsze losy znaleziska nie są znane, chociaż inżynier Andrzej Benesz mieszka i pracuje w Gdańsku. Podobno poginęły w Krakowie wszystkie dokumenty odnoszące się do adopcji Antonia i sprawy niezwyklego testamentu”.

Przyznaję, iż zaintrygowała mnie ta historia na tyle, że postanowiłam poszukać w Gdańsku nowych jej elementów. Poprzez znajomych próbowałam dotrzeć do człowieka, który wywołał nie lada sensację przed trzydziestu czterema laty. Jeśli ta próba powiedzie się, nie omieszkałam dopisać ciągu dalszego do tajemniczego wątku wzbogacającego dzieje niedzickiego zamku.



Fot.: PAWEŁ GRAWICZ



FOT. WLADYSŁAW WERNER

Pięćdziesiąt wieków nart

O istnieniu nart w okresie prehistorycznym świadczą rysunki skalne znalezione w Skandynawii i na terenach Związku Radzieckiego. Uczeń oceniają ich wiek na trzy do pięciu tysięcy lat. Na owych prymitywnych rysunkach uchwycono została doskonale charakterystyczna sylwetka narciarza w ruchu.

Narty, które rozpowszechniły się w Skandynawii i Finlandii miały nierówną długość. Lwa trzymetrowa, o 6 cm szerokość była nartą ślizgową, a narta dwumetrowa i szeroka o 2 cm era podbita skórą — nartą odbojową. Nartę takie można było używać na początku XIX wieku, a przez bieżący wiek.



la dwa stulecia należały do podstawowego wyposażenia armii szwedzkiej i norweskiej. We wszystkich wspomnianych typach nart używany był jeden kij narciarski, brządcy jednocześnie... bronią kolną, a czasem także i łopatą. Suworow w 1799 roku zastosował narty jako płozę do transportowania dział w czasie przejścia przez Alpy. Podczas srożej zimy 1812 roku, duża część partyzantów rosyjskich walczących z Napoleonem postugiwała się nartami.

Przełomem w rozwoju narciarstwa było ukazanie się w roku 1891 książki Fritjofa Nansena o wyprawie w głąb Grenlandii, o której powrodozeniu zdecydowały narty. Już następnego — 1892 roku — rozegrano w Semmering pierwsze oficjalne zawody narciarskie.

Dość wcześniej jednak organizowano takie zawody w Skandynawii. Biegi drużyn wojskowych odbywały się tam już w 1767 roku. Zwycięzcami slalomów, organizowanych na zboczach, na których trasy wytyczano gałkami, byli ci, którzy przejeżdżali ją... najładniej. Czasów nie mierzono.

Myśl zorganizowania Zimowych Igrzysk Olimpijskich należy do de Coubertina. Jego inicjatywa napotkała jednak na zdecydowany opór państw skandynawskich, a w pierwszym Holmenkollen stanowiło centrum klasycznych sportów zimowych. Projekt organizowania gdzie indziej wielkich zawodów narciarskich poczynili sobie Norwedzy wręcz za złewagę.

ANEKDOTY

Słynnemu filozofowi greckiemu — Sokratesowi — złośliwi młodzieńcy zadali kiedyś pytanie, dlaczego jest tły jak kolano, a nie kryje głowy choćby pod kapturem. Sokrates odpowiedział równie złośliwie:

— Kto wie, że dach jego domu jest zmurszały albo dziurawy, ten musi go czymś pokryć. Dach mojej głowy jeszcze tego nie wymaga. Kiedyś natura miała wrażliwość co do mojego dachu i kryła mi głowę strzechą gustu i wosków. Może również waszych głów też ma wątpliwości?

Egon Erwin Kisch pracując w redakcji przyjął kiedyś telefon i zawołał do siedzącego obok kolegi:

— Jakaś kobieta do ciebie! Ktoś przetrząsnął się i ścisł... — Nie chęć z nią mieć? Powiedzi, że... — Ale domu n'ho gdzie indziej pracuję, albo wyjechać na urlop.

— On powiada — rzekł Kisch do słuchającego — że poszedł do domu albo gdzie indziej pracuję, albo wyjechać na urlop. Do wzięcia nart!

Pełnił jak się przebiegał jak się przebiegał...

wysokiej osobistości i został za to skazany na czternaście dni aresztu. Gdy odsiedział już karę, jeden ze znajomych zapytał go o wrażenia z więzienia.

— Kiedy się trochę rozejrzałem po różnych celach — odparł Twinn — to spostrzegłem, że i tam bywają złoczyńcy. Tylko oni mniej chodzą, niż ci, którzy przebywają na wolności.

Księżna Izabela Czartoryska jako młodzianka mężatka pojechała w podróż poślubną do Paryża. W towarzystwie francuskim dziwno się, że taka elegancka dama pochodzi z kraju, w którym — jak wieść głosi — ludzie mieszkają w jamach wydłużonych w śniegu, a niedźwiedzie pożerają dzieci.

Uobdło to koczne i czekała tylko na osobność rewanzu. Raz gdy się do kart, pewna dama — nuciła — zwróciła się do niej, radząc: — Tyłko niech pani unika gry z matką, bo... — A co to jest?

— A co to jest? — A wie pani, że w tym kraju, w którym... — A co to jest? — A wie pani, że w tym kraju, w którym... — A co to jest? — A wie pani, że w tym kraju, w którym...

Myśli nieuczesane

Burząc pomniki, oszczędzając cokoły. Zawsze mogą się przydać.

Snł mi się koszmar: przerosł biurokracji w państwie, gdzie niedawno ukończono likwidację analfabetyzmu.

Wielu w przełomowych chwilach narodu dluć w nosie. Najczęściej pochodzą oni z rodzin, w których uważa się dlućbanie w nosie za rzecz brzydką.

Fakt będzie zawsze nagi, choćby był ubrany według ostatniej mody.

Chociaż krowie dasz kakao, nie wydołsz czekolady.

Jak pchły skaczą myśli z człowieka na człowieka. Ale nie wszystkie gryzą.

Nie podecinaj galezi, na której siedzisz, chyba że cię chcą na niej powiesić.

Litera prawa powinna być wiązana do alfabetu.

Kto nabiera wody w usta, niech nią przynajmniej nikogo potem nie opłuka.

Osiki drżą w każdym stroju. Ale psiałość! W każdym się zielenią.

Na początku było Słowo — a na końcu Frazes.

Padł na niego cień podejrzenia. I w tym cieniu się ukrywał.

Myśmy z czerwonych wyspów na poduszki robili sztandary, a inni ze sztandarów robili wyspy na pierzyny.

Najtrudniej o prawdę w czasach, gdy wszystko może być prawdą.

Jesteśmy nadal społeczeństwem stanowym — z przewagą stanu nie-trzeciego.

„Ma płasi mózg” — r... o o pewnym orle.

Zdarza się, że chorąży wieje w inną stronę niż sztandar.

Nie wystarczy mówić do rzeczy, trzeba mówić do ludzi.

STANISŁAW JERZY LEC

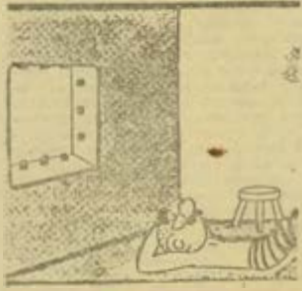
W objęciach Temidy

33-letni Donald Beams — mieszkaniec angielskiego miasta Spalding — skazany został na grzywnę w wysokości pięć funtów „za prowadzenie w stanie nietrzeźwym pojazdu”. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że pojazdem — którym mister Beams „wjechał” zygzakami na jezdnię w tak zwanej „rodzinie szczytu” — był... dziecinny wózek, w którym znajdował się jego półtoraroczny synek.

Pewnego wieczoru, po zakończeniu całodziennych prac, 80-letni chłop sycylijski, Vincenzo Fumiani, siedział przed swoją chatą we wsi Corpore i spokojnie „kurzył fajeczkę. W pewnej chwili pojawiły się przed nim dwie urodziwe, młode dziewczyny, które tańcząc i śpiewając dokonały całkowitego strip-teasu. Sędziwy chłop tak był zafascynowany tą „rozbieganką”, iż nie zauważył, że w tym samym czasie nieznani do tej pory sprawcy doszczętnie okradli jego dom.

Lord Anthony Crichton-Stuart z Yorku mając 18 lat został ukarany grzywną w wysokości 25 funtów szterlingów za kradzież pornograficznej książki, której cena nie przekraczała 1 funta. Przed sądem tłumaczył się, że wszedł się wejść do księgarni dworcowej w Yorku, żeby kupić taką książkę w „normalny” sposób.

Ronaldo Pierattini, 70-letni Włoch z Livorno, ostrym nożem podcinał gardło rywalowi, który uwiłł mu żonę przed... 40 lity.





— Przecież, panie doktorze, kazał mi się pan pokazać za tydzień.
— „braz”

LEKARZE I PACJENCI

Dwaj psychiatrzy z eleganckiej dzielnicy Los Angeles rozmawiają o pacjentach:

— Świetnie mi się wiedzie. Wyobraź sobie, mam w swojej praktyce sensacyjny wypadek. Pacjent ma rozdwojenie jaźni.

— Przecież to nic sensacyjnego.
— Owszem. Obie jego osobowości płacą mi osobno.

— Panie doktorze, mąż jest bardzo nerwowy. Chciałabym wywieźć go na odpoczynek. Zaleca pan góry czy morze?

— Mężowi — góry, pani morze, albo odwrotnie.

Mieszkanka Szkocji od pewnego czasu źle się czuła i spotkawszy na ulicy lekarza, postanowiła zasięgnąć domowej porady

— Panie doktorze, źle ze mną. Straciłam apetyt, mam zawroty głowy. Czy może mi pan coś na to przepisać?

— Oczywiście. Ale najpierw niech się tu pani rozbierze, abym mógł panią zbadać.

Młoda kobieta po operacji wyrostka robaczkowego zwraca się do lekarza:

— Doktorze, czy blizna po tej operacji będzie widoczna?

— To zależy tylko od pani.

Wieczorem przed operacją anestezjolog odwiedził w szpitalu pacjenta, który miał być poddany zabiegowi. Widząc lekarza pacjent rzekł:

— A to pan doktor ma mnie jutro uśpić?

— Niezupełnie. Mam też dopilnować, aby się pan jutro obudził.

WIERNOŚĆ JEŻA

W radzieckim mieście Donieck miało miejsce niecodienne wydarzenie, którego początek sięga połowy stycznia ubiegłego roku. Pewnego mroźnego dnia Anna Lwowna Dorpatowa, starsza już mieszkanka Doniecka, znalazła w parku miejskim na wpół zamrożonego jeża, który miał na dodatek złamaną jedną łapkę. Anna Dorpatowa troskliwie zaopiekowała się nieszczęśliwym zwierzęciem, zaniosiła je do weterynarza, a następnie udzieliła mu gościny w swoim mieszkaniu. W czerwcu sprezentowała jeża, któ-

ry w międzyczasie całkowicie doszedł do zdrowia i czuł się doskonale, swojej wnuczce, mieszkającej wraz z rodzicami na wsi, leżącej w odległości 75 kilometrów od miasta. Tam jednak jeż czuł się fatalnie, nie miał apetytu, stronił od nowych właścicieli. W związku z tym został wypuszczony do pobliskiego lasu. Jakież było zdziwienie Anny, kiedy po przeszło dwóch miesiącach jeż wkroczył triumfalnie, wesoło przytupując łapkami, do jej mieszkania w Doniecku.

Siądźme: nie kradnij!

Z najstarszych przekazów historycznych i późniejszych annałów kryminologicznych wiemy, że siódme przykazanie nigdy nie było przestrzegane. Złodziejstwo jako profesja, kucitło pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, we wszystkich epokach i pod skrzydłami najrozmaitszych wierzeń. Siegnijmy do mitologii greckiej i przypomnijmy Prometeusza, który nie wahał się wykraść ognia samemu Zeusowi; przypomnijmy Hermesa, okradającego stada Apollina.

Na liście złodziei znaleźć można wielu znakomitych ludzi. Św. Augustyn, rozdzielając szaty, całą niemal Księgę II swych „Wyznań” poświęca opowiadaniu o tym, jak w latach chłopięcych okradł sad sąsiada z gruszek. J. J. Rousseau ujawnia, że po śmierci pani Warena przywłaszczył sobie cenny przedmiot z jej domu. Czuł z tego powodu skrępowany dużo większe, niż z umieszczenia w przytułku dla ubogich pięciorga swoich dzieci wkrótce po ich urodzeniu. Sławny Petrarka specjalizował się w grabieżach książek z bibliotek. Niejednemu klasztor oplakiwał wizytę tego poety, który własny księgozbiór kompletował głównie nie tyle „prawem” co „lewem”...

Posądzenia o kradzież nie uniknął nawet wielki Goethe. Gdy znajdował się u szczytu sławy, przyszedł do niego profesor mineralogii z Heidelbergu, nazwiskiem Doberreiner z pośbą o przechowanie szkatułki z cennymi minerałami. Gdy poprosił później o zwrot, okazało się, że zniknęło z niej kilka cennych samorodków złota...

Znany niemiecki pisarz, Karol May, pierwszy wyrok za kradzież otrzymał będąc nauczycielem w Alt-Chemnitz. Później za podobne uczynki przesiedział sporo lat w rozmaitych więzieniach. Apollinaire zamieszany był w kradzież feničkih statuetek z Luwru; oskarżono go też o współuczestnictwo w kra-

dzieży „Giocondy” Leonarda da Vinci...

Amatorów cudzej własności nie brak było i wśród dawnych Polaków. Choraży litewski, Mikołaj Sapieha, z jednego z rzymskich kościołów wykradł obraz Matki Boskiej do Guadelupa i przemyślił do Polski — za co wyklęty został przez samego papieża Urbana VIII. Z żyjących w bliższych nam czasach o kradzież oskarżony został pisarz młodopolski, Stanisław Brzozowski, który zdefraudował część kwoty powierzonej mu przez członków „Bratniej Pomocy”.

Z kobiet złodziejek, które dały się poznać jako cenione autorki, warto przypomnieć Albertynę Sarrazin. Wydała ona trzy autobiograficzne powieści z życia młodocianych przestępców. Jedną z książek „Skok”, ukazała się w 1967 roku w Polsce. Sukces literacki, jaki odniosły te książki ułatwił autorce powrót do normalnego życia.

Do historii przeszła hrabina de la Motte, bohaterka jednej z najsłynniejszych kradzieży brylantowego naszyjnika. Rozpoczęła ona swą „karierę” jako żebraczka. Po drugiej stronie oceanu niechlubną sławę zdobyła dobrze znana policji meksykańskiej A. M. Cervantes, którą po raz ostatni schwytano na gorącym uczynku w... 83 roku życia. Postawiona przed sądem usprawiedliwiała się koniecznością utrzymywania matki i brata. Braciszek miał wówczas 93 lata a mamusia 113...

Niektórym przylapanym złodziejom nie brak tupetu nawet w wypadkach bezspornych dowodów. Znany amerykański psycholog, L. Zeitlin, opisuje następującą humorystyczną scenę („Psychology Today”). Postawiony przed sądem złodziej, gdy przedstawiono dwóch świadków potwierdzających jego winę, odpowiedział: To prawda, panie sędzio, ale trzy miliardy nie widział, żebym kradł. Czy pan sądzi, da wiare dwojgu ludziom przeciw trzem miliardom?



„Grazia”

HOROSKOP

Jaka jesteś ?
co Cię czeka !



WODNIK —
21.I—18.II

Wielkie indywidualistki, kapryśne i niezdyscyplinowane, przy tym niezwykle urocze. Pod działaniem ich uroku nie wiadomo kiedy robicie, czego one chcą, myślicie tak, jak one sobie życzą.

Wśród pracujących zawodowo kobiet spod znaku Wodnika jest wiele nowatorek, inicjatorek, bowiem aktywność zawodowa i chęć szukania coraz to czegoś nowego — to ich cecha charakterystyczna.

Kamieniami szczęścia dla kobiet spod znaku Wodnika są granaty i cyrkonie. Granat je rozwesela, daje im szczęście, podnosi samopoczucie. Cyrkon — podobnie jak inteligencję, wzmacnia pamięć, dodaje myślowo lotności. Kwiatami kobiet spod znaku Wodnika są maki i gerbery; są przy nich spokojniejsze i łagodniejsze.

W nadchodzącym roku przed Tobą wiele ciekawych szans. Na początku roku liczne spotkania w gronie rodzinnym, rozwijają sytuację finansową. Później nowe sprawy, chyba zawodowe. Możesz się w nich sprawdzić, wykazując dużo własnej inicjatywy. Znaki dobre: SKORPION i LEW.



RYBY —
19.II—30.III

Mają całą gamę zalet: kochają dom, lubią go prowadzić i robią to dobrze. Chcą mieć dużo dzieci i znakomicie je wychowują. O męża dbają, zapominając często o sobie. Przy ich boku można znakomicie wypocząć i pracować.

Szczęście przynoszą im perły i ametysty. Perły dodają urody, chronią przed cierpieniami i bólem, a ametysty sprowadzają spokój. Ulubione kwiaty kobiet spod znaku Ryb to mietliczki i stokrotki. Zapewniają szczęście, wnoszą spokój do domu.

● Po pracowitym minionym roku, przyszły będzie nieco spokojniejszy. Znajdziesz więcej czasu dla rodziny i przyjaciół. Pod koniec lutego nowa znajomość. Bądź ostrożna, by rodzina nie ucierpiała. Sytuacja w domu będzie nieco napięta, lecz wszystko zakończy się dla Ciebie pomyślnie. Znaki, na których sympatię możesz liczyć, to: RAK i PANNA.



BARAN —
21.III—18.IV

Dominują w domu, w towarzystwie, w rodzinie. Męża trzymają pod panoflem. W sprawach życiowych są dzielne, nie poddają się kłopotom i nie absorbują swymi kłopotami najbliższego otoczenia. Nie mają skłonności do intryg i plotek.

Szczęśliwymi kamieniami są brylant i granat. Brylant przynosi powodzenie. Nie każdego jednak stać na tak drogi amulet. Łatwiej o granat — kamień nie tak cenny, a również przynoszący szczęście: rozwija miłość, przyjaźń, zapewnia dobry humor i samopoczucie. Kobiety spod znaku Barana powinny hodować lub dostawać róże i azalie, zapewniające im dobry nastrój.

● Już od pierwszych dni nowego roku nie będzie Ci zżywało na nowych

zajęciach. Uważaj, byś przy tym nie zaniedbała rodziny i najbliższych. Znaki przychylne: WAGA i BLIŹNIĘTA.



BYK —
19.IV—20.V

Są partnerkami wyjątkowymi dla mężczyzny. Traktują życie poważnie, planują je rozsądnie, są idealnymi matkami i żonami. W bezpośrednim stosunku do otoczenia, cieszą się szacunkiem i poważaniem bliskich.

Są stanowcze, opanowane i solidne. Kobiętom spod znaku Byka zalecam noszenie biżuterii z szafirem i turkusem. Szafir broni kobiety przed uczuciami zawiści, turkus chroni przed ubóstwem przyciąga uczucia osób, na których kobietom spod tego znaku zależy. Kochają kwiaty i lubią się kwiatami otaczać. Szczęście im przynoszą piwonie i goździki.

● Czekają Cię nowe osiągnięcia zawodowe i społeczne. Będziesz bardzo zajęta, jednocześnie uważaj na sprawy rodzinne — będziesz mieć drobne kłopoty. Nie zrażaj się. Bądź uśmiechnięta i zawsze w dobrym nastroju — to zjedna dla Ciebie odsuniętych przyjaciół. Pod koniec lutego możesz się spodziewać poprawy sytuacji finansowej. Znaki życzliwe to: LEW i KOZIOROŻEC.



BLIŹNIĘTA —
21.V—30.VI

Są romantyczkami, kobietami bardzo wrażliwymi, przywiązują się mocno. Wierne, nikogo nie zostawia w nie-szczęściu, w kłopotach pomagają. Wśród talizmanów szczęścia kobiet urodzonych pod znakiem Bliźniąt są: agaty i chryzoprazy. Agat uspokaja złe nastroje, nie dopuszcza do zdemotywowania, hamuje zniecierpliwienie. Chryzopraz przynosi powodzenie w sprawach zawodowych, chroni przed kradzieżą i zębami. Otaczać powinny się bismem i narcyzami. Kwiaty te nastroją je kojąco, usposabiają spokojnie i łagodnie.

● Przed Tobą „ważny” rok dla całej Twojej przyszłości. Awans w pracy; okaż więcej dyplomacji w stosunku do przełożonych. Dla podwładnych sobie miej więcej serca i wyrozumiałości. Sytuacja finansowa poprawi się, ale przyjdą nowe nagłe wydatki. Nie się stanie bez Twojego udziału, więc każdy krok niech będzie wcześniej przemyślany. Znaki ważne to: BARAN i STRZELEC.



RAK —
21.VI—22.VII

Kobiety — Raki często ulegają nastrojom. Gdy mają zmartwienie, nawet nieduże, rozpaczają „spadając na dno rozpaczy”. Gdy nie ważnego się nie dzieje, są pogodne, miłe i spokojne. Lubią ładnie wyglądać i ładnie mieszkać. Chętnie podróżują.

Kamieniami przynoszącymi Racom szczęście, są szmaragdy i chryzoberyl. Szmaragd gwarantuje im wierność uczuć człowieka, którego kochają, zapewnia zdrowie. Chryzoberyl łagodzi nastroje i humory, uodparnia przeciw chorobom. Kwiaty, którymi powinny się otaczać kobiety spod tego znaku, są tulipany i cyklameny — uspokajają je i nastroją optymistycznie.

● Nowy Rok przyniesie nowe znajomości. Tek zapowiada się początek stycznia. Jeśli planujesz nowe inwestycje, możesz liczyć na powodzenie. W

połowie kwietnia poznasz kogoś, kto bardzo Cię zainteresuje i będzie to sympatia z wzajemnością... Znaki dobre to: SKORPION i RYBY.



LEW —
23.VII—22.VIII

Gdy ktoś poślubi kobietę spod znaku Lwa, będzie szczęśliwy, choć stale zazdrośny. Prowadzą dom dobrze. Umieją gotować i lubią wszelkie niespodzianki kulinarne, wprowadzają wiele ciekawych pomysłów w prowadzeniu swojego domu. Dbają o męża, okazują mu wiele serdeczności i miłości.

Kamienie szczęścia to bursztyn i topaz. Bursztyn chroni zdrowie, topaz podsuwa dobrą radę. Kwiaty przynoszące szczęście kobietom spod tego znaku — to nagietki, niezapominajki i konwalie. A więc te drobne i niepozorne, jednak one wprawiają je w zadowolenie i dobry nastrój.

● Niezrealizowane plany roku ubiegłego zrealizują się w przyszłym po Twojej myśli. Do każdego nowego działania przystępuj po przemyśleniach, z pewną dozą dyplomacji. Wówczas będziesz miała pewność powodzenia, a na tym przecież najbardziej Ci zależy. Szansa do odświeżenia starych, niekiedy prawie zapomnianych znajomości; okażą się one ważne w Twoich planach roku przyszłego. Przy planowaniu dłuższej podróży uważaj na zdrowie. Znaki sympatyczne to: WODNIK i BYK.



PANNA —
23.VIII—22.IX

Na pierwszy rzut oka robią wrażenie niezdyscyplinowanych, wymagających prowadzenia za rękę przez całe życie. „Panny” mają wiele zalet. Długo szukają mężczyzny swojego życia, by po dokładnym namyśle związać się z tylko jedną osobą i dzielić z nią dobro i zło przez całe życie. Idealne dla mężczyzny, niechcą być pracownice, solidne, serdeczne, uczuciowe; nie można ich omamić powierzchownymi wrażeniami. W pracy są szanowane za pilność i inteligencję, za ciagle pogłębianie swej wiedzy zawodowej. Kochają dzieci i potrafią je wychować na porządnym ludzi.

Kamieniami szczęścia są nefryt i krwawnik. Nefryt podnosi ich siły vitalne i wprawia w dobry nastrój, krwawnik dodaje odwagi. Wszystkie gatunki fiołków są ich ulubionymi kwiatami.

● W nadchodzącym roku zdarzy się coś ciekawego, i to w sprawach zawodowych. Może awans, premia lub wyróżnienie, w każdym razie zmiana na lepsze. Sprawy zawodowe zbiegną się z rodzinnymi. Ale i tu efekty okażą się dobre. Znaki życzliwe: RYBY i KOZIOROŻEC.



WAGA —
23.IX—22.X

Są niezwykle kobiece, energiczne i zaradne. W ważnych decyzjach często podejmują decyzje „medyczne”. Są pogodne i uśmiechnięte. Obdarzone mądrością życiową, postępują konsekwentnie, uparcie dążąc do celu. Wybierając właściwą drogę, znajdują najlepsze wyjście. Jeśli pokochają mężczyznę, który nie jest silną indywidualnością, szybko obejmą rządzą w domu.

Kamieniami szczęścia są opal i lapis lazuli. Opal pogłębia uczucie wierności i nadziei, lapis obdarza wpływem na

uczucia wierności, miłości i przyjaźni. Kwiaty, którymi powinny się otaczać, to groszek pachnący i astry.

● Sprawy roku nadchodzącego będą wszystkie pilne, do załatwiania natychmiast. Trzeba będzie już od pierwszych dni stycznia wszystko dobrze zaplanować i zorganizować. Dasz sobie radę nawet z tym urwaniem głowy — pociechą niech będzie wiadomość, że w tym nawale spraw będzie Ci zawsze dopisywał dobry humor. Znaki dobre: BARAN i STRZELEC.



SKORPION —
23.X—22.XI

Ewa z raju chyba była spod znaku Skorpiona, pełna czaru i uwodzieńskości, z dużą dozą kokieterii. Kobieta-Skorpion ma przenikliwe spojrzenie, czyta w myślach. Potrafi sobie w życiu radzić bardzo dzielnie. Chce się podobać i być otaczana troską i serdecznością. Prowadzi dom pieczołowicie, dzieciom poświęca wiele czasu. Towarzyska i przyjacielska, choć przyjaciół wybiera długo, niekiedy przez kilka lat. Mężczyźni jest wierna i solidarna z nim.

Koral i akwamaryna przynoszą jej szczęście. Koral chroni przed niebezpieczeństwem, akwamaryna pomaga zrozumieć innych ludzi. Kwiaty szczęścia to bratki i dalie.

● W nadchodzącym roku spełniona będzie długo oczekiwana podróż. Sprawy zawodowe, które toczą się wokół Ciebie, zakończą się pomyślnie. Znaki dobre: STRZELEC i BARAN.



STRZELEC —
23.XI—21.XII

Jest szczera, nigdy nie okłamuje. Możliwa na nią liczyć z dobrym i złym. Jako szef jest szorstka i sprawiedliwa, jako koleżanka — niepozbawiona i obiektywna.

Kamieniami szczęścia są ametyst i topaz. Ametyst sprowadza przychylność, topaz usmierza gniew i ból. Szczęśliwymi kwiatami są róże i hiacynty. Podnoszą urodę, wzmagają wiarę w siebie, wprawiają w dobry nastrój.

● Nadchodzący rok nie ułoży się gładko ani zwyczajnie. Czekają Cię rozmowy; jeśli zdobędziesz się na obiektywne spojrzenie — racja będzie po Twojej stronie. Zając nadal będziesz miała dużo, problemów mniej. Później trochę spokojniej — co nie znaczy, że monotonię. Znaki dobre to: WODNIK i RAK.



KOZIOROŻEC —
22.XII—20.I

Szuka partnera, który potrafi jej zapewnić wysoką pozycję materialną, i nie wyjdzie za mąż bez takiego mężczyzny nie znajdzie. Potrafi też żyć sama. Będzie wtedy równie szanowana przez otoczenie. Gdy stworzy sobie dom będzie prawdziwą żoną. Kamieniami szczęścia są rubin i malachit. Rubin przynosi szczęście i miłość, malachit obroni przed chorobami. Kwiatami szczęścia są lilie i nasturcje. Wprawiają w dobry nastrój, sprowadzają uśmiech.

● Przebieg całego przyszłego roku zależeć będzie od Twojej postawy i energii. Czekają Cię bowiem spore sprawy do załatwienia. W sprawach sercowych odwilż — szansa na spotkanie kogoś, kto może stać się Twoim serdecznym przyjacielem. Powodzenia! Znaki sympatyczne to: BYK i PANNA.

W okienku pocztowym umiowałem nadać następującą depeszę:

W kasie około miliona. Strażnicy rozpracowani. Brni do odebrania w umówionym miejscu. Napad w poniedziałek, Rudy.

Panienska w okienku grzecznie, ale kategorycznie odmówiła przyjęcia telegramu. Na moje protesty pokazała przepisy, które mówią wyraźnie, iż telegram może zawierać tylko teksty zgodne z porządkami i dobrymi obyczajami. A że napad na bank raczej się w owych dobrych obyczajach nie mieści, więc...

Telegramy, sposób ich formułowania i rzadzące nimi przepisy na pewno doczekają się kiedyś osobnego opracowania naukowego. Jeśli w Uniwersytecie Jagiellońskim powstaje praca doktorska na temat książki telefonicznej, dlaczego penetracja naukowców mają ominąć świat depesz? Być może — prócz dokumentacyjnej — byłaby z tego jakaś korzyść praktyczna, na przykład: jak przyjmujące telegramy panienki mają ocenić, czy jest on przyzwyczajony, czy nie. Problem ważny, bo nadawcy, zwłaszcza panowie, lubią sobie aluzjynie poświntuszyć, nie bacząc na fakt, że ich telegram przejdzie przez kilka damskich rąk. To znaczy, mogłby przejść, ale zatrzymuje się prawie zawsze już w czujnych rękach w okienku.

Jak wynika z przeprowadzonej przeze mnie wśród dziewcząt z telegrafu ankiety — odmów przyjęcia telegramów jest bardzo dużo. Najwięcej aluzyjnych sprostności trafia się podobno na Śląsku i w Szczecinie. Telegramy paskudy płyną również licznie od Polaków zatrudnionych za granicą. Nawiń myśla, że jeśli tamtejsze poczty przyjmą treść, której nie rozumieją — nieprzystojny telegram dotrze do rąk

polskiego adresata. Fige! Poczta polska wycofa go natychmiast.

Sympatyczne panie telegrafistki muszą być również czujne na inne — prawdziwe lub rzekome — aluzje. Znajomi chcieli przed dwoma laty wysłać do swojego, obchodzącego urodziny przyjaciela telegram: „Gdyby wszyscy byli tak pracowici jak wy — mielibyśmy już trzecią Pol-ke”. Poczta telegramu nie przyjęła, stwierdzając, że jest on nieprzyzwoity. Ha!

Leszek Mazan

O telegramach

Bodajże w połowie marca tegoż roku obudziło mnie pukanie do drzwi. Na schodach stało dwu mocno „zmęczonych” gentelmenów w zabrudzonych „ferszalungach”. — **Szczęśliwego Nowego Roku życzą śmieciarze** — oznajmiał jeden z panów.

— Teraz z tym przychodzie, w marcu?

— A co, nie wolno? Nie chcesz pan być szczęśliwy?

Opisana sytuacja nasuwa wiele analogii z naszą pocztową służbą telegraficzną; też się spóźnia i też proponuje nam okazjonalne telegramy o konwencjonalnej treści: „Dużo szczęścia młodej parze”, czy „Kochanej matce w dniu imienin”. Pewnie, to dla poczty łatwiejsze: tekst nr 6, blankiet ozdobe-

ny — i wio w świat. Ułatwia to również życie owym ubogim duchem obywatelom, którzy nie wykuszają z siebie nic poza „Dużo szczęścia życzę Ziuta”. Warto więc przypomnieć kilka tekstów, popularnych od Karpat do Bałtyku, a stosowanych przy redagowaniu telegramów: „Niech zagospodzą w wasze ściany miłość, szczęście i boćcinny” — „Stu lat szczęścia, bezczki wi-na i stu złotych co godzina” — „Niechaj dźwięczą puchary na cześć mło-

ką Hanke, Józka czy Staszka ręce muleją do roboty.

W każdym urzędzie pocztowym często można spotkać nieszczęśnika — grzącego obsadkę długopisu, mnącego kolejne blankiety telegraficzne. Wiadomo — telegram winien być krótki i treściwy, alści umiejętnie klarownego, skrótoowego formułowania myśli nie jest naszą cechą, nie umiemy stosować skrótów składniowych np. „**przyjeżdżam środa Wacek**”. Już po- bieżna analiza tekstów depesz pozwala stwierdzić, że kochamy się w nadużywaniu zaimek osobowych. Ale nie tylko. Oto przykłady:

„Nie wiem, czy przyjadę, ale chyba nie”.

„Józek jakbyś jechał, to weź, to wiesz, o czym myśmy mówili”.

„Władek Władek ja chcę wiedzieć, czy ty jeszcze myślisz poważnie, bo jak nie myślisz Władek poważnie, to Władek napisz”.

„Panie dyrektorze, części do stara nie udało mi się załatwić. Chyba, że damy tryngla w magazynie, chłopcy chcą na to pójść, tylko muszę mieć zgodę pana dyrektora i ile dostanę nagrody kwartalnej na rekompensatę”.

„Nie pytał jeszcze raz, co robię. Robię to, co mi należy. Nie mam pieniędzy na telegramy więc nie żądam, żebym je wydawała na telegramy”.

Poczta ekspeduje telegramy przy pomocy sieci teleksów, łącząc się bezpośrednio z numerami urzędów pocztowych w całym kraju, a także ze wszystkimi stolicami świata. I pozostaje życzyć nam wszystkim, by owe teleksy wystukiwały tylko dobre wiadomości.

A przy okazji — żeby owe wiadomości były redagowane sensownie i krótko, jak na przykład powyższy tekst.

Do wróżbiarstwa, jasnowidzenia, astrologii, chiromancji — zawsze odnosiłam się sceptycznie. Wszelkie informacje o poczynaniach mających na celu „uchylenie rąbka przyszłości” traktowałam jako zabawne czułości. Dlatego pobłażliwym uśmiechem skwitowałam wiadomość, że moja sąsiadka, pani Krysia, wybiera się do wróżki. Koniec dwudziestego wieku, a ludzie jeszcze wierzą w bzdury — pomyślałam. A pani Krysia. pojechała po raz drugi. Po co jej to? Nie szkoda pieniędzy, czasu? — dziwiłam się.

Gdy jednak usłyszałam, że z usług wróżbiarki korzystają prawie wszystkie pracownice Kolumny Sanitarnej z Nowego Sącza, że często trzeba czekać w kolejce, aby usłyszeć co życie przyniesie, ba, nawet że mężczyźni tam jeżdżą — rozbudziło to moją ciekawość. Pojechałam do Poręby.

Dzień wybrałam nie najtrafniej, bo środek, a podobno karty najlepiej wykładać się w piątek. Dom wróżbiarki: stara, drewniana chałupina, z tych, których coraz mniej na polskich wsiach, schowana za nowy, jeszcze nie wykonany budynek. Wchodzę do sieni, spod nog zrywa mi się kura: odskoczyłam przerażona. Z sieni prowadzi drzwi, po jednej stronie — do kuchni, po drugiej — do chlewu.

Wróżbiarka robi miłe wrażenie, szczupła, wyraźnie zakatarzona, starsza kobieta. Powołuje się na sąsiadkę i wchodzi mi do pokoju. Tapczan, wersalka, telewizor, na ścianach kilka obrazów o treści religijnej z wklejonymi za ramki zdjęciami Jana Pawła II. Siadam za dużym, zajmującym prawie cały środek pokoju stołem. Kobieta przynosi z kuchni bardzo zniszczone karty z dziwnymi rysunkami: specjalne karty kabalistyczne. Kładzie je na stół: — **Proszę przełożyć trzy razy prawą ręką w moją stronę!** — mówi. Robię, co mi nakazuje. Teraz wróżka przygląda się kartom, myśli, a po chwili stwierdza: — **Wyjątkowo ładny układ kart, mało kto ma taki. Wenus wróży panu dużą karierę. Talenty ma pan duże** — (myślę: szkoda, że mój szef tego nie słyszy!) a wróżka ciągnie: **ale jeszcze nie wszyscy je doceniają. Następny rok przyniesie wielkie zmiany w życiu. Inne województwo, inna praca. Będą kłopoty ze zdrowiem; proszę się nie martwić — to tylko dziecko, syn.**

— **A ile dzieci będę miał?** — pytam.

— **Czworo, trzech synów i jedną dziewczynkę. W roku 1987 bliźniaki. Mąż się będzie bardzo cieszył.**

— **Skąd ona wie, że jestem mężatką?** — myślę. — **Przecież nie noszę obrączki...** Chyba wyczytuje w mojej twarzy niedowierzanie, bo mówi: „**proszę wybrać dziewięć kart, a dwie odrzucić**”.

Znów pochyla się nad stołem, wpatruje w karty: — **Pani mąż to wysoki blondyn, on nie jest tutejszy. W przyszłym roku będzie się uczył obcego języka. Dostanie wysokie, rządowe stanowisko, ale je rzuci, by na trzy miesiące wyjechać za granicę. Ale nie ma się co martwić, ta rozłąka bardzo się wam opłaci. Wróci, złoży prywatny interes, pan będzie mu pomagać. Chociaż pani praca będzie inna, naukowa, tam czeka kariera. Proszę jeszcze raz wybrać dziewięć kart, dwie odrzucić. No tak, będziecie państwo bogaci, dwa samochody, własne mieszkanie. Nie rozstaniecie się ze sobą do końca ży-**

lepsze. Coraz mocniej będziecie się kochać i szanować. Czy ma pani zdjęcie męża?

— **Niestety, zostawiłam w domu.**

— **Szkoda, mogłabym jeszcze coś więcej powiedzieć. W każdym razie karty są bardzo pomyślne, wróżę pani same sukcesy — składa karty.**

A więc koniec seansu? Nic już więcej się nie dowiem o sobie, o mężu? No, wiem, że to bajdy, ale...

— **Pytam: — Ile się należy?**

— **Ja nie cyganika, ile taska — słysze. Kładę 50 zł.**

Zanim jednak pojdę się z krzesła, wróżka pyta, gdzie pracuję.

Danula Binek

SYBILLA Z PORĘBY

cia. Acha, pani też pojedzie za granicę, ale tylko żeby wiedzieć. W najbliższym czasie będziecie proszeni na wesele.

Odsłoniła dwie odrzucone wcześniej karty.

— **Jeszcze raz Wenus wróży — że pan małżeństwo z roku na rok będzie**

Chwila wahania: powiedzieć prawdę czy skłamać? Ale szkoda mi stracić szansę wyciągnięcia z niej informacji o niej, o jej pracy. Przyznaję się więc, że jestem dziennikarką, i że właściwie przyjechałam tu nie tyle po wróżbę, ile po to, by się czegoś dowiedzieć o

jej „zawodzie”. O tym co ludzi do niej ciągnie.

Niecierpliwie czekam: odpowie mi, czy wrzuci za drzwi?

Niepotrzebnie się martwię. Wróżbiarka chętnie rozmawia o sobie.

— **Wróżę, jak żyć, czy gotować, trzeba się po prostu nauczyć — mówi. — Oczywiście trzeba mieć pewne zdolności, predyspozycje.**

Pani z Poręby jest weteranka sztuki wróżbiarskiej. Zadebiutowała 60 lat temu, jak twierdzi w „dawnych, dobrych, przedwojennych czasach”. Miała 15 lat, gdy w arkana sztuki odkrywania tajemnic przyszłości wprowadziła ją stara kobieta w Krakowie. Ale dopiero od 16 lat zajmuje się na większą skalę przepowiadaniem ludzkich losów.

Dlaczego wróży?

Lubi ludzi i chce im pomagać. Sceptycznie tym zagubionym we współczesnym świecie, żyjącym w ciągłym niepokoju przed niejasną przyszłością. Chyba każdy człowiek chciałby czasem wiedzieć, co przytrafi mu się jutro, za miesiąc, za rok... A ona mu pomaga, odstawiając przyszłość. Wiele osób do niej przyjeżdża, głównie z Nowego Sącza, Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy. Na ogół mówi ludziom prawdę, ale też i pewne rzeczy przemilcza. Uważa, że człowiek nie musi wszystkiego wiedzieć o swojej przyszłości, zwłaszcza o czekających go zmartwieniach i kłopotach.

Jakie napotyka trudności?

Zdarzają się takie dni, że nie można nic odczytać z kart. Są również interesanci, których uzupełnie nie może „wyczuć”. To znaczy kiedy trudno jej w wyniku bezpośredniego kontaktu z klientem „schwycić” jego myśli i wysnuć z nich wnioski. Zdarzają się jednak tacy, którzy podświadomie potrafia narzucić wróżbiście swoją wolę. I wtedy słyszą właśnie to, czego w skrytości ducha najbardziej pragną się dowiedzieć. Cóż się dziwić, że takie przepowiednie nigdy się nie sprawdzają?

Nie lubi też często wróżyć tym samym ludziom, a wiele osób przychodzi po kilka razy, bo bez kabaty raz na kwartał źle się czują.

Wielki kłopot jest również z kartami do wróżenia: nie można ich nigdzie dostać, a te, które ma, już same rozlażą się w rękach.

— **Nie wiem, na ile ludzom pomogłam swoim wróżeniem, ale wiem, że z pewnością im nie zaszkodziłam — podsumowała swoją wypowiedź.**

Wracając do domu myślałam o tym, jak mało w gruncie rzeczy różni się od starożytnych Greków, wysłuchujących w mrocznych jaskiniach delfickich wróżb. Ilu z nas nadal holduje przesadom i wierzy w cuda? Jak mało wiemy o sobie samych? Cóż się dziwić, że tylu ludzi wysiaduje w poczekalniach wróżek!



— Bogu dzięki, karty mówią, że pan umrze młodo... „Dziękuję”

Jak sobie Sabala radził ze złym duchem

Z pewnością słyszeliście o Janie Krzeptowskim Sabale, na wpół legendarnej postaci Zakopanego. Hej, był ci to góral nad górale! Oblubiony przez wszystkich, świetny muzykant i niezrównany dowcipniś! Ale kobieta, jego żona, nie miała wielkiej pocięchy z niego przy gospodarce, oj nie! Musiała w większości sama starać gazdówkę, bo Jasia rzadko było w domu. Jak ino pokazała się jakaś lepsza pogoda, jak ino Tatry były czyste, brał geśliki albo finteczkę do rekawa, albo jedno i drugie i szedł w góry. Bywało, że go nie było kilka dni i nocy. Polował na niedźwiedzia, kozice, sarny, świstaki i gluszcze. Innym znowu razem oprowadzał po górach pana doktora Tytusa Chałubińskiego, pana Stanisława Witkiewicza, panią Helenę Modrzejewską i wielu słynnych artystów, naukowców i miłośników Tatr, bawiąc ich góralską muzyką i przepięknymi, humorystycznymi bajdami.

A miał co opowiadać Sablik, miał, mościec! Takiemu jak on, przygód brakować nie mogło; jemu bądź kiedy byle co się przytrafiło. Ba, haj!

Jednego razu idzie sobie Sabala hań ponad Kościelišką Dolinę. No i jako tak idzie, nagle zauważył, że coś z dołu spina się w górę naproci. Patrzy się, co to idzie. Ale rozpoznąć nie mógł, bo to niako nie było podobne ani do ciekła, ani do niedźwiedzia. Idzie bliżej, przystanął i patrzy się znowu.

— Iście, to zły duch, nie innego ba diabol — myśli sobie. — Zle!

I choć Sabala nie był bojały, skóra na nim ścierpła. Mimo woli rozglądał się wokół i teraz sobie dopiero przybaczył, że jest przy Czarnym Potoku, gdzie — jak gadał starzy ludzie — strasznie rado straszy i nie przejdiesz tamtey ani o północy, ani w samo południe.

— Nic ino zły duch, bo akurat teraz południe. Kiebyk jesse miał święconą wodę albo kredę to by jesse jakosi było: pokropiłbyk, zakreślił koło i diabol nie miałby przystępu — rozmyślał dalej Sabala. — A tak co? — Wracal się nie bę, bo to nie pasuje na mnie, na honorowego górala — Sabale. Nic ba trza sięść i przeczekać tę złą godzinę.

Skoczył do najbliższego pniaka, wsparł się na nim, wyciągnął geśliki i gra... A wam powiem, że grał! Wyciągnął te starodawne nuty tak pięknie, że człowieka aż tam gdzieś za serce chwytalo. Haj.

No i co się nie robi: spodobało się bardzo diabłu do Sabalowej grania. Zbliżył się do Sabaly i gada mu tak:

— Pięknie grasz. Zapłaciłbym ci dobrze, gdybyś i mnie tak nauczył. — Je, czemuś nie, jak ino palcyska mos na to suce?

Diabol wyciągnął łapaka.

Sabala obziera i krepi głową.

— Takimi krzywymy palcyskami nie nagras nic — powiada. — Trza to naprosić.

Sięgnął Sabala po ciupagę, zaczął do smreka obojniaka, przyważył. Zrobiła się szpara.

— Kładź tam! — mówi diabol. — To ci się wyproscą.

Diabol, nie wiele myślący, włożył palec do szpary. Sabala szarpnął ciupagę. Ścisnęło diabłu palcyska, aż wrzasnął przeraźliwie.

— Cicho mi tu być! Co krzyczysz? — gada mu Sabala.

Ale diabła okrutnie bolało, więc

nie przestawał wrzeszczeć i prosić: — Puść mnie! Puść! Nie chce niczego, ino mnie puść!

— Cicho siedź — spojrzal Sabala groźnie na diabla. — Kieś głupi, to cierp. A jak się mi bes duzo dar, to cię jesse tą ciupagą przejadę po grzbiecie. Haj.

Ścisnął Sabala mocniej geśliki pod pazuchą i poszedł sobie spokojnie na dół, ku chałupie.

Teraz dopiero diabol zrozumiał, jak go Sabala wyzdał, i zaczął rozpaczliwie prosić o uwolnienie, a w końcu krzyczeć i wyrażać się.

— Hej, nie będziesz ty już duzo chodził po tym świecie! — wołał. — Nie będziesz, skoro ty jesteś taka płonina, zwijac. Przyjdę ja wnet po ciebie. Uwidzisz ty!... I popamiętasz ty sobie mnie dobrze, oj popamiętasz!...

Ale Sabala nie zważał na prośby i pogróżki diabła — nie mógł go przecież uwolnić. Przyspieszył tylko kroku, by jak najprędzej oddalić się od złego ducha.

Zrazu Sabala bał się pogróżki diabła. Z diablami, złymi duchami nie ma żartów — rozumował. Ale nie było tego długo. Gdzieby taki człowiek jak Sabala mógł dłuższy czas usiedzieć w chałupie. Była przecież w nim dusza wędrownika i zapalonego myśliwego. Nie uszło tygodnia, a Sabala już poszedł w góry.

Pięknie wtedy było, pogoda pewna i Sabalowa nie chciała go puścić z domu. Siana mieli sporo na koszone i trzeba było go suszyć i wozić. Ale co było robić?.. Pan Witkiewicz, któremu Sabala wraz z panią Modrzejewską trzymał syna do chrztu, przysłał po Jasia i trzeba było pójść. Kumotrowi i takiemu zacnemu człowiekowi nie wypadło przecież odmówić, bo jakżeby to wyglądało!

I od tego czasu Sabala po dawnemu uciekał w góry. Jak się tylko pokazała jakaś lepsza pogoda, już go w domu nie było. Szedł na polowanie albo z panami.

Chodził na Liptów i Orawę, to znowu w stronę Kuźnic i Morskiego Oka, ale Czarny Potok omijał, jak jaką kałużę. Wołał on już ze złymi duchami nie mieć nic wspólnego.

Ale co się znowu raz nie stało?! Szedł ci sobie Sabala dobre znany chodnikiem popod hole i zabił. Był w Kieźmarku na jarmarku i coś sobie wypił na drogę, żeby się mu lżej szło, ale zaś nie tyle, żeby był pijany. Tego nie można powiedzieć. Ponadto szedł przecież dobrze znanym chodnikiem. A tu ci jak raz przyszedł na skrzyżowanie dróg powyżej polany, to co kawalek wszedł do lasu, to już wyszedł na to samo miejsce. I wciąż tak coś ze trzy razy. W końcu zagniewało to Sabale, bo przecież — jak powiedział — dobrze drogę znał i przykłął sobie:

— He, cię diabl! wzięni! I cię wzięni!...

I ani tych słów nie dopowiedział, a diabol był już tu, przy nim, z takim wielkim żelaznym kijem jak Sabalowa noga.

— No, Jasiu, trzeba się pobierać z tego świata — śmieje się do niego drwiąc. — Nie będziesz ty już więcej chodził po tych halach i turniach, ba pójdziesz ze mną do piekła. Mówilem ci niedawno, że niedługo przyjdę po ciebie, to i przyszedłem.



FOT. PAWEŁ GRAWICZ

Sablikowi markotno zrobiło się na sercu, bo mu jeszcze tego świata było żal opuszczać.

— No nic nie rozmyślaj, tylko bierz się ze mną do piekła — przy-naglał go diabol. — Nie będziesz ty już więcej diablów nabierał, ale będziesz im służył. Przyszedł już czas na ciebie, nie ma innej rady...

Widzi Sablik, że diabol nie żartuje, ani że go siła nie przemoże, więc mówi mu tak:

— No trudno. Jak trza to trza. Ino mi jesse telo przebob, co się pójdę pożegnać ze swoją babom i swoimi towarzyszami.

Nie za bardzo widziało się to diabłu, ale Sabala zaraz dotknął go na ambicję.

— To jest przecież moje ostatnie zyczenie — dokończył. — Myślę, żeś nie taki płonina, co byś mi na to nie przyzwolił.

Ugryzło to diabla, bo chociaż i diablem był, to przecież jaką taką ambicję i honor miał, mościec-wy.

— No to ci jeszcze tyle pozwolę — zgodził się — ale pod jednym warunkiem. Widzisz ten kij — potrzasał ogromną żelazną łęgą — to jest zapora od piekła, jak tą zaporę wyżej wyrzucisz niż ja, to cię puszcze. A jak nie, to zaraz musisz ze mną pójść — nie będzie innej rady.

— Jak tak, to niech będzie i tak — zgodził się Sabala. — Ale prańnij pieruse ty, bo podle ważności i dostojności, tobie należy się pieruseństwo. Ba haj.

Diabol uśmiechnął się zadowolony. Złapał zaporę w garść i rzucił nią wysoko, wysoko...

I powiem wam, że trzeba było długo czekać, aż spadła.

Podszedł teraz Sabala do zapory. Ledwie ją zdołał udźwignąć za jeden koniec odrobnie od ziemi — taka była bardzo ciężka. Podniósł głowę do góry i patrzył się w niebo i patrzył...

A diabol nie mógł się doczekać, kiedy wrzeszcząc rzucił tą zaporę, i zaczął się denerwować.

— Czemu nie rzucasz? — ofuknął go w końcu.

— Je, poczekaj jesse końdek — powiedział teraz na Sabala. — Jak ino wypatrzę swojego kumotra w niebie, to zaraz mu hań tę zaporę prasnę. Ba haj.

Diabol spojrzal z niepokojem po Sabale, po czym rzekł:

— He, nie ma takich głupich! No a czymże zamknąłym piekło, kiedyś mi ty wyrzucił zaporę het do nieba. Co?

Skoczył diabol do Sabaly, wyrwał mu zaporę z ręki, rzucił nią o ziemię i powiada mu tak: — Inaczej ja cię wypróbuje, inny musisz ty wygrać zakład. Oo! będziemy gwizdać. Jak ty gwizdniesz głośniej niż ja, to cię ino jacy puszcze do tego domu na chwilę. Ale jak nie?... Dar-mo, musisz zaraz ze mną iść.

— No dobrze — zgodził się Sabala i zaś mówi diabłu: — Ale gwizdaj ty pierwsz, to tobie pasuje podła dostojenistwa.

Diabliśko wraziło pazdurzyska w kufy, nadeło się i jak gwizdnęło, to wam powiem, że tak strasznie targnęło powietrzem, że aż ta cetyna leciała z drzew, a po halach to się z pół godziny niosło echo. I Sabala czysto pięknie ogłuchnął i byby się jeszcze przewrócił od tego straszego podmuchu, tylko że się na czas uchwycił limby.

Poskrobał się Sabala poza uszy, bo mu ta, wiecie, nie wesoło było, oj nie!

— No, teraz bem ja gwizdał — odezwał się po chwili. — Ale cię tyz pięknie dąbie pytom, cobys se do mojej cuchy owinał głowę, bo jak ja gwizdnę, to ci mogą ocyska wypaść het hań do potoka, haj. I głowa może si się rozlecieć do drobne kawolki. Ba haj.

I wiecie, że dało się diabliśko Sabalowi namówić.

Sabala warciutko zrzucił cuchę z ramienia i jeszcze pomógł łeb do niej diabłu okrecić. I jak go już tak pozawijał, że nic nie wiedział, to pocichutku wziął ciupagę, stanął sobie porządnie na nogach i tak z całych sił trzepnął diabła obuchem w głowę.

Diabliśko się, wiecie, jakie długie — na ziemi wyciągnęło i stęka, i jojka...

Skoczył Sabala ku niemu i ściągnął mu cuchę z głowy. Dźwignął się pomalućku diabol na bok i rzekł:

— Oo, ależ mnie gwizdnęło, com się ledwie dźwignął! Wygrał Sablik. Możesz iść do chałupy.

Nagle skurzyło się Sabale przed oczyma i diabla już więcej nie było.

I od tego czasu Sabala do końca życia po turniach, po halach chodził, ale złe duchy już nigdy nie wchodziły mu w drogę. Potem i śmierć omijała go wciąż, toteż żył on długo, bo osiemdziesiąt pięć lat. O, tak moi drodzy.

Taki to był ten Sabala.

Różni bywają królowie i monarchowie panujący. Ale w jednym czasie żył na Węgrzech król, którego lud prosty bardzo sobie polubił. Był bardzo dobry i sprawiedliwy; wszystkich jednak, bogatych czy biednych, lubił i szanował. Często ubierał się on w liche szaty i jako zwykły człowiek szedł pomiędzy prostych ludzi, przyglądał się ich życiu i pracy i rozpytywał o bolączki i potrzeby.

Pewnego dnia, idąc tak od wsi do wsi, przyszedł aż pod Tatry, w okolicy Czerwonego Klasztoru. We wsi wszedł do chałupy, w której mieszkała uboga wdowa. Pięknie ją pozdrowił, tak jak się pozdrawiają dobrzy i życzliwi sobie ludzie. A że wieczór się już zbliżał, poprosił ją o nocleg.

— Oj, mile przemocowałabym was — rzekła — ale rano o czwartej muszę iść do roboty na pańskie... Nie wyspalibyście się...

— Jeśli chodzi o to, to się proszę nie przejmować — przerwał król, którego kobieta wzięła za jakiegoś wędrownego dziada. — Jak zajdzie potrzeba, to i ja pójdę za was...

— A gdzieżbyście ta wy szedł?! — dziwowała się wdowa. — Chyba żartujecie?

— Nic nie żartuję. Pójdę.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

W końcu stanęła między kobietą a przebranym i nierozpoznanym królem umowa taka, że on pójdzie na pańskie, natomiast ona go przeocuje.

Rano król jednak zasnął. Kobieta się obudziła na czas, bo była do tego przyzwyczajona. Ale smacznie śpiącego gościa nie śmiała budzić, ani też odejść bez słowa, zostawiając w domu zupełnie obcego człowieka. Więc w oczekiwaniu na przebudzenie się gościa, nie wyszła na czas do pracy.

Wkrótce przyszli słudzy z klasztoru. Obili kobietę nahałkami i obrzucili obrzydliwymi wyzwiskami. Dom wypełnił się przeraźliwym krzykiem i hałasem.

Król się przebudził.

— Co się tu dzieje? — spytał z zaciekawieniem.

— Kobieta nie zgłosiła się na czas do pracy, więc przysłaliśmy po nią — wyjaśnił jeden ze słuzby klasztornej. — Dostanie dwadzieścia pięt kijów za spóźnienie.

— Oj, panowie, nie róbcie tego — prosił król. — Ta kobieta nie jest niczemu winna. Nie zgłosiła się po prostu dlatego, że ja obiecałem za nią pójść do pracy. To ja jestem winien i ja pójdę za nią w dyby.

Słudzy wiele nie sprzeciwiali się temu, co mówił nierozpoznaný król. Woleli przecież do pracy męczyznę niż kobietę.

I tak król znalazł się na klasztornych polach. Pracował wytrwale cały dzień, choć nogi i ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Dopiero gdy słońce zaszło, złożył narzędzia i zabrał się do odciecznia.

Wtedy ekonom krzyknął głośnie: — U nas się pracuje cały dzień, od śmy do śmy! Już mi wracać do roboty!

Król jednak nie posłuchał. Uważał on, że praca na pańskim w żadnym wypadku nie powinna dłużej trwać niż od wschodu do zachodu słońca i stanowczo odmówił ponownego wzięcia czegośkolwiek do rąk.

Wieczorem przełożony kazał wyliczyć królowi dwadzieścia pięć kijów na tyłek.

Król posłusznie położył się na ławę i chociaż go okrutnie bolało, to jednak nie jęknął ani razu.

Ale kiedy go odwiązano, wyciągnął z torby insygnia królewskie. Wtedy dopiero bracia zakonni zmiarkowali, kogo dali w dyby. I powiem wam, że tak się okrutnie przestraszyli, że jeszcze tego dnia opuścili klasztor. Potem przechodził

szedł za owcami i zaganiał je do gromady. Pomagał mu w tym ogromny pies owczar, zwany Duńcem.

Juhasi — nie wiedząc oczywiście kogo mają przed sobą, bo król, jak zwykle, nigdy nie śpieszył się z przedstawieniem swej osoby — pokłiwali sobie ze starszego pana, który pilnie uganiał się po upłazach za krnąbrnymi owcami.

Kiedy wreszcie nadszedł wieczór, juhasi zagnali owce do koszarów i przedstawili nieznanego człowieka bacy. Ten także przyjął go do gromady, ale pod warunkiem, że będzie pracował jak inni. Zaraz też kazał mu zakasać rękawy i pomóc w przygotowaniu klusek na kolację.

Cóż król miał robić? Nie wypadało mu się wymawiać od pracy tylko dlatego, że jest królem. Więc posłusznie zakasał rękawy i zabrał się do robienia klusek. Jednak ro-

znowu wziął się za liźnię drewnianą. Ale niedługo potem ponownie nieopatrznie sięgnął po skwarki leżące po drugiej stronie nioy...

I to bacia zaraz zauważył.

— No, ino swoje proszę baci — znów trzepnął go w tyłek, a z ym razem wypadła mu z ręki.

Król przyglądał się bacy z uwagą, ale nie rzekł nic, ani też nie okazał niezadowolenia, chociaż był królem i należało mu się jakieś poszanowanie.

Wkrótce po kolacji bacia zaczął sztykować królowi wygodne miejsce do spania w kolibie oook sie!

Wtem nagle odezwały się w lesie głosy trab. Najpierw gdzieś daleko, od strony południowej. Następnie zahuczały od strony wschodniej i zachodniej, tym razem gdzieś blisko, bo brzmiały donośniej niż poprzednie. Widać było wyraźnie, że trębacz zbliżają się i kogoś pilnie poszukują, w przeciwnym bowiem razie nie robbiliby tyle hałasu po nocy. W końcu było też słychać szczekanie chartów i głosy nawołujących się mężczyzn.

Król wyszedł przed kolibę i zadał w rog, który miał pod płaszczem. Zaraz ze wszystkich stron gruchnęło towarzysztwo do koliby.

— Najjaśniejszy panie, królu nasz! — rzucili się słudzy do szat królewskich. — Baliśmy się bardzo, że już Jaśnie Pana nie znajdziemy.

— No już dobrze. Dziękuję wam — mówił król, klepiąc przyjaźnie swoich podwładnych po ramionach.

Wtedy dopiero juhasi zrozumieli, kogo po południu zapędzali do nawracania owiec. Bacia zaś bezwzględnie zdjął kapelusz i przykleknął przed królem.

— Przebaccie, moi piękni! — prosił. — Przebaccie, że wam przy jedzeniu tę tyłkę wytrącił z ręki. Przebaccie, mnie haw głupiemu bacowi...

— Wstań człowiecze! — powiedział król rozkazującym tonem do bacy. — Nie lubię takich rzeczy..., poza tym nie masz mnie za co przepraszać. Karaleś mnie słusznie, bo w imię równości i sprawiedliwości, o czym zawsze i wszędzie powinno się pamiętać... Uderzyłeś mnie po palcach trzy razy, bo trzy razy przejawiałem brzydkie grzechy: lakomstwo, zachłanność. Wybierz sobie największy róg, jaki widzisz u ludzi mojej drużyny i ja ci go trzy razy napelnę dukatami, bo mnie przeświadczyłeś, że człowiek stale musi się uczyć, a nie jest to łatwa rzecz nawet dla samego króla.

Król wręczył bacowi pieniądze, których ten zrazu nie miał odwagi przyjąć. Potem także wydał mu zezwolenie na noszenie swojego imienia i nazwiska Król. A ponieważ bacia miał kilku synów, nazwisko to szybko się rozpowszechniło pod Tatrami. Miejsce zaś, na którym doszło do spotkania króla z bacą, nazwano Spokalową Halą.

Andrzej Jazowski

ULUBIONY KRÓL

on z rąk do rąk wielkich magnatów, aż wreszcie osiedlili się w nim mnisz kameduli.

Innym znów razem to było tak. Król Maciej wybrał się na polowanie w Tatry, gdzie dawniej było sporo zwierzyny. W pewnej chwili zauważył prześlicznego jelenia i poszedł za nim — nie mógł sobie darować takiej pięknej sztuki. Jednak zwierzę chytrze wymykało mu się spod celu i długo szedł za nim, aż w końcu zabił w tatrzańskich lasach, za daleko się oddalił, żeby się mógł porozumieć ze swym orszakiem.

Gdy słońce miało się już ku zachodowi dostrzegł juhasów pasących owce. Bez większego namysłu zbliżył się do nich i zaczął ich prosić o nocleg.

— Hoo, człowieku! U nas nie ma gdzie przemocować — powiedział jeden z juhasów. — My sami śpiemy poza kolibą na cetynie...

— Wszystko rozumiem — powiedział na to król. — Nie wymagam od was żadnych wygód, ale proszę tylko o zwykłą ludzką przysługę, o odrobinę serca.

— No dobra — wreszcie zgodził się któryś. — Ale to nie będzie za darmo; musicie nam pomóc paść owce.

Król bez najmniejszego oporu po-

bota nie szła mu, bo przecież nie do takiej pracy był on przyzwyczajony.

— Nie tu z ciebie — powiedział w końcu bacia. — Pójdiesz do koszara i będziesz naganiał juhasom owce do dojenia... Już mi się bierz, a tu przyjdzie kto inny. Haj.

Niedługo nadeszła chwila wieczery. Król chociaż był głodny, stanął na boku, bo mu honor nie pozwalał pierwszemu pchać się do misy.

— Proszę do nas, do wieczery — powiedział bacia, podając nierozpoznanemu królowi tyłkę.

Król bez słowa zbliżył się do juhasów i zaczął z nimi jeść ze wspólnej misy.

Królowi bardzo zasmakowały skwarki z boczką, więc zaczął je zgarniać z całej misy, nie zważając na to, że należał się innym i że oni również woleliby pyszne skwarki od klusek.

Bacia nie mógł na to długo patrzeć i srogo go skarcił.

— Ty, jedźże przynajmniej, jak Bóg przykazuje — klepnął go w ramię po tyłku. — Bierz ino jacy te skwarki, które się tobie należą... A ponadto to chyba trzeba się najpierw przeżegnać, a potem brać za tyłkę...

No cóż, król się przeżegnał krzyżem świętym, jak nakazał bacia i



FOT. ANTONI KROH

Na święta — wiadomo — każdy stół zastawiony jest bogactwami, a gośpodnie wydobycia chowane przedem skrzętnie po szafkach i komórkach znakomitości, którym uciecha wszystkich z okazji świątecznej. Dobry obyczaj głodzi jest wprowadzania także w inne dziedziny życia — zatem słusznie przejęły go również środki przekazu (zdaje się, że ciągle jeszcze nie mamy pięknego polskiego słowa na one publikatory czy jak je tam kto zwie): prasa, radio, telewizja. Telewizja, przyjęła go może nawet nieco za wcześnie: gdy na wielu obszarach Polski nie była jeszcze dostępna, a szczególnie tam właśnie, gdzie wybierali się na spokojne święta mieszkańcy miast. Teraz w zaskakująco mały ekran możemy popatrzyć prawie wszędzie — i dyskusyjnie jest tylko jedno: dyrygenci naszego programu telewizyjnego mają nie przez wszystkich pochwalany zwyczaj, że tylko raz — właśnie w Sylwestra po północy — przeznaczają do wyświetlania filmy bardzo atrakcyjne; że ich potem nie powtarzają dla uczestników sylwestrowego balu.

No, ale te spostrzeżenia notuje tylko na marginesie, przy okazji zgola inne: przedstawiamy mianowicie Czytelnikom, co też ciekawego można będzie zobaczyć w telewizji podczas tegorocznego okresu świątecznego — od Wigilii do Nowego Roku. Dokładnie — co ciekawego będzie wśród filmów. Właśnie dlatego, że będzie tak wiele ciekawego, że program jest tym razem rekordowo atrakcyjny, pozwoliliśmy sobie na przydługawy wstęp: aby potrzymać trochę w napięciu. Co prawda Hitchcock twierdził, że należy zaczynać od trzęsienia ziemi, a potem napięcie ma stopniowo wzrastać — ale, niestety, ja nie jestem Hitchcockiem...

Zasięgnęliśmy informacji z pierwszej ręki. Może nie aż tak dokładnie z pierwszej, bo Jacek Fiksiewicz — naczelny redaktor Programów Filmowych Telewizji — jak zwykle nie miał czasu, ale przeprowadziłem z jego upoważnieniem miłą rozmowę telefoniczną z panią Elżbietą Fafrowicz, która przekazała mi wszystko, co telewizja już wie o swoim filmowym deserze świątecznym. Słowo „już” dlatego jest ważne, że tak ogromna instytucja

ciągle ma spore trudności z kordynacją programu. To dlatego te zmiany w ostatniej chwili, za które permanentnie przepraszamy. Bo redakcja filmowa planuje co innego, a redakcja konkurencyjna upatrzyła sobie w tym samym czasie show z Bingiem Crosbym (będzie w święta!) po czym okazało się, że właśnie o tej samej godzinie chciałby coś pokazać teatr sensacji. Znamy, znamy te kłopoty.

Filmowy deser telewizji na święta

„Muppet Show w Hollywoodzie” I INNE SPECJALY

Trzeba więc na wstępie zastrzec, że niektóre z podanych „Dunajców” filmów (rozmawialiśmy 6 grudnia) mogą wypaść ze świątecznego programu; chyba jednak Czytelnicy nie będą tego mieli nikomu za złe, bo w każdym razie dowiedzą się, co ich czeka w przyszłości...

A więc: z dziedziny westernów i filmów sensacyjnych zobaczymy prawdopodobnie pięć obrazów: w wieczór noworoczny — 80 000 DOLARÓW, w noc sylwestrową — francuski dramat sensacyjny tylko dla dorosłych GRA O WŁASNĄ SKÓRĘ, w wieczór wigilijny — opowieść z Zachodu, ale trochę tak: że melodramat, pod tytułem DZIEWCZYNA Z SALOONU „SZKARLATNY ANIOŁ” w reżyserii Sidneya Salkoffa z Rockiem Hudsonem w roli głównej, oraz w drugi dzień świąt dwie największe w tej grupie atrakcje: po raz kolejny — ulubioną opowieść o sprawiedliwych i bandytach, przeniesioną do Ameryki z Japonii — SIEDMIU WSPANIAŁYCH Johna Sturgesa ze wspaniałą obsadą aktorską (Charles Bronson, Yul Brynner, Horst Buchholz, Steve McQueen, Robert Vaughn, Eli Wallach — a to jeszcze nie wszystkie nazwiska...) i jedna z najnowszych wersji filmowych HRABIEGO MONTE CRISTO

zreżymowanego przez Chamberlainem i Tony'ego Curtisem. Jeszcze krótkie wspomnienie, dlaczego pisać o SIEDMIU WSPANIAŁYCH: wspomnieliśmy o przeniesieniu z Japonii: otóż jest to amerykańska wersja wspaniałego filmu Akira Kurosawy SIEDMIU SAMURAJÓW, jednego z największych arcydzieł kina. Mien nadziej, że i ono zostanie przez telewizję powtórzone: warto, bo historia na ekranie ukaże się tym

Melodramaty reprezentują: w sylwestrowy wieczór po dzienniku — MĘŻCZYZNA, KTÓRY MI SIĘ PODoba Leloucha z Jeanem-Paulem Belmondo i Annie Girardot, oraz w bożonarodzeniowe popołudnie — lub również wieczorem — DOMIEK NA WSI, film sprzed lat dwudziestu, ale z jaką gwiazdą: Danielle Darrieux!

Nie jest wprawdzie filmem fabularnym to, co teraz chcę polecić — sądzę wszakże, że dla amatorów kina będzie to również okazja do zajęcia miejsca przed telewizorem: oto profesor Aleksander Jackiewicz poprowadził w drugi dzień świąt program montażowy — prezentację historii życia i sukcesów ekranowych Sophie Loren. Gawęda będzie bogato uzupełniona fragmentami filmów, materiałami dokumentalnymi i wypowiedzi kolegów o słynnej aktorce. Na pewno warto obejrzeć.

Wreszcie — rodzinny szczególnie: w FilMOTECE Narodowej 30 grudnia NIEWINNI CZARODZIEJE, głośny dramat Andrzeja Wajdy z Krystyną Stypulkowską i Tadeuszem Lomnickim o młodziużypopadziernikowej, o udawaniu cynizmu i o potrzebie miłości (scenariusz: Jerzy Andrzejewski i Jerzy Skolimowski) w niedzielę 29 grudnia porównywalna do PRZEMIEŃO Z WIATREM, aż stu sześćdziesięciominutowa saga amerykańska W POSZUKANIU DESZCZOWEGO DRZEWIA (tutaj oryginalni: KAINETREE COUNTRY reżyserii Edwarda Dmytryka, z Elizabeth Taylor i Montgomerym Cliftem (dwadzieścia lat temu jędr z największych przebojów kasowych w USA) — no i z całą pewnością sensacja największa: MUPPET SHOW W HOLLYWOODZIE pełnometrażowy kinowy film brytyjski, nakręcony po sukcesach arcypopularnej gromady w programach telewizyjnych i cieszący się aktualnie największym powodzeniem na ekranach całego świata. Jest to opowiastka o przygodach Muppetów podczas ich podróży do Ameryki; treść zresztą nieważna, liczy się tu dowcip, fantazja i świetna technika animacyjna.

A więc — orładajmy! Miłych chwil przed telewizorem życzę

ADAM GARBICZ

Jaka jest Pani(a) ulubiona wigilijna potrawa? — z takim pytaniem zwróciłem się do ośmiu przypadkowo wybranych Sądcezan. Oto odpowiedzi świadczące, iż tradycja świąt i gust kulinarny nie wvvena w narodzie.

ADAM BŁICHOWSKI — (pracownik umysłowy PPUK-P)

— dość tradycyjny zestaw, ale to lubię: najpierw zupa grzybowa, śledź z ziemniakami w mundurkach i racuchy.

MARIA MICHALIK — (pracownik administracyjny Lic. Ogólnokształ.)

— wnie coś oryginalnego: makiełki, czy to Pani odpowiada? Jest

to słodka bułka robiona na miodzie, z makiem i bakaliami, krojona następnie w kosteczki. Pycha, polecam czytelnikom „Dunajca”.

BARBARA JUNIKIEWICZ — (studentka UJ)

— barszcz z uszkami, ryba smażona

— lub w galarecie z sałatką z czerwonej kapusty, łazanki z makiem i z cukrem.

URSZULA MIGACZ — (sekretarz ZW Ligi Kobiet)

— nie ma wigilii bez ryby smażonej lub w galarecie (przecież to nasza narodowa tradycja) i koniecznie groch z kapustą, barszcz czerwony z uszkami grzybowymi.

ZOFIA KOZIELEC — (działaczka społeczna)

— barszcz czerwony, ryba smażona, a na deser strudel. Jest to cieniutkie ciasto przekładane jabłkami i cynamonem, zwijane i pieczone w formie.

MARIA ZARZEKA — (zastępca szefa kuchni rest. „Panorama”)

— żurek biały z ziemniakami lub barszcz czerwony i uszka z przysmakami, pierogi z kapustą lub łazanki

z kapustą, kompot z suszonych śliwek.

NIEZNAJOMY Z ULICY — (placista)

— ja wszystkim lubię, byle dużo, jak każdy typowy Polak

DUET REDAKCYJNY

— na wigilię polecamy kutię, do której najpopularniejszą potrawę na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Przepis? Psenicę moczmy się gotuje, a potem miesza z miodem i makiem, dodając bakalie.

rozmawiała: Halina Wróblewska

REPERTUAR KIN

GORLICE — Wiarus: 22—23 Świąt Dzikiego Zachodu (USA, przygodowy), 24—25 Samotnik (francuski, przygodowy), 26—29 Cudze pieniądze (francuski, psychologiczno-społeczny), od 30 Constans (polski, moralitet), GRZYBÓW — Biała: 23—24 Legenda o miłości (radziecko-turecki, poemat historyczny), 25—26 Drapieżca (francuski, sensacyjno-przygodowy), 27—29 Drogi papi (włoski, społeczno-psychologiczny), 30—31 Porwanie Savoi (międzynarodowy, przygodowy), KRYNICA — Jaworzyna: 23—26 Proces poszlakowcy (japoński, kryminalny), 27—29 Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sierżanta Peppera (USA, musical rockowy), od 30 Kontrakt (polski, k melodramat społeczny), LIMA — WAWA — Sojusz: 23—24 Małżonkowie roku II (francusko-rumuński, historyczna komedia awanturnicza), 25—26 ABBA (szwedzki, rockowy), 27—28 Koziorożce-1 (USA, sensacyjno-przygodowy), 30—31 Tredowata (polski, melodramat).

DOLNA — Luboń: 23—24 Porwanie Savoi (międzynarodowy, przygodowy), 25—28 Hair (USA, musical kontestatorski), 30—31 Drygent (polski, psychologiczno-społeczny), MUSZYNA — Baszta: 23—25 Mężczyzna w łodzie (rumuński, kryminalny), 26—28 Nosteratu-wampir (RFN, horror poetycki), 30—31 Legenda o oazie (radziecko-mongolski, ballada), NOWY SĄCZ — Podhale: 23—27 Kontrakt (polski, komediodramat społeczny), 28—31 Proces poszlakowcy (japoński, kryminalny), NOWY SĄCZ — Kolejary: 23—25 Palac (polski, alegoria społeczna), 25—28 Książę i żebrak (brytyjski, przygodowy), 30—31 Błękitna pletwa (australijski, przygodowy), NOWY SĄCZ — Krokus: 23—25 Wszystko jest miłością (bulgarski, młodzieżowy), 26—28 Rewolwer (włoski, psychologiczno-społeczny), od 30 Przygoda arabska (brytyjski, przygodowy), NOWY TARG — Teatr: do 25 Rocky II (USA, sportowy), 26—29 Przyłypuć uczuć (francuski, przygo-

dowy), 30—31 Wyrok śmierci (polski, dramat okupacyjny), RABKA — Śnieżka: 23—24 Urodziny młodego warszawiaka (polski, pamiętnik okupacyjny), 25—28 Bez skrupułów (francuski, sensacyjny), 30—31 Małżonkowie roku II (francusko-rumuński, historyczna komedia awanturnicza), STARY SĄCZ — Poprad: 23—25 Kochanka buntownika (włosko-bulgarski, dramat historyczny), 26—27 Zasady domina (USA, sensacyjno-polityczny), 28—29 Kowój (USA, przygodowy), od 30 Urodziny młodego warszawiaka (polski, pamiętnik okupacyjny), SZCZAWNICA — KROŚCIENKO — Pieniny: 23—25 Imperium namietności (japoński, psychologiczno-kryminalny), 26—28 Powrót do domu (USA, psychologiczno-społeczny), od 30 Aż rozłączy nas śmierć (NRD, psychologiczny), SZCZAWNICA-KROŚCIENKO — Sokolka: 22—24 Hotel klasy Lux (polski, społeczny), 26—28 Dupont Lajoie (francuski, społeczny), 29—31 Brat kate (NRD, historyczny), ZAKOPANE — Giewont: 23—24 Joe Valachi (USA, gangsterski), 25—29 Powrót Mechagodziłli (japoński, sensacyjno-fantastyczny), od 30 Bez miłości (polski, psychologicz-

no-społeczny). Ponadto: CZARNY DUNAJEC — Podhale: 25—26 Dick i Jane (USA, komedia), JABLONKA — Orawa: 25—26 Pojedynek (brytyjski, historyczny dramat psychologiczny), LUBIEŃ — Strzebel (tak będziemy pisać tę nazwę — wyjaśnienie: 9 numer „Dunajca” strona 16): 26 Kieszonkowe (francuski, opowieść o dzieciach), 31 Szpital Przemienienia (polski, psychologiczno-społeczny), JAWORZINA — Jaworzyna: 27—28 Lot nad kukiełkowym gniazdem (USA, psychologiczno-społeczny dramat kontestatorski), ŁOSOSINA: 25—26 Miody Frankenstein (USA, komedia), PIWNICZNA — Zdrój: 25—28 Eliza, moje życie (hiszpański, psychologiczny); PORONIN — Watra: 26—28 Obcy z pasażer „Nostromo” (brytyjski, horror kosmiczny); RABA WYŻNA — Orkan: 27—28 Zwolnienie warunkowe (USA, kryminalno-społeczny); RYTRO — Przelichy: 27—28 Jesienna sonata (szwedzki, psychologiczny), 30—31 Eliza, moje życie (hiszpański, psychologiczny); TYMBARK — Paproć: 25—26 Koronczarka (szwajcarsko-francuski, o miłości).

SOBOTA

PROGRAM I

- 7.00-8.30 TTR
9.05 „Radar”
9.20 „Człowiek, Ziemia, Kosmos”;
9.50 Koncert symfoniczny WOSPRIT pod dyrykcją St. Wiślickiego;
10.45 „Klub sześciu kontynentów”;
11.50 Dziennik;
12.10 STUDIO — 2;
13.50 Dobranoc;
19.30 Dziennik;
20.10 „Michał Strogow” (6) — ser. przyg. TV franc.
21.10 Studio — 2 — cd.

PROGRAM II

- 13.55 „Próba” — filmy muzyczne;
14.40 — 23.15 Spotkania w dwójce
14.45 „Na zdrowie” — program rozrywkowy;
15.30 Dla dzieci „Ladnie śpiewamy”;
15.55 „Park narodowy Tsavo” — franc. film dok;
16.20 „Właściwy człowiek” — „Jak mianuje się kierowników”;
16.55 „Sznujemy wspomnienia” — „Teatrzyk trzech”;
17.55 „Siedemnaście mgieł wiosny” (8) — film fab. TV radz;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 KRONIKA (Kr.);
19.50 Dziennik;
20.10 „Spotkania z gwiazdą” — Roberta Flack;
21.15 „Z pierwszej ręki” — program oświatowy;
22.10 Turniej Izwiestii — w hokeju na lodzie;
23.15 „Poeci recytują wiersze” — Agnieszka Osiecka;

TV BRATYSŁAWA

- 10.55 Mecz hokejowy Finlandia-CSRS;
13.55 Barwne struny W. Farkasza;
15.20 Rodzinna poezja;
16.00 Echa;
16.20 Symfonia olimpijska;
17.40 P. Stoliczny „Złodzieje znaczków — komedia liryczna”;
18.30 Wieczorynka;
18.50 „A teraz się rozstrzygnie” (11)
19.20 Dziennik TV;
21.35 Włoska komedia filmowa;

NIEDZIELA

PROGRAM I

- 6.10-7.10 TTR, RTSS;
7.50 „Alarm przeciwpożarowy trwa”;
7.40 „Nowoczesność w domu i zagrodzie”;
8.10 Emerytury dla rolników;
8.20 „Telewizjada” — Sport dla wszystkich;
9.00 Teleranek telewizyjny dziewcząt i chłopców, w programie: „Niedźwiedź pana Adama”;
10.20 Antena;
10.45 Republiki radzieckie — „Wszystkie barwy Gruzji” film dok;
11.35 Dziennik;
11.55 „Gdy się powiedziało a...” — program publicystyczny redakcji rolnej;
12.25 Program rozrywkowy;
13.15 Teatr lalek „Rabcio” — „Zimowa przygoda”;
14.00 „Z kamerą wśród zwierząt”;
14.25 Telewizyjny Koncert Życzeń;
15.10 Losowanie Dużego Lotka;
15.25 „Spotkanie z pisarzem” — Tadeusz Hołuj;
15.50 Turniej Izwiestii w hokeju na lodzie;
17.25 Spotkanie z zespołem „2 + 1”;
17.55 „Tele-echo”;
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.10 „Przepraszam, czy tu biją” polski film fabularny;
21.10 Sportowa niedziela;
22.10 Teatr małych form A. Skonimski — „Poezje”;

PROGRAM II

- 9.40 Tylko dla kibiców;
10.20 „Krótkofalowcy” — program woj-skowy;



20.XII-26.XII.

- 10.50 „Tajemnica Enigmy” (6);
11.30 „Przeboje tygodnia”;
12.20 „Życie na ziemi” (11) „Wśród drzew”, serial popularnonaukowy;
13.25 Teatr TV — Wł. Perzyński „Strach na wróble”;
14.45 „Popołudnie fauny i flory”;
15.30 „Milion pogodnych nut” — Spiewa Zausza Konec;
15.45 „Idylla rodzinna” cz. I — komedia filmowa telewizyjnie radzieckiej reż. Aleksiej Korieniew, wyst. Galina Polskich, Ewgenia Hanajewa, Ewgenia Jewstigniejew i in.
16.50 Program rozrywkowy;
17.10 „Tuzin” — teleturniej;
18.00 „Stereo i w kolorze” — recital pianisty Arika Berchot (Francja), w programie utwory Chopina i Claude Debussy’ego;
19.30 Dziennik telewizyjny;
20.10 Sportowa niedziela;
21.40 Kino bez granic „Człowiek z toporem” dramat społeczno-obyczajowy prod. indyjskiej, reż. Mrinal San;

TV BRATYSŁAWA

- 10.00 „Decydujący front” (10);
10.55 Hokejowy Turniej Izwiestii;
13.50 S. Prokofiew: „Romeo i Julia” — suita;
14.55 Turniej Izwiestii;
17.20 Śpiewa cała rodzina;
18.30 Wieczorynka;
19.30 Dziennik TV;
20.00 Niedzielną chwilą poezji;
20.05 „Sklepik antykwariusza” (2);
21.20 „10 niecodziennych dni”;
22.15 Koncert kameralny;

PONIEDZIAŁEK

- 9.00 Teleranek — „Spokojny dom” — (1) film prod. CSRS;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
15.20 Nut — psychologia;
15.55 Obiektowy;
16.15 Dziennik;
16.30 „Zwierzyniec”;
16.55 „Klinika zdrowego człowieka”;
17.15 „Arsene Lupin” — „Tajemnica siedziba”, ser. franc.
18.10 Program publicystyczny;
18.40 Rolnicze rozmowy;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Echa stadionów”;
19.30 Dziennik;
20.10 Teatr TV, Wł. Penyński — „Strach na wróble”;
21.35 „Horyzont”;
22.05 Dziennik;
22.20 Siedziwo zostało wznowione;

PROGRAM II

- 10.00 „Opowieści niezwykle” — „Pavoncello” film TV pol.
10.30 „Klinika zdrowego człowieka”;
10.50 „Horyzont”;
11.20 „Echa stadionów”;
11.50 Program studia Bis;
19.10 KRONIKA (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 Studio Bis (cd.);

WTOREK

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS;
9.00 Dla dzieci: „Spokojny dom” (2) — film prod. CSRS;

- 15.55 Obiektowy;
16.15 Dziennik;
16.30 „Telewizyjny klub seniora”;
16.55 „Dom i my” — magazyn reklamowy;
17.15 „Skojarzenia” — teleturniej;
17.35 „Krolik Bugs przedstawia” — film animowany;
18.00 Polska Kronika Filmowa;
18.40 Polska Kronika Filmowa;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Skarbiec” — magazyn historyczny;
19.30 Dziennik;
20.10 „Syberia” (6 — ostatni) film TV ZSRR;
21.20 Lekarz radzi — o chorobach nerki;
21.30 „Czy możemy się wyżywić”;
22.10 Dziennik;
22.25 Zapraszamy do nas „Szpilki” cz. 1, program kabaretowy;

PROGRAM II

- 10.00 „Syberia” (6 ostatni) — film TV ZSRR;
11.10 „Skarbiec”;
11.40 „Dom i my”;
12.00 „Skojarzenia” — teleturniej;
12.20 „Szpilki” program kabaretowy;
16.35 Kino telewizji najmłodszych — film anim. o tematyce świątecznej;
17.05 Młodzieżowy Magazyn Techniki — „Lidar”;
17.35 „Tak czy inaczej”;
18.05 „Mój koncert” — Witold Gruca;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 KRONIKA (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 „Wtorek melomana” — recital Ivo Pogorelic;
21.10 24 godziny;
21.20 Filmatka narodowa — filmy A. Wajdy — „Niewinni czarodzieje”;
22.45 „Bez recepty” — program dla rodziców;

ŚRODA

PROGRAM I

- 9.00 „Spokojny dom” (3) — film prod. CSRS;
14.25 „Szkłany pantofelek” — film na motywach baśni o Kopciuszku prod. USA;
16.00 Losowanie Express Lotka i Małego Lotka;
16.15 Dziennik;
16.30 „Dzień dobry, w kręgu rodziny”;
17.00 „Pastorałki”;
17.30 „Piórkiem i węglem” — „Trzy wigilie”;
18.00 „Papież u górali” film dok;
18.20 Dla dzieci: — „Michałki”;
19.20 „Szopka polska”;
19.30 Dziennik;
20.10 „Na Boże Narodzenie” — poezja polska od średniowiecza do współczesności;
20.35 „Królowa Bona” — film pol. (pi-łot serii);
21.45 „Kolejdy i pastorałki”;
22.10 W starym kinie — „Błękitna rap- podnia” film fab. prod. USA;

PROGRAM II

- 16.10 Program morski — „Wieczór na Rozewiu”;
16.40 „Niespotykane spokojny człowiek” — polski film TV;
17.40 „Stopklatka” — magazyn filmu telewizyjnego;
18.05 „Wigilijne scherzo” — program muzyczno-wspomnieniowy;
19.10 KRONIKA (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 „Wigilijne scherzo” cz. 2;
21.45 Teatr TV — „Opowieści mojej żony”;

CZWARTEK

PROGRAM I

- 9.00 „Piotruś pan” — cz. 1 — film muzyczny prod. USA;
10.00 „Klub sześciu kontynentów” — „Rowerami przez 12 krajów”;
10.50 „Muppet show w Hollywood” — film tv angielskiej;
12.00 „Światowa piłka”;
12.45 Telewizyjny Koncert Życzeń;
13.30 Architektura i sztuka sakralna w Polsce;
14.00 „O zwykłym muzykancie” — widowisko lalkowe;
15.00 „Dzisiejsze czasy” — film Charlie Chaplina;
16.25 „Tele-echo”;
17.30 „Domek na wsi” — film fab. prod. franc.
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.10 „My fair lady” — film fab. prod. USA;
22.55 Teatr Sensacji — „Każdemu, co mu się należy”;

PROGRAM II

- 12.20 „Klub dobrej książki”;
12.45 „Szczęśliwego nowego roku” (cz. 1) — komedia tv ZSRR;
14.30 Magazyn motoryzacyjny;
15.00 Opera miesiąca — „Sprzedana narzeczona”;
16.30 Blok programów rozrywkowych z Poznania;
19.30 Dziennik;
20.10 Mistrzowie tańca na lodzie;
21.10 „Dawne, dobre czasy” — cz. 4 — starszości muzyk-hall;
22.00 Blok programów rozrywkowych z Poznania;

PIĄTEK

PROGRAM I

- 9.00 „Piotruś pan” — cz. 2;
10.00 „Gawęda w krainie czarów” — musical;
11.15 „Z kamerą wśród zwierząt”;
11.45 „Gwiazda estrady” — film fab. ZSRR o A. Pugaczowej;
13.10 „Sportowe pożegnania”;
13.40 „Laureat” — reportaż filmowy przedstawiający laureata i nagrody konkursu pianistycznego im. F. Chopina — Wietnamczyka — Dang-thai Sona;
14.10 Dla dzieci: — „Gdzie jest Wale- ry?”
15.00 „Gdańsk redivivus” film doku- mentalny;
15.20 Teatr TV — „Romans z wode- wilem”, przeniesienie z Teatru Sta- rego w Krakowie;
17.15 „Zapalę gwiazdę” — program muzyczny;
17.45 „Bo oszalełam dla niej” — pol- ski film TV;
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.10 Film fabularny;
22.45 „Lista obecności satyryków” — Jan Pietrzak — program rozryw- kowy;

PROGRAM II

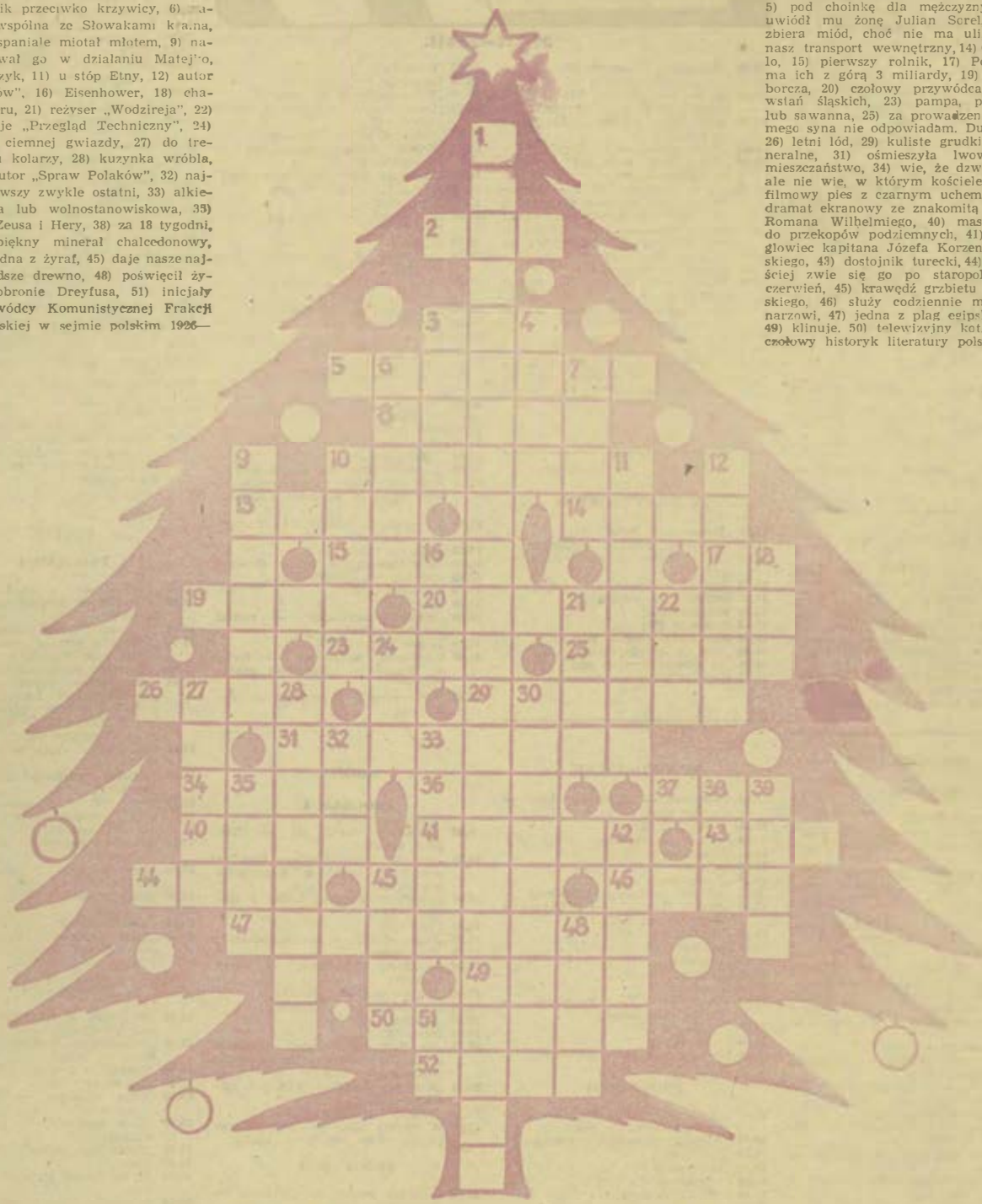
- 11.50 „Wyprowadź na Himalaje” — film dok. TV CSRS;
13.10 „Szczęśliwego nowego roku” cz. 2 filmu TV ZSRR;
14.35 „Turystyka i wypoczynek”;
15.05 „Camerata”;
15.20 Opera miesiąca — „Sprzedana narzeczona” cz. 2;
16.20 „Kino miniatur” — „Z różnych szuflad”;
17.05 „Ekran reporterów” — Angolia;
18.05 „Pegaz”;
19.00 „O młynskim kamieniu” — film dok;
19.30 Dziennik;
20.10 Kosmos — o gwiazdach i wśród gwiazd;
22.45 „Gwiazdozbiór” — Sophia Loren;
Za zmiany w programie wprowadzone w ostatniej chwili, redakcja nie bierze odpowiedzialności.

Uwaga Czytelnicy: następny numer „Dunajca” ukaże się w kioskach 9 stycz- nia 1981 r.

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz odpowiedzialny), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (zastępca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Lesniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelnego), Krzysztof Pod- biera (redaktor techniczny), Stanisław Smierczak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefony: 238-36, 238-90. Teleks: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88, wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 270-49, oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” — urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 208 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 35657. H-17.

1) na klęskę pomścił po 20 latach Sobieski, 3) duchowieństwo, 4) zjadł jeżowca, 5) pod choinkę dla mężczyzny, 8) uwiódł mu żonę Julian Srebi, 10) zbiera miód, choć nie ma uli, 13) nasz transport wewnętrzny, 14) Otello, 15) pierwszy rolnik, 17) Polska ma ich z górą 3 miliardy, 19) wyborcza, 20) czołowy przywódca powstań śląskich, 23) pampa, preria lub sawanna, 25) za prowadzenie się mego syna nie odpowiadam. Dulska, 26) letni lód, 29) kuliste grudki mineralne, 31) ośmieszyla lwowskie mieszczaństwo, 34) wie, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele, 36) filmowy pies z czarnym uchem, 37) dramat ekranowy ze znakomitą rolą Romana Wilhelmięgo, 40) maszyna do przekopów podziemnych, 41) żaglowiec kapitana Józefa Korzeniowskiego, 43) dostojnik turecki, 44) częściej zwie się go po staropolsku: czerwień, 45) krawędź grzbietu górskiego, 46) służy codziennie marynarzowi, 47) jedna z plag egiptskich, 49) klinuje, 50) telewizyjny kot, 52) czołowy historyk literatury polskiej,

2) ostatnie miejsce pobytu „Tita” 3) prowadzi „Kuchnię polską”, 5) pod choinkę dla mężczyzny, 8) uwiódł mu żonę Julian Srebi, 10) zbiera miód, choć nie ma uli, 13) nasz transport wewnętrzny, 14) Otello, 15) pierwszy rolnik, 17) Polska ma ich z górą 3 miliardy, 19) wyborcza, 20) czołowy przywódca powstań śląskich, 23) pampa, preria lub sawanna, 25) za prowadzenie się mego syna nie odpowiadam. Dulska, 26) letni lód, 29) kuliste grudki mineralne, 31) ośmieszyla lwowskie mieszczaństwo, 34) wie, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele, 36) filmowy pies z czarnym uchem, 37) dramat ekranowy ze znakomitą rolą Romana Wilhelmięgo, 40) maszyna do przekopów podziemnych, 41) żaglowiec kapitana Józefa Korzeniowskiego, 43) dostojnik turecki, 44) częściej zwie się go po staropolsku: czerwień, 45) krawędź grzbietu górskiego, 46) służy codziennie marynarzowi, 47) jedna z plag egiptskich, 49) klinuje, 50) telewizyjny kot, 52) czołowy historyk literatury polskiej,



Tym razem hasło pomocnicze jest tylko dwuwyrzowe, ale za to nagrodami będą bardzo — jak sądzimy — atrakcyjne książki: „Przewrót majowy” Andrzeja Garlickiego i „Sto lat samotności” Gabriela Garcia Marquez. Tych, którzy do 10 stycznia nadesłają rozwiązania (wszystkich wyzaw) pragniemy o podanie nazw, co woleliby, jeśli wygrają konkurs.

HASŁO POMOCNICZE (piewła liczba nawiązuje do numeru wyzawu w krzyżówce, liczba po przeciku — kolejną literę w tym wyrażeniu): 48-1, 41-4, 27-2, 2-1, 9-3, 12-1, 14-3, 28-1, 19-1, 1-1, 1-3.

Rozwiązanie krzyżówki nr 7

POZIOMO: 1) kibic, 5) pelikan, 9) oliwa, 10) krzem, 11) solanka, 12) tawet, 13) Linde, 16) oświata, 17) smar, 19) kminek, 20) Elkana, 23) Rydel, 24) drzewa, 27) bierki, 28) ropa, 30) Astarte, 31) pauza, 34) nulka, 35) Lipnica, 36) Skawa, 38) kokosza, 39) anion.

PIOŃOWO: 1) kółko, 2) Bizon, 3) Cpmte, 4) wstaw, 5) pastor, 6) Lc-lewel, 7) kantaia, 8) Niagara, 14) Izmir, 15) Dante, 17) skra, 18) addio, 20) Elba, 21) kiesa, 22) nakaz, 24) Diabłak, 25) Zatopek, 26) werniks, 28) Renata, 29) Polica, 31) PASTA, 32) ulani, 33) Alcin.

HASŁO POMOCNICZE: Nie zawieszaj mądre to, co logiczne.

Rozwiązanie krzyżówki nr 8
POZIOMO: 1. Arnalde, 5. trirema, 8. kpina, 9. Rodrigo, 10. Trapszo, 11. sosna, 12. podszyt, 15. rozrząd, 18. nurek, 19. lawenda, 20. aimerez (wspak), 21. przekaz, 23. karakal, 26. szalupa, 28. rodamin, 30. cytra, 31. rozruch, 33. Mikołaj, 35. obława, 36. kwstwr, 37. jesiotr.

PIONOWO: 1. Akropol, 2. adres, 3. okosina, 4. mikser, 5. Tatarika, 6. repier, 7. abordaż, 13. dywizja, 14. zanik, 16. zimorodek, 17. zmra, 21. Pisarek, 22. znachor, 23. Koramaj, 24. lamsjer, 25. witraż, 27. upust, 29. imul, 32. zle, 34. kos.

NAGRODY ZA ROZWIĄZANIA KRZYŻÓWEK Z NUMERU 7

Tym razem krzyżówki sprawiły sporo kłopotu naszym amatorom łamania głowy; nadesłano wyraźnie mniej rozwiązań. Obiecujemy, że w przyszłości postaramy się o łatwiejsze hasła. Nagrody wylosowali: pani Ewa Sobczyńska z Nowego Sącza (pani i pan Sobczyński mają szczególne szanse!) oraz pan i pani Jan Nawrot z Nowego Targu i Bogusław Pęcak z Górnego Książka — z życzeniami dalszego powodzenia — wysyłamy pocztą. Wylosowaliśmy o łatwiejsze nagrody dla najbardziej wtywałyh.